

Neels Betty

Gwiazdkowe oświadczenia

Berta jest niczym współczesny Kopciuszek – żyje w cieniu wyrachowanej siostry, zaniedbywana przez ojca i macochę. Nie wierzy w siebie i nie wierzy w odmianę swojego losu. Gdy jednak na przyjęciu w jej domu zjawia się przystojny lekarz, Berta zaczyna marzyć...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziewczyna stojąca w rogu zatłoczonego salonu, nie przyciągała uwagi. Była niska, kasztanowe włosy miała upięte w niemodny kok, a zadarty nos i szerokie usta nie przydawały urody jej pospolitej twarzy. Nie wyglądała efektownie w ekstrawaganckiej różowej sukience. Wzbudziła jednak zainteresowanie mężczyzny, który obserwował ją z głębi salonu. Podeszedł do niej po chwili i przywitał się. Usłyszawszy jego miły głos, odwróciła głowę.

Odpowiedziała mu grzecznie, wpatrując się w niego dużymi piwnymi oczami o pięknych rzęsach. Pomyślał, że pozwalają one natychmiast zapomnieć o jej nosie, ustach i zaczesanych w kok włosach. Uśmiechnął się do niej serdecznie.

- Znasz tu kogoś? Przyszedłem ze znajomymi, u których byłem z wizytą. Zabrali mnie ze sobą. To przyjęcie urodzinowe, prawda?

- Tak. - Spojrzała na tłum ludzi za jego plecami. Goście śmiali się, plotkowali i machali do siebie, trzymając w rękach kieliszki. Na środku sali tańczyło kilka par. - Mam panu kogoś przedstawić?

8

GWIAZDKA MIŁOŚCI

. - Znasz tu wszystkich? - zapytał przyjacielskim tonem. - To twoje urodziny?

- Tak. - Rzuciła mu szybkie, zdziwione spojrzenie i pochyliła głowę, wpatrując się w ozdobiony cekinami stanik sukienki.

- Nie powinnaś więc być królową balu?

- Och, to nie jest przyjęcie dla mnie, tylko dla mojej przyrodniej siostry, tej ślicznej dziewczyny przy bufecie. Chciałby pan poznać Clare?

- Zdaje się, że mam zbyt wielu konkurentów - odparł lekko. - Powinnaś chyba brać udział w zabawie, skoro to twoje urodziny?

- Wcale nie. - Miała ładny głos i mówiła rzeczowym tonem. - Na pewno chciałby pan poznać niektórych gości. Ale nie wiem nawet, jak się pan nazywa...

- Przepraszam. Jestem Oliver Hay-Smythe.

- Berta Soames. - Podała mu drobną dłoń, a on lekko ją uścisnął.

- Naprawdę nie chcę nikogo poznawać. Myślę, że jestem dla tych ludzi trochę zbyt wiekowy.

Przyjrzała mu się z uwagą. Był bardzo wysokim, mocno zbudowanym, przystojnym i pewnym siebie mężczyzną o gęsto przyprószonych siwizną jasnych włosach i szarych oczach.

- Nie jest pan wcale stary - oznajmiła. Podziękował jej z powagą i zapytał:

- Nie tańczysz?

9

- Och, bardzo lubię tańczyć. - Uśmiechnęła się do niego szeroko, ale jej uśmiech natychmiast przygasł.

- Ja... to znaczy... macocha kazała mi dbać, żeby wszyscy dobrze się bawili. Dlatego tu stoję. Kiedy widzę, że ktoś jest sam, częstuję go drinkiem i przedstawiam innym gościom. Naprawdę uważam, że powinien pan...

- Stanowczo nie, panno Soames. - Spojrzał na nią i pomyślał, jak bardzo nie pasuje do tego hałaśliwego salonu. I dlaczego w dniu swoich urodzin nie włożyła czegoś ładnego zamiast tej okropnej, pretensjonalnej sukienki? - Nie jesteś głodna?

- Ja? - Zawahała się i po chwili skinęła głową. - Owszem, nie jadłam obiadu. - Spojrzała tęsknie w kierunku bufetu, gdzie wielu gości serwowało sobie smakowite dania. - Może by pan...

Doktor Hay-Smythe, wybitny specjalista, a zarazem człowiek, który nigdy nie minął obojętnie zabłąkanego kota ani bezpańskiego psa i który starał się, jak mógł, przyjść każdemu z pomocą, rzekł:

- Ja też jestem głodny. Może byśmy się wymknęli i poszli coś zjeść? Nikt nawet nie zauważy, że nas nie ma. Zdamy wrócić, zanim skończy się przyjęcie.

Wpatrywała się w niego zaskoczona.

- Chce pan stąd wyjść? Ale w pobliżu nie ma żadnego baru. Poza tym...

- Nawet w Belgravii muszą być jakieś puby. Zresztą mam samochód. Możemy się rozejrzeć.

10

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Oczy jej zabłysły.

- To mi się podoba. Ale macocha powinna chyba wiedzieć, że wychodzę?

- Wcale nie. Dokąd prowadzą te drzwi za tobą? Do holu? No to chodźmy!

- Powinnam wziąć żakiet - powiedziała Berta, kiedy byli na korytarzu. - To potrwa tylko chwilę, muszę pójść na górę.

- Nie masz na dole jakiegoś płaszcza?

- Mam, ale bardzo stary...

- Nie szkodzi. - Uśmiechnął się zyczliwie. - W pubie nikt tego nie zauważy - dodał i pomyślał, że płaszcz zakryje przynajmniej tę jej okropną sukienkę.

Ubrała się szybko i wyszła z nim na zewnątrz po szerokich schodach.

- Tędy - oznajmił doktor, wskazując na ciemnoszarego rolls-royce'a. Otworzywszy drzwi, wpuścił ją do środka i usiadł za kierownicą. Ruszając, zapytał jakby od niechcienia: - Mieszkasz tu z rodzicami?

- Tak. Ojciec jest prawnikiem. Pracuje głównie dla międzynarodowych firm. Moja macocha woli mieszkać w Londynie.

- Masz jakąś pracę?

- Nie. - Odwróciła głowę, patrząc za okno. Doktor **nie** kontynuował tematu, lecz mówił o tym i owym, mijając spokojne ulice z okazałymi domami, po czym zatrzymał samochód obok parkometra

Gwiazdkowe oświadczyzny

11

w zatłoczonej uliczce. - Chodźmy do tego pubu na rogu - zaproponował, pomagając jej wysiąść.

W lokalu spoglądano na nich z zainteresowaniem. Stanowili dziwną parę - on w czarnym krawacie, ona w podniszczonym deszczowcu - ale właściciel pubu wskazał im stolik w rogu i podszedł przywitać się z doktorem.

- Dawno pana nie widziałem. Wszystko w porządku?

- Tak, dzięki, Joe. Jak zdrowie żony?

- Jakoś się trzyma, dzięki panu. Co mam podać? - Zerknął na Bertę. - Co dla młodej damy? Szklanczkę wina?

- Chcemy coś zjeść, Joe...

- Żona przyrządziła właśnie kielbasę z tłuczonymi ziemniakami.

Doktor Hay-Smythe spojrział pytająco na Bertę, która skinęła głową. Joe oddalił się pospiesznie i wrócił po chwili z piwem i winem. Pięć minut później przyniósł obładowaną tacę.

Domowe jedzenie było dobrze przyrządzone, gorące i obfite. Jedli i pili w milczeniu, dopóki doktor nie poprosił:

- Opowiedz mi o sobie.

- Nie ma o czym mówić. Poza tym jesteśmy sobie obcy. Pewnie nigdy więcej się nie spotkamy. Chyba oszalałam, że przyszedłam tu z panem - dodała rzeczowo.

- Trudno mi się z tym zgodzić. Szaleńcami są raczej ci, którzy objadają się na przyjęciach, zamiast dobrze się bawić. A ty i ja jemy z przyjemnością i miło spędzamy razem czas. - Przerwał, gdyż Joe przyniósł zamówioną kawę. - Jako nieznajomi możemy swobodnie rozmawiać, bo i tak wszystko, co powiemy, pójdzie w zapomnienie.

- Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak pan. Uśmiechnął się lekko.

- Jestem zupełnie zwyczajny. Istnieją pewnie tysiące takich osób. Może po prostu masz za mało okazji do spotkań i nawiązywania nowych znajomości. Wychodzisz często do teatru, na koncerty, do klubu albo na tańce?

Berta pokręciła głową.

- Nie. Chodzę tylko na zakupy, wyprowadzam psa macochy i zajmuję się gośćmi, których ona zaprasza na podwieczorek albo kolację.

- A twoja przyrodnia siostra? - Zauważył jej ukradkowe spojrzenie. - Czy Clare gdzieś pracuje?

- Nie. Ale ma wielu adoratorów. Często spotyka się z przyjaciółmi. Jest piękna, chyba pan widział...

- Bardzo piękna - przyznał z powagą. Milczał chwilę, wreszcie zapytał: - Czemu jesteś przygnę**biona**, Berto? Mogę mówić ci po imieniu, prawda? W końcu, jak powiedziałaś, pewnie nigdy więcej się nie spotkamy.

- Raczej nie - uśmiechnęła się smutno.

13

- Powiedz więc, co cię gnębi, zdobądź się na szczerłość. Potrafię uważnie słuchać. Traktuj mnie jak starszego brata albo kogoś, kto wyjeżdża na koniec świata i już nie wróci.
- Skąd pan wie, że jestem przygnębiona? - zapytała.
- Lekarze wiedzą takie rzeczy.
- Ach, jest pan lekarzem! - Tym razem uśmiechnęła się z ulgą. - Więc chyba mogę się panu zwierzyć? Odpowiedział jej przychylnym uśmiechem.
- Widzi pan, mój ojciec ożenił się po raz drugi - zaczęła. - To było dawno temu. Miałam wtedy siedem lat. Mama umarła, kiedy miałam pięć. Pewnie czuł się samotny, więc poślubił moją macochę. Clare jest ode mnie dwa lata młodsza. Była zawsze uroczym dzieckiem i wszyscy ją ubóstwiali. Ja też. Ale moja macocha... Ona uważa, że jestem zwyczajna i nieciekawa. Wiem, na pewno starała się mnie pokochać, a ja chciałam się jej odwzajemnić, ale jakoś nie potrafiłam. Sama jestem sobie winna.
- Źle panią traktowała?
- Zawsze traktowała mnie tak samo, jak Clare. Miałyśmy obie ładne sukienki i miłą nianię, chodziłyśmy do jednej szkoły, ale nawet ojciec zauważał, że nie jestem równie śliczna, jak Clare, więc macocha przekonała go, że będzie lepiej, jeśli zostanę w domu i nauczę się być dobrą gospodynią...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Czy Clare nie pomagała ci w domowych obowiązkach?

- Nie. Z braku czasu. Ona zawsze miała wiele przyjaciół i rzadko bywała w domu. Poza tym jest dla mnie naprawdę dobra. - Położyła rękę na wystającej spod płaszcza różowej falbance. - Dała mi tę sukienkę.

- Nie masz własnych pieniędzy?

- Nie. Mama zostawiła mi trochę, ale... przecież ich nie potrzebuję, skoro i tak siedzę w domu, prawda?

Doktor nie skomentował tej uwagi. Powiedział tylko:

- Istnieje proste rozwiązanie. Musisz znaleźć pracę.

- Chętnie, ale nie mam żadnego przygotowania -Bo chwili dodała z lękiem: - Nie powinnam panu tego wszystkiego mówić. Proszę o tym zapomnieć. Nie mam prawa się skarżyć.

- Wcale się nie skarżysz. Nie jest ci lżej dzięki naszej rozmowie?

- Ależ tak! - Spojrzała na zegar i przeraziła się. - Boże, siedzimy tu już strasznie długo...

- Mamy mnóstwo czasu - odparł spokojnie doktor. - Przyjęcie potrwa na pewno do północy.

Zapłacił rachunek, wsadził ją ponownie do swego rolls-royce'a i odwiózł do domu. Berta zdjęła w holu płaszcz, przyglądała okropną sukienkę i weszła

15

z nim do przestronnego salonu. Macocha zauważyła ich pierwsza.

- Berto, gdzie się podziewałaś? - odezwała się zirytowanym głosem. - Idź natychmiast do kuchni i powiedz, żeby pani Cook przysłała jeszcze paszteciki. Jesteś tutaj po to, żeby pomagać...

Dopiero gdy zdała sobie sprawę z obecności doktora, pani Soames złagodniała i dodała zupełnie odmiennym głosem:

- Biegnij, kochanie. I wracaj szybko. Przyjaciele na pewno nie mogą się ciebie doczekać.

Berta nic nie odpowiedziała. Wyniknęła się, nie patrząc na doktora.

- To taka dobra dziewczyna - westchnęła pani Soames, udając macierzyńską czułość. - Bardzo mi pomaga. Szkoda tylko, że jest taka nieśmiała i nieporadna. Staram się, jak mogę - stwierdziła tonem skargi - ale cóż mogę pomóc? Berta jest inteligentna i sama wie, że brak jej urody i czaru. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że trafi jej się jakiś dobry mąż.

Spojrzała na niego ze smutkiem. Doktor mruknął coś jedynie pod nosem, więc natychmiast zmieniła ton.

- Ale nie powinnam zamęczać pana swoimi kłopotami, prawda? - uśmiechnęła się przepaszająco. - Proszę porozmawiać z Clare. Ona lubi poznawać nowych ludzi. Mieszka pan w Londynie? Musi pan częściej nas odwiedzać.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Kiedy Berta wróciła, doktor był w drugim końcu salonu, a Clare śmiała się do niego, trzymając mu rękę na ramieniu. Czego innego mogłam się spodziewać, pomyślała i poszła poszukać lokaja Crooka, swego długoletniego przyjaciela i sprzymierzeńca. Pokrzepiona dobrą kolacją i nastawiona buntowniczo do świata, po rozmowie z doktorem, postanowiła nawet wypić kieliszek szampana. Wychyliła go duszkiem pod ojcowskim spojrzeniem Crooka, po czym sięgnęła po następny. Zapewne rozboli ją potem głowa i będzie miała czerwony nos, ale skoro i tak nikt nie zwraca na nią uwagi, nie musi się tym przejmować. Zapragnęła nagle, by ojciec wrócił do domu. Tak rzadko go widywała... Nie zdążyła dopić kolejnego kieliszka, kiedy goście, zaczęli wychodzić, zapraszając się wzajemnie do odwiedzin i pozdrawiając. Kilka osób pożegnało zdawkowo Bertę, która podawała im płaszcze, chusty oraz zawieruszone wśród ubrań torebki. Doktor Hay-Smythe opuścił przyjęcie ze swymi znajomymi jako jeden z pierwszych, zanim jednak się pożegnał, odnalazł wzrokiem Bertę i przeszedł przez hol, aby życzyć jej dobrej nocy.

- To była wspaniała kolacja - uśmiechnął się, patrząc jej w oczy. - Może ją kiedyś powtórzemy.

Zanim Berta zdążyła odpowiedzieć, dołączyła do niob Clare.

- Jul uciekasz, drogi Oliverze? Och, nie waż się

17

uciekać, skoro właśnie odkryłam, jaki jesteś miły. Poszukam twojego numeru w książce telefonicznej i zadzwonię. Może mnie zabierzesz na kolację.

- Wyjeżdżam na kilka tygodni - oznajmił grzecznie. - Lepiej to ja zadzwonię do ciebie po powrocie. Clare zrobiła nadaśaną minkę.

- Nieładnie się tak wykręcać, Oliverze. Ale dobrze, skoro nie można inaczej... - Odwróciła głowę do Berty. - Mama cię szuka.

Berta oddaliła się posłusznie, ale najpierw podała doktorowi na pożegnanie drobną dłoń i powiedziała cicho „do widzenia”.

Godzinę później położyła się spać w swoim skromnym pokoiku na górze, natomiast pani Soames poszła do sypialni córki.

- To był udany wieczór, kochanie - zaczęła. - Co sądzisz o tym nowym gościu?

- Mówisz o Oliverze?

- Mhm - pokiwała głową pani Soames. - O doktorze Oliverze Hay-Smythsie. Rozmawiałam o nim z lady Everett. Zdaje się, że jest dosyć znany. Ma gabinet na Harley Street, pochodzi z dobrej, zamożnej rodziny... - Poklepała Clare po ramieniu. - W sam raz dla ciebie.

- Na razie wyjeżdża - oznajmiła Clare. - Obiecał zadzwonić, kiedy wróci. - Spojrzała na matkę, zmarszczyła brwi. - Jakim cudem on poznał Bertę?

- Też o tym myślałam.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Widziałaś, jak się żegnali? Jakby byli przyjaciółmi albo co najmniej znajomymi. Zapewne budzi w nim litość. Wyglądała okropnie, prawda? - Glare przygryzła pomalowane paznokcie, pokręciła głową z ironicznym uśmiechem. - Biedna Berta. Wyglądała na szczęśliwą, jakby dzielili razem jakiś sekret. A Oliver po prostu uzalił się nad biedactwem. Wiesz, że on się opiekuje niepełnosprawnymi dziećmi? Nie byłoby łatwo z nim żyć... Cóż, jeżeli zainteresuje się Bertą, nie będę mu przeszkadzała. Wprost przeciwnie.

Napotkała w lustrze pytające spojrzenie matki i dodała:

- Może się mylę, ale on chyba nie przepada za przyjęciami. Państwo Paynes, z którymi przyszedł, mówią, że nie jest żonaty i nie spotyka się z kobietami, bowiem za bardzo pochłania go praca. Skoro chce widywać Bertę, proszę bardzo!

Doktor Hay-Smythe pożegnał się z przyjaciółmi w ich domu i wrócił do swego mieszkania nad gabinetem. Cully, jego służący, położył się już spać, ale w kuchni zostawił ciepłą kawę i kanapki. Doktor napełnił kubek aromatycznym napojem i usiadł przy Stole. Drzemiący obok kuchenki labrador podniósł się leniwie i zajął miejsce przy jego nodze, gotów pomóc mu w jedzeniu. Przeżuwając zimne mięso, wpatrywał się w swojego pana i dzielił jego myśli.

19

- Wiesz, Freddie - zagadnął doktor - spotkałem dzisiaj pewną dziewczynę. Miała piękne oczy... i koszmarną sukienkę. Wyglądała nieciekawie, czuję jednak, że to tylko pozory. Ma cudowny głos, bardzo spokojny. Powinna przede wszystkim uwolnić się od tej upiornej macochy. Muszę coś wymyślić...

I doktor myślał, myślał całą noc, zaś Berta, ów przedmiot jego rozmyślań, spała mocno aż do rana, nieświadoma planów, jakie snuto na temat jej przyszłości.

Minęły jednak dwa dni, zanim Oliver Hay-Smythe wpadł wreszcie na pomysł, jak jej pomóc. Oprócz tego, że miał prywatną praktykę i był konsultantem w dwóch dużych szpitalach, zyskując coraz większy rozgłos w swojej specjalności, pracował także w przychodni we wschodnim Londynie, gdzie zajmował się chorymi w podeszłym wieku. I właśnie tutaj, pod koniec dyżuru, doznał olśnienia.

Tego wieczoru ostatnią pacjentką była starsza pani, ceniąca swą niezależność i żyjąca samotnie w małym mieszkanku w pobliżu przychodni. Niewiele mógł dla niej zrobić. Długie lata ciężkiej pracy odebrały jej zdrowie i sprawność. Dzielna staruszka nie poddawała się jednak - kuśtykała uparcie o lasce i za nic w świecie nie chciała dać się zamknąć w domu starców. Twierdziła, że sama potrafi o siebie zadbać.

- Jestem w nie gorszej formie niż pan, doktorze

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- oznajmiła, gdy ją zbadał. - Tylko brakuje mi książek. Nie mogę już czytać, jak dawniej, a to moje ulubione zajęcie. Pani z opieki społecznej przyniosła mi nagrania, ale kaseta i magnetofon to nie to samo, co żywy głos. Rozumie pan, prawda? Miły, spokojny głos...

Wtedy pomyślał o Bercie.

- Może więc ktoś przychodziłby pani poczytać? Dwa, trzy razy w tygodniu, przez godzinę lub dwie?

Co pani na to, pani Duke?

- Byle nie jakaś stara dewotka. Lubię romantyczne historie, a nie banalne opowiadki z parafialnej gazetki.

- Młoda dama, o której myślę, na pewno pani nie zawiedzie. Będzie czytała to, co pani lubi. Spróbujemy? Jeśli się nie uda, pomyślimy o kimś innym.

- Cóż, zaryzykuję. Kiedy może przyjść?

- Będę tu pojutrze po południu. Przyprawdżę ją. Zostanie z panią, dopóki nie skończę pracy w przychodni, dobrze?

- Zgoda. - Pani Duke podźwignęła się z krzesła, a doktor wstał, aby otworzyć jej drzwi. - Do zobaczenia.

Wróciwszy do domu, doktor przemyślał swoje plany i uznał, że najtrudniej będzie przekonać do pomysłu macochę Bertę, panią Soames. Postanowił uciec się do małego podstępu...

Poszedł szukać Cully'ego, swego wiernego słu-

21

żącego i znakomitego kucharza, który towarzyszył mu od lat. Ten odłożył na jego widok srebra, które właśnie czyścił, i wysłuchał doktora z uwagą.

- Czy mam zadzwonić teraz, sir?

- Tak, proszę.

- A jeśli ta dama uzna, że nie może pana przyjąć wtedy, kiedy pan proponuje?

- Nie obawiaj się, Cully.

Służący podszedł do wiszącego na ścianie telefonu, a doktor stanął obok staromodnego kredensu i sięgnął po jabłko. Po chwili Cully odłożył słuchawkę.

- Jutro o piątej po południu, sir. Pani Soames będzie zachwycona.

Doktor ugryzł jabłko i pokiwał głową z zadowoleniem.

- Znakomicie, Cully. Jeśli ta dama albo jej córka kiedykolwiek tu do mnie zadzwonią, miej się na baczności.

- Tak jest, sir - odparł Cully, pozwalając sobie na wymowny uśmiech.

Doktor był następnego dnia zbyt zajęty, by zaprzętać sobie głowę czekającą go wizytą. Nie mając dość czasu, aby lepiej się do niej przygotować, zjawił się o piątej w domu pani Soames. Gderliwa pokojówka wprowadziła go zaraz do salonu.

Pani Soames, wbita w przyciasną jak na jej obfite

GWIAZDKA MIŁOŚCI

kszałty jasnoniebieską suknię, wstała z kanapy, by go powitać.

- O! Iwerson, jak miło pana widzieć! Na pewno jest pan bardzo zapracowany. Podobno ma pan wielu pacjentów. Szkoda, że cieszę się tak dobrym zdrowiem - zaśmiała się zalotnie - bo chętnie odwiedziłabym pański gabinet.

Doktor mruknął coś w odpowiedzi, a pani Soames wskazała mu miejsce obok siebie na kanapie.

- A więc co pana do mnie sprowadza? - Przerwała, gdyż do salonu weszła Clare. Wyraz zaskoczenia na jej twarzy był niemal całkiem przekonujący. - Już jesteś, kochanie? Zobacz, kto nas odwiedził.

Clare uśmiechnęła się do niego czarująco.

- Najwyższy czas. Sądziłam, że wyjechałeś.

- Takie miałem plany. Zamierzałem wygłosić serię wykładów, ale przełożono je o kilka tygodni.

Clare zmarszczyła kokieteryjnie nos.

- To dobrze. Możesz więc zaprosić mnie na kolację.

- Z przyjemnością. Zajrzę najpierw do terminarza i zadzwonię, jeśli pozwolisz.

- Myślałam, że teraz...

- Teraz przyszedłem w innej sprawie - uśmiechnął się tajemniczo. - Zastanawiałem się, czy nie znalazłabyś trochę wolnego czasu. Szukam kogoś, kto chciałby kilka razy w tygodniu poczytać na głos

książkę pewnej starszej pani. — Spojrzał w jej oczy i zapytał: - Podjęłabyś się tego?

- Ja? Miałabym czytać jakieś nudne książki zrzędlivej staruszce? Nie mam dość czasu dla siebie. Co to za książki?

- Romanse...

- Hu! Co za okropność! I pomyślałeś właśnie o mnie, Oliverze? - Roześmiała się dźwięcznie.

- Przecież ja nie czytam jakichś staromodnych książek, tylko pisma dla kobiet.

Doktor wydawał się rozczarowany.

- Cóż, w takim razie znajdę kogoś innego. Clare zawahała się.

- A kim właściwie jest ta staruszka? Czy ja ją znam? To chyba lady Power ma coś z oczami, prawda? A może chodzi o panią Dillis? Odwiedziła nas któregoś wieczoru, cała obwieszona diamentami. Podobno stać ją na kilka opiekunek.

- Chodzi o panią Duke - wyjaśnił szybko Oliver. - Zajmuje samotnie nieduże mieszkanie i żyje z emerytury.

- Och, to straszne — westchnęła ze zgrozą Clare. Dostrzegła porozumiewawcze spojrzenie matki i dodała natychmiast, trafnie odczytując niemą sugestię pani Soames: - Ale może Berta wreszcie by się na coś przydała? I tak ciągle czyta, nic nie robi i nigdzie nie chodzi. Oczywiście! To jest myśl!

Clare wstała, zadzwoniła po gderliwą służącą

GWIAZDKA MIŁOŚCI

i kazała jej przyprowadzić Bertę, która weszła po chwili do salonu i na widok doktora przystanęła zdumiona.

- Pozwól tu, Berto - odezwała się pani Soames. - Znasz doktora Hay-Smythe'a, prawda? Był na naszym ostatnim przyjęciu. Otóż pan Hay-Smythe ma do ciebie prośbę, a ja jestem pewna, że zgodzisz się mu pomóc. Będziesz wreszcie miała czym się zająć. Może zechce jej pan wyjaśnić, o co chodzi, Oliverze?

Doktor wstał, gdy Berta weszła do salonu, teraz zaś, kiedy usiadła, zajął miejsce obok niej.

- Tak, poznaliśmy się już - potwierdził uprzejmym tonem. - Przyszedłem prosić Clare, by czytała książki mojej pacjentce, pewnej starszej pani, która ma słaby wzrok. Clare jest zdania, że takie zajęcie bardziej by odpowiadało tobie niż niej. Podobno lubisz czytać?

- O tak, bardzo!

- A więc uzgodnione - rzekła pani Soames. - Berta jest do pańskiej dyspozycji, Oliverze.

- Chciałabyś chodzić do tej kobiety? - zapytał doktor. - Powiedzmy, trzy razy w tygodniu, po południu. Czytałabyś jej mniej więcej przez godzinę.

- Tak, dziękuję, doktorze. - Głos Berty wyrażał zaledwie uprzejmą gotowość do spełnienia jego prośby, ale jej oczy błyszczały radośnie.

- Świetnie. Przyjdź więc jutro po południu do

mojego gabinetu przy Harley Street. Trafisz tam, prawda? Moja sekretarka da ci adres tej kobiety. Trzeba przejechać kawałek drogi autobusem, lecz o tej porze nie będzie zatłoczony. Przyjdź około drugiej, dobrze? Będę ci bardzo wdzięczny.

- Napije się pan czegoś? - zapytała pani Soames.

- Muszę zatelefonować, ale Clare chętnie się panem zajmie. Berto, idź zapytać panią Cook o listę zakupów na jutro.

Doktor, osiągnąwszy zamierzony cel, posiedział jeszcze przez pół godziny, popijając tonik w towarzystwie Clare, która zdecydowała się na mocniejszy trunek.

- Nie lubisz alkoholu? - zaśmiała się beztrąsko.

- Doprawdy, Oliverze, sądziłam, że jesteś miłośnikiem whisky.

Obdarzył ją swym czarującym uśmiechem.

- Prowadzę samochód. Poza tym nie powinienem wchodzić do szpitala chwiejnym krokiem, prawda?

- Słusznie. Ale po co w ogóle pracujesz w szpitalu, skoro masz prywatną praktykę i sam możesz wybierać sobie pacjentów?

- Lubię tę pracę - odparł swobodnie, po czym zerknął na zegarek. - Z przykrością cię opuszczam, ale mam umówione spotkanie. Dzięki za drinka. Przy najbliższej okazji zaproszę cię na kolację i odwdzięczę się szampanem.

Odprowadziła go do drzwi, położyła mu na ra-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

mieniu swą śliczną, delikatną dłoń i powiedziała na pożegnanie:

- Naprawdę nie masz do mnie żalu, że nie chcę iść do tej staruszki? Widzisz, ja... źle znoszę widok nędzy, brudnych starców, cuchnących dzieciaków. Jestem chyba zbyt wrażliwa - dokończyła, po czym wzruszyła lekko ramionami.

Oliver uśmiechnął się zdawkowo.

- Tak, z pewnością. Wcale nie mam do ciebie pretensji, Clare. Poza tym twoja przyrodnia siostra na pewno świetnie sobie poradzi. W końcu potrzebuję tylko kogoś, kto będzie czytał na głos, a Berta ma podobno dużo wolnego czasu.

- To prawda. Szczerze mówiąc, bardzo mi jej żal. Ma takie nudne życie.

Doktor Hay-Smythe ujął spoczywającą na jego ramieniu dłoń dziewczyny i pożegnał się z nią szarmancko, ta zaś oddaliła się tanecznym krokiem, aby pochwalić się matce swoim trofeum.

Następnego popołudnia, gdy Berta wychodziła z domu do autobusu, padał deszcz, musiała więc założyć znów podniszczony płaszcz. Pocieszała się myślą, że nie widać przynajmniej spod niego sukienki, którą miała na sobie. Clare kupiła ją pod wpływem chwilowego kaprysu i natychmiast przestała jej się podobać. Jak zwykle w takich przypadkach, nie chciany strój trafił do garderoby Berty.

Jaskrawa sukienka z cienkiego lnu nie nadawała się zupełnie na deszczowy, jesienny dzień. Ale ma-cocha nie uznała za stosowne kupić jej niczego innego na tę porę roku, Berta nie miała więc wielkiego wyboru. Zresztą nie musiała się dla nikogo stroić. Staruszka, do której się wybierała, miała słaby wzrok...

Wysiadłszy z autobusu, podeszła kawalek do poradni doktora Hay-Smythe'a, zadzwoniła i po chwili została wpuszczona do środka. Poradnia była elegancka i przytulna. Siedząca za biurkiem w poczekalni sympatyczna kobieta powitała Bertę miłym uśmiechem.

- Panna Soames? - zapytała, po czym wyszła zza biurka, by otworzyć drzwi do gabinetu. - Doktor już czeka na panią.

Berta nie spodziewała się tego. Cofnęła się spłoszona, mówiąc:

- Nie chcę mu przeszkadzać. Miałam tylko wziąć od pani adres.

Recepcjonistka uśmiechnęła się uspokajająco i otworzyła szeroko drzwi. Berta zobaczyła doktora siedzącego przy biurku. Podniósł wzrok, wstał i podszedł się z nią przywitać.

- Dzień dobry, Berto. Zaczekasz, aż skończę? To potrwa parę minut. Usiądź, proszę. Trafiłaś bez problemów? - Podsunął jej nieduży, wygodny fotel, posadził ją i wrócił na swoje miejsce. - Rozepnij

GWIAZDKA MIŁOŚCI

płaszcz. - Na chwilę podniósł oczy znad dokumentów. - Tu jest ciepło.

Jego przyjacielski i swobodny ton sprawił, że nabrała śmiałości i usiadła wygodnie, rozpinając płaszcz, spod którego wyłoniła się jaskrawa sukienka. Doktor oczywiście zwrócił uwagę na jej kolor, beznadziejnie dobrany do dyskretnej urody Berty, i natychmiast się domyślił, że sukienka to zapewne kolejny odrzut z garderoby Clare. Im bardziej krzykliwe stroje nosiła Berta, tym boleśniej kontrastowała z nimi jej łagodność i zwyczajność. Stwierdził ze złością, że należy coś z tym zrobić. Czy jednak o takie sprawy nie powinien zadbać raczej jej ojciec?

Skończył pisać, odłożył pióro i podniósł się z fotela.

- Jadę do przychodni zbadać kilku pacjentów. Zabiorę cię do pani Duke i wpadnę po ciebie, kiedy skończę. Zaczekasz tam na mnie? - Zauważył, że trzyma niewielki pakunek. - Książki? - domyślił się.

- Miło, że o tym pomyślałaś.

- Nasza kucharka lubi romanse, pożyczyła mi parę tytułów. Może spodobają się pani Duke.

Kiedy wyszli razem z gabinetu, recepcjonistka wstała zza biurka.

- Pani Taylor - zwrócił się do niej - zabieram pannę Soames ze sobą. Gdybym nie wrócił do piątej, proszę tu wszystko pozamykać, dobrze? Zdaje się, że mam dziś wieczorem dwie wizyty? Proszę mi to zanotować.

- Tak, panie doktorze. Sally będzie tu o szóstej...

- Sally to pielęgniarka - wyjaśnił doktor. - Jest moją prawą ręką. A pani Taylor lewą.

- Niech pan przestanie, doktorze - zaprotestowała pani Taylor, śmiejąc się cicho.

W czasie jazdy Berta, nauczona prowadzić rozmowę, gdy wymagały tego okoliczności, poruszała niezmiernie różne stosowne tematy, a doktor siedział rozbawiony za kierownicą rolls-royce'a, odpowiadając jej uprzejmie. Zanim więc przystanęli w obskurnej uliczce, wzdłuż której stał szereg małych domków, dziewczyna była już całkiem rozluźniona.

Doktor pomógł jej wysiąść i poprowadził ją do drzwi, które pilnie wymagały malowania. Po chwili otworzyła im starsza kobieta o pomarszczonej twarzy, żywych czarnych oczach i zmierzwionych włosach. Powitała doktora skinieniem głowy i wbiła wzrok w Bertę.

- Przyprowadził pan tę dziewczynę, tak? Dobrze, proszę wejść. Przyda mi się towarzystwo. - Poprowadziła ich do drzwi na końcu wąskiego korytarza. - Mam własne mieszkanie - oznajmiła z dumą.

-Jak ci na imię, dziecko?

- Berta, pani Duke.

Obserwując ją, doktor stwierdził z ulgą, że nie zmarszczyła z odrazą nosa, poczuwszy silny zapach kotów i gotowanej kapusty. Okazywała raczej staruszcze życzliwe zainteresowanie.

30

Został tylko przez kilka minut, a kiedy wyszedł, Berta usiadła na wskazanym jej przez staruszkę miejscu i pokazała przyniesione książki.

Pani Duke przyjrzała się okładkom.

- To coś dla mnie - stwierdziła z uśmiechem. Zacznijmy od „Nieśmiertelnej miłości”, dobrze?

Usadowiła się w przepastnym fotelu, a stary kocur wspiał jej się na kolana. Berta otworzyła książkę na pierwszej stronie i zaczęła czytać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy doktor wrócił po dwóch godzinach, Berta nadal czytała. Przerwała tylko na chwilę, gdy pani Duke robiła herbatę - mocną, z dodatkiem mleka z puszki i dużej ilości cukru. Ale staruszka nie dała jej dłużej odpocząć. Berta posłusznie wzięła książkę do ręki i - mając na kolanach mniejszego kota - kontynuowała barwną sagę o skrzywdzonej dziewczynie i porywczym awanturniku.

Pani Duke słuchała z przejęciem każdego słowa, prosząc Bertę od czasu do czasu o powtórzenie któregoś fragmentu. Gdy doktor zapukał do drzwi, wstała niechętnie z fotela, wyraźnie niezadowolona, że ktoś przerywa tak interesującą lekturę.

- I jak się pani podobało? - zagadnął, wchodząc śmiało do mieszkania.

- Za wcześnie pan przyszedł, doktorze. Jesteśmy dopiero w połowie. - Pani Duke opadła na fotel.

-Berta czyta przepięknie. Kiedy znowu przyjdzie?

Doktor spojrzał na dziewczynę, siedzącą w milczeniu z kotem na kolanach.

- Kiedy chciałabyś przyjść? - zapytał.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Kiedy tylko pani Duke sobie życzy.
 - Może więc jutro? Skończyłybyśmy tę historię...
 - Tak, oczywiście. O tej samej porze?
 - Bardzo dobrze. Podaj mi Perkinsa. Lubisz koty, prawda?
 - Tak. - Berta wstała z fotela. - Skończymy tę książkę jutro - obiecała.
 - Niech pani teraz odpocznie - poradził doktor.
 - Nie przejęła się pani zbyt tą historią? Tak ciężko pani oddycha.
- Później, gdy wracali do mieszkania Berty, wrócił do tego tematu.
- Przywiozę cię jutro o tej samej porze - oderwał na chwilę wzrok od drogi - a potem po ciebie przyjadę, jak dzisiaj. Muszę chyba zbadać panią Duke
 - westchnął. - Trochę za bardzo sapie.
 - To "prawda. Kiedy poszła zrobić herbatę, nie mogła złapać tchu. Czy jest poważnie chora?
 - Ma słabe serce i płuca. Skończyła już osiemdziesiąt lat, a całe życie ciężko pracowała. Niestety, nie zgadza się iść do szpitala. Sprawiała jej wielką przyjemność tą książką - uśmiechnął się lekko. -
Dziękuję ci, Berto.
 - Znow spójrz na nią i zapytał: - Nie przeszkadzały ci te zapachy, towarzystwo kotów?
 - Skądże! Cieszę się, że komuś jestem potrzebna. Myśli pan, że ona nie poczuje się urażona, jeśli przyniosę jej kawałek ciasta? Pani Cook chętnie coś upiecze.

33

- Och, na pewno będzie zachwycona. Jest bardzo dumna, to prawda, ale zdaje się, że przypadłaś jej do gustu.

Kolejny raz zerknął na nią kątem oka i stwierdził z pewnym zdziwieniem, że jemu także Berta coraz bardziej się podoba.

- Ustalmy, w jakie dni mogłabyś odwiedzać panią Duke, dobrze? - odezwał się rzeczowym tonem.

- Powiedzmy: trzy razy w tygodniu. Pasowałoby ci w poniedziałki, środy i piątki? Albo lepiej w soboty

- to urozmaici jej weekendy. W środy i soboty ja będę cię podwoził, a w poniedziałki, jeśli przyjdiesz do mojej poradni, podrzuci cię ktoś inny.

- Mogę ją odwiedzać, kiedy pan sobie życzy. Muszę tylko poprosić w domu o pozwolenie... I mogę jeździć autobusem, nie ma potrzeby, żeby...

- I tak do niej zaglądam - nie pozwolił jej dokończyć.

- W takim razie chętnie skorzystam, jeśli to nie problem.

- Żaden. Zastanawiam się tylko, czy twoja macocha nie będzie miała zastrzeżeń.

- Nie przypuszczam. - Berta zamilkła na chwilę.

- Może jej się tylko nie podobać, że jeżdżę z panem

- dodała bez ogródek.

- Tak? - Uniósł brwi. - Hm, chyba masz ra* cję. Ale nie musimy jej przecież o tym wspominać, prawda?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- To będzie nasza tajemnica? - uśmiechnęła się lekko.

- Właśnie - odparł swobodnie. - Nie powiemy o tym nawet twojej siostrze. Jutro wieczorem zabieram ją na kolację, lecz o tobie i pani Duke - ani słowa. Ta twoja siostra ma mnóstwo wielbicieli, prawda? - zmienił temat równie lekkim tonem.

Berta podjęła rozmowę, lecz jej dobry nastrój przysł wraz ze wzmianką o Clare.

Minęły dwa tygodnie. Jesień zaczęła ustępować zimie. Pani Soames była jednak zdania, że Berta nie potrzebuje nowych sukienek, skoro tak rzadko wychodzi z domu. Dostała przecież kilka strojów po Clare, które wystarczy tylko trochę przerobić, by nadały się w sam raz dla niej. To na razie wystarczy, myślała. Coś nowego trzeba będzie kupić za miesiąc, przed powrotem ojca Berty.

Z tego to powodu Berta odwiedzała panią Duke, ubrana w zbyt obszerną, jasnozieloną sukienkę siostry. Tak jak zaproponował doktor, odwiedziny miały miejsce trzy razy w tygodniu - w poniedziałki, środy oraz soboty. Najbardziej lubiła środy i soboty, gdyż wtedy podwoził ją doktor, ale chłopak, z którym jeździła w poniedziałki, także okazał się miły. Był młodym lekarzem, pomagającym od czasu do czasu w przychodni. Dobrze się rozumieli, gdyż Berta potrafiła słuchać, a on zawsze miał coś

do powiedzenia o dziewczynie, którą zamierzał poślubić.

Berta była zdziwiona, że macocha pozwala jej odwiedzać panią Duke. Wiedziała jednak, że pani Soames, pragnąc znaleźć odpowiedniego męża dla córki, jest gotowa na wiele, aby zacieśnić przyjaźń z doktorem Hay-Smythem. Pewnie uznała, że skoro doktor zaprosił Clare na kolację i przyjął zaproszenie na obiad w ich domu, to są szansę na to, by został jej zięciem.

Clare, ubrana w zwodniczo prostą białą sukienkę, wyglądała w dniu owego obiadu cudownie. Berta, oczywiście, również brała w nim udział, bo nie było powodu, aby ją pominąć. Ona jednak miała na sobie koszmarne różową sukienkę, która zupełnie jej nie pasowała. Cóż, skoro wychodziła z domu tylko do pani Duke, naprawdę nie warto było kupować jej nowych strojów.

Pani Soames uznała, że doktor Hay-Smythe jest uroczy. Adorował jej ukochaną Clare i traktował po przyjacielsku Bertę, choć nie okazywał dziewczynie większego zainteresowania. Pani Soames mogła odetchnąć z ulgą.

Przez kolejne trzy tygodnie Berta odwiedzała sumiennie swoją podopieczną. W sobotę staruszka nagle zmarła. Dziewczyna skończyła właśnie czytać jej trzeci rozdział powieści, kiedy pani Duke westchnęła ciężko i przestała oddychać.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Berta zamknęła książkę, postawiła ostrożnie na podłodze siedzącego na jej kolanach kota i ujęła pomarszczoną dłoń pani Duke. Nie wyczuła pulsu. Nie była tym zaskoczona.

Skrzyżowała ręce staruszki na piersiach i poszła do małego przedpokoju, gdzie doktor zostawił jej „na wszelki wypadek” telefon komórkowy oraz numer, pod którym można go zastać. Wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale teraz doceniła jego przezorność. Wybrała numer do przychodni i po chwili usłyszała jego spokojny głos.

- To ty, Berto? Coś się stało?

- Pani Duke... - starała się opanować drżenie głosu. - Proszę szybko przyjechać. Ona właśnie umarła.

- Będę za pięć minut. Dobrze się czujesz?

- Ja? Tak, dziękuję. Tylko niech pan zaraz przyjedzie... - dodała zdławionym głosem.

Nie minęło chyba nawet pięć minut, gdy doktor zjawił się w drzwiach i poklepał Bertę uspokajająco po ramieniu, wszedł pospiesznie do salonu, by obejrzeć zmarłą. Pochylił się nad nią przez chwilę, po czym wyprostował się i oznajmił:

- Niestety, nie żyje. Cóż - westchnął - właśnie tak pragnęła umrzeć. We własnym mieszkaniu, słuchając jednej ze swych ulubionych opowieści. - Spojrzał na Wadę twarz Berty. - Usiądź, dopóki nie załatwię formalności.

Berta trzymała na kolanach dwa koty, które wyraźnie wyczuwały, że stało się coś złego. Doktor tymczasem zadzwonił do przychodni i po kilku minutach zjawiała się miła, starsza kobieta, która pomogła mu przenieść panią Duke do sypialni.

- Zawiozę cię do domu, Berto - powiedział, gdy wrócił do małego saloniku. - Przeżyłaś szok. Przykro mi, że stało się to akurat w twojej obecności.

- Proszę nie robić sobie wyrzutów. Pani Duke po prostu zasnęła... Nie możemy zostawić tu tych kotów. - Poglądziła ich puszystą sierść. - Zabrałabym je, ale obawiam się, że macocha...

- Ja się nimi zaopiekuję. Mam w mieszkaniu dość miejsca. Freddie, mój pies, będzie miał towarzystwo.

- Pani Duke byłaby zadowolona - odparła Berta, powstrzymując drżenie głosu. - Ona... bardzo je lubiła. - Odstawiła delikatnie oba koty i wstała z fotela. - Mogę wrócić autobusem. Ma pan chyba dużo pracy,

- Zdażę ze wszystkim. - Zerknął na zegarek. - Chodź, napijesz się herbaty. To ci dobrze zrobi.

- Proszę nie robić sobie kłopotu. - Po policzkach Berty spłynęły powoli dwie łzy. - Poza tym nie powinniśmy myśleć teraz o herbacie...

- Pani Duke z pewnością by od tego zaczęła. Nie płacz, Berto. Ona wiedziała, że koniec jest bliski. Właśnie tak chciała umrzeć.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Tak, oczywiście. - Otarła łzy wierzchem dłoni.
 - Przepraszam, że tak się rozkleiłam. Lepiej już pójdę. Na pewno poradzi pan sobie z kotami?
 - Zaczekaj, zamienię tylko słowo z panią Tyler.
 - Przytrzymał ją lekko za ramię, znów wszedł na chwilę do sypialni, po czym wyszedł z Bertą na zewnątrz i poprowadził ją do samochodu.
- Zatrzymali się w bocznej uliczce w rejonie Oxford Street. Doktor zaprosił Bertę do małej kawiarenki, zamówił herbatę i usiadł przy stoliku naprzeciw niej.
- Twoja macocha nie musi na razie o niczym wiedzieć - odezwał się, patrząc na nią z lekkim zakłopotaniem. - Jeśli chcesz, nadal możesz wychodzić trzy razy w tygodniu, a może częściej. Mam dla ciebie inną pracę.
 - Widzę, że przejął się pan moim losem.
 - Po prostu staram się pomóc. Tak się składa, że w przedszkolu, z którym mam kontakt, potrzebują kogoś, kto czytałby książki dzieciom. Chciałabyś to robić? Zmieniłyby się terminy, ale z pewnością przekonałbym panią Soames, że wciąż jesteś potrzebna. To już **mój** problem. Jutro, pojutrze załatwię to i powiem o wszystkim, zgoda?
 - **A** czy powie mi pan, kiedy będzie pogrzeb?
 - Pogrzeb? Ach, tak... Będziesz chciała pójść na pogrzeb pani Duke, prawda? Oczywiście, tego też się dowiem. Mogłabyś zadzwonić jutro wieczorem do mojej poradni?

39

- Co wieczór wyprowadzam psa macochy. Podejdę do budki telefonicznej. To niedaleko.
 - Świetnie. - Doktor uśmiechnął się serdecznie.
 - Wypij teraz herbatę, a potem zawiozę cię do domu.
 - Po chwili dodał jakby od niechcienia: - Powiedz, Berto, nie ma chyba potrzeby mówić w domu o tym, że zmieniłaś pracę, prawda? Ani o śmierci pani Duke. - Zerknął na nią z ukosa. - Twoja macocha dowie się o wszystkim w odpowiednim czasie.
 - Tak, ma pan rację. Lepiej będzie, jeśli zachowamy to w tajemnicy. Ona... sam pan rozumie.
 - Rozumiem, Berto - powiedział uspokajającym tonem. - Rozumiem doskonale.
- Następnego dnia wieczorem Berta dowiedziała się przez telefon, że pogrzeb pani Duke odbędzie się w środę. Doktor obiecał, że jeśli dziewczyna przyjdzie jak zawsze do poradni, podwiezie ją do mieszkania staruszki, skąd trumna zabrana zostanie do kościoła, a potem na cmentarz.
- A co do poniedziałku - kontynuował - bądź u nas o zwykłej porze. Zabiorę cię do przedszkola, żebyś wszystkich poznała i uzgodniła godziny pracy.
- Wróciwszy do domu, Berta spotkała w holu wystorjoną do wyjścia Clare, która na jej widok okręciła się w kolko, demonstrując krótką jedwabną sukienkę.
- Podoba ci się? Odślania jak należy moje nogi, prawda? Idę na przyjęcie do „Ritza” - uśmiechnęła

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się czarująco. - Muszę korzystać z życia, zanim się ustatkuję i zostanę szacowną żoną lekarza.

Oddaliła się tanecznym krokiem, a Berta, zamyślona, poszła z psem do kuchni. Zastanawiała się, dlaczego doktor był dla niej taki miły i dlaczego koniecznie chce, by pracowała. Może postanowił w ten sposób sprawić przyjemność Clare, którą kocha? Cóż w tym zresztą dziwnego? Clare jest tak piękna i wszyscy tak bardzo pragną jej towarzystwa, że gotowi są dla niej na wszelkie poświęcenia. Macocha, o dziwo, nie sprzeciwiała się, by Berta wychodziła z domu o innych porach niż dotychczas. Doktor oznajmił to tej ostatniej w drodze na cmentarz, po czym dodał, że z załatwieniem zgody nie było żadnych problemów.

- Wydawała się nawet zadowolona - mówił. - Jej zdaniem to dobrze, że nie unikasz ludzi.

Berta była zaskoczona tą uwagą, wiedziała bowiem aż za dobrze, że macocha nigdy nie interesowała się jej losem. Nie podzieliła się jednak z doktorem swoim zdumieniem.

Na mszy było zaskakująco dużo ludzi. Za życia pani Duke zdawała się mieć niewielu przyjaciół, ale teraz nawet osoby znające ją tylko z widzenia wypełniały kościół, potem cmentarną alejkę, wreszcie jej małe, opustoszałe teraz mieszkanko. Bratanek pani **Duke** - młody człowiek, który przyjechał z żoną

41

z Sheffield - częstował wszystkich herbatą i kanapkami z pasztetem.

Berta, starając się jak zawsze pomagać, nalewała herbatę, kroiła chleb i słuchała beztrioskich rozmów. Pani Duke byłaby zadowolona, myślała. Wyprawiono jej wspaniały pogrzeb, grób tonął w kwiatach, a żałobnicy byli spokojni, pogodzeni z wyrokiem opatrności i nie lali łez.

- Ciotka zapisała mi różne drobiazgi - oznajmił bratanek, wchodząc do kuchni po kolejny dzbanek herbaty - i drobną sumę oszczędności. Jedyne kłopot to te jej koty. Chyba będę je musiał uśpić, bo mamy w domu psa.

- Nie trzeba. Doktor Hay-Smythe zabrał już je do domu.

- Ach, tak? To dobrze, niech je sobie zatrzyma. Dobrze się opiekował moją ciotką, prawda? _

- Zawsze o niej pamiętał.

Po tych słowach w kuchni pojawił się doktor.

- Chyba możemy już jechać - zwrócił się do Berty. - Ta stupa jeszcze trochę potrwa, więc poproszę, żeby ktoś cię tu zastąpił. Wypiłaś herbatę?

Berta pokręciła głową.

- To bez znaczenia. Skoro musimy już iść...

- Nie spiesz się. - Doktor uśmiechnął się do niej. - Zaczekaj, zaraz kogoś przyprowadzę.

Po chwili wrócił z panią Tyler, która położyła dłoń na jej ramieniu i powiedziała:

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Dziękujemy ci z całego serca, kochanie. Goście zostaną jeszcze przez kilka godzin, ale ty dość się już napracowałaś. Idź już, dziecko. Jeszcze raz dziękuję ci, że przyszedłaś.

- Lubiłam panią Duke.

- Ja też. Na pewno jest szczęśliwa, że na pogrzeb przyszło tyle osób.

Kiedy wsiedli do samochodu, doktor zapytał:

- Czekają na ciebie w domu?

- Nie - pokręciła głową Berta - wybierały się do galerii, a potem miały iść na drinka z przyjaciółmi.

— A ty? Jakie masz na dzisiaj plany?

- Wrócę autobusem do domu - oznajmiła rzeczowo Berta - a potem napiję się herbaty. Proszę tylko wysadzić mnie na przystanku.

- I będziesz tak sama piła herbatę?

- No, sama - przyznała Berta. - Crook ma wolne popołudnie, nasza pokojówka także, a kucharka będzie odpoczywała do wieczora, bo ma kłopoty z nogami.

- W takim razie wpadnijmy do mnie.

- Jest pan bardzo miły - uśmiechnęła się łagodnie - ale to nadmiar uprzejmości. Zabrałam już panu dość czasu, a na pewno ma pan mnóstwo pracy.

- Daj spokój, Berto. Przestań wreszcie się usprawiedliwiać - rzekł doktor niespodziewanie stanowczym głosem. - Jeśli nie masz ochoty przyjąć za-

proszenia, powiedz wprost. W przeciwnym razie jedź ze mną. Powspominamy sobie panią Duke przy herbacie i grzankach.

- Wcale się nie usprawiedliwiam - odparła urażona, podnosząc nieco głos. - Nie chcę tylko, żeby pan... żeby ktokolwiek...

- Litował się nad tobą? Wcale nie mam takiego zamiaru.

Zatrzymał samochód przed poradnią i wysiadł, by otworzyć jej drzwiczki. Berta spojrzała mu w oczy, uśmiechając się mimowolnie.

Cully oczekiwał ich przy wejściu. Ukłonił się nisko Bercie i wskazał drogę do salonu.

- Poprosimy o mocną herbatę i gorące grzanki - polecił mu doktor. - Może znajdziesz też parę ciasteczek?

- Tak jest, proszę pana. Czy mam zabrać płaszcz panienki?

Służący był zdumiony widokiem jaskrawej sukienki Berty, ale nie dał tego po sobie poznać. Nie miał dotąd wysokiego mniemania o kobietach, które jego pan zapraszał czasem na drinka lub obiad, ale ta była jego zdaniem inna, pomimo okropnego stroju. Popatrzył na nią z uznaniem, po czym udał się do kuchni, by ułożyć na talerzu ciasteczka. Oczywiście, własnego wyrobu. Nie darzył zaufaniem tych, które sprzedawano w sklepie. Berta, nieświadoma na szczęście myśli Cully'ego

GWIAZDKA MIŁOŚCI

na jej temat, weszła z doktorem do salonu. Freddie powitał ją radośnie, zamerdał ogonem, a potem stanął u boku swego pana.

- Nie wiedziałam, że ma pan mieszkanie nad poradnią - zdziwiła się Berta. - To chyba wygodne.

Pogłaskała Freddiego, rozglądając się wokół z zaciekawieniem. Pokój ogromnie jej się podobał. Na jego umeblowanie składały się gustowne fotele i sofy, antyczne gabloty, stoliki, wspaniałe georgiański stół pod oknem i złożone lustro nad kominkiem. Była pewna, że ono także pochodzi z czasów króla Jerzego.

- Piękny salon - westchnęła z zachwytem.

- Cieszę się, że ci się podoba. Usiądź. - Wskazał jej obitą brokatem kanapę, a sam usadowił się w fotelu naprzeciwko niej. Kiedy spojrzała na wysoki stojący zegar, który wybijał właśnie czwartą, dodał uspokajająco: - Nie martw się. Dopilnuję, żebyś była w domu, zanim wszyscy wrócą.

Cully wniósł obładowaną tacę. Postawił ją na niskim stoliku i wyszedł z salonu, ale przedtem przyjrzał się dyskretnie Bercie. Tak, teraz był pewny, że ta dziewczyna jest lepsza niż inne przed nią.

Bercie bardzo smakował podwieczorek. Zdążyła już zgłodnieć, a wykwintne kanapki i ciasteczka

Cully'ego były wyborne. Siedząc w kojącej ciszy salonu z doktorem, któremu ufała i którego uważała za przyjaciela, czuła się zadowolona i szczęśliwa.

45

Nie miała nic przeciwko temu, by ich rozmowa dotyczyła wyłącznie jej pracy w przedszkolu.

Macocha i Clare przypominały jej nader często, że jest beznadziejnie nudna i zupełnie pozbawiona uroku, byłaby więc zaskoczona, gdyby doktor chciał rozmawiać z nią o czymkolwiek innym.

Z początku tak właśnie układała się ich rozmowa. Powiedział jej, że powinna być w przedszkolu codziennie między jedenastą a dwunastą trzydzieści. Zgodziła się bez namysłu. Czasem mogło się to okazać kłopotliwe, gdyby jnusiła w tym czasie wyprowadzać psa albo iść na zakupy, ale postanowiła na razie się tym nie przejmować. Doktor nie musiał wiedzieć o jej obawach.

- Mają tam mnóstwo książek - oznajmił. - Dzieci są w różnym wieku, od dwóch do pięciu lat. Masz im tylko czytać. Inne obowiązki należą do reszty personelu.

- Na pewno mi się tam spodoba - stwierdziła z uśmiechem Berta. - Najważniejsze, że znów będę miała stałe zajęcie.

Odwiózłszy ją do domu, doktor zaczekał, aż dziewczyna wejdzie do środka. Po chwili wystawiła głowę przez drzwi i potwierdziła, że nikogo jeszcze nie ma.

Macocha nie zadawała żadnych pytań. Ograniczyła się do stwierdzenia, że Berta ma dużo szczęścia,

46

iz doktor Hay-Smythe znalazł jej jakieś zajęcie. Nie było jej, oczywiście, na rękę, że dziewczyna musi codziennie wychodzić z domu, ale ponieważ uważała doktora niemal za przyjaciela rodziny - a w istocie nawet kogoś więcej - wyraziła zgodę.

- Clare jest pewna, że ją kocha, musimy zatem spełniać jego życzenia.

Tak więc w poniedziałek rano Berta zjawiła się w poradni doktora, tak jak uzgodnili. Przedszkole było niedaleko. Miał ją tam zaprowadzić i przedstawić dyrektorce.

Pani Taylor powitała ją przyjacielskim uśmiechem.

- Zaraz zawiadomię doktora. Jest z psem w ogrodzie.

Podniosła słuchawkę telefonu. Doktor zjawił się po kilku minutach.

- Przejdę się z tobą, Berto. - Spojrzał na zegarek. - Mam sporo czasu.

Wyszli na ulicę. Berta musiała wyciągać nogi, żeby dotrzymać mu kroku.

- Od jutra możesz jeździć autobusem - wyjaśnił. - Tam, na rogu, jest przystanek.

Skęcili w wąską uliczkę, a potem w zaułek z szeregiem dość obskurnych domków. Doktor wszedł na schody, prowadzące do frontowych drzwi jednego z nich i przycisnął dzwonek.

Przedsiónek wyglądał dość ubogo, ale dzięki po-

malowanym na żółto ścianom sprawiał przytulne wrażenie. Na podłodze leżały maty, a pod ścianą stał wazon z kwiatami. Na spotkanie wyszła im niska i krępa kobieta o pogodnej twarzy i żywych oczach. Przywitała doktora jak starego znajomego, po czym spojrzała na Bertę.

- A więc to ty masz czytać dzieciom - powiedziała, podając jej rękę. - Bardzo się cieszę. Potrzebujemy pomocy. Chodź, zobaczysz naszych podopiecznych.

Otworzyła drzwi do przestronnego, jasnego pomieszczenia, w którym gromada przedszkolaków bawiła się w towarzystwie kilku młodych kobiet.

- Oczywiście, nie będziesz czytała wszystkim dzieciom - wyjaśniła dyrektorka. - Wybrałam te, które mniej więcej cię zrozumieją. Widzisz, one bardzo lubią wsłuchiwać się w czyjś głos...

Weszli na środek sali. Maluchy otoczyły ich ze wszystkich stron.

- Mamy tu dzieci specjalnej troski... Troje jest niewidomych, kilka ma porażenie mózgowe, niektóre są kalekie...

Doktor obserwował reakcję Berty. Jej twarz wyrażała zaskoczenie, współczucie, ale też szczerą sympatię. Może nieładnie postąpił, że nic jej wcześniej nie powiedział, ale chciał się przekonać, jak zareaguje. Zachowała się dokładnie tak, jak oczekiwał. Nie patrzyła na kalekie dzieci z niechęcią, lecz z życzliwością i troską.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Chętnie tu będę przychodziła - oznajmiła, spoglądając na niego z uśmiechem. - Jeszcze raz dziękuję, że znalazł mi pan tę pracę - dodała, po czym zwróciła się do dyrektorki: - Jak pani sądzi, poradzę sobie?

- Z całą pewnością, moja droga. Chodź, zdejmij kurtkę, zaraz ci wszystko pokażę.

Berta wyciągnęła rękę do doktora.

- Cóż, pewnie już się nie zobaczymy. Może kiedy przyjdzie pan spotkać się z Clare... Mam nadzieję, że wie pan, jak bardzo jestem panu wdzięczna. Dziękuję za wszystko.

Doktor ujął mocno jej dłoń.

- Może nie będzie tak źle, Berto. Zapewne będziemy się widywali tutaj. Często przychodzę odwiedzać te dzieci.

Kiedy doktor się pożegnał, dyrektorka przedstawiła Bertę przedszkolankom, a potem zostawiła ją z grupą dzieci, które siadły wokół krzesła, by słuchać bajek ze starej książki.

Nie było to zwykle czytanie. Dzieci przerywały jej często, prosząc o powtórzenie fragmentów opowiadania, a niektórym musiała pewne rzeczy wyjaśniać. Szybko jednak zorientowała się w ich oczekiwaniach i przed wpeł do pierwszą rozumieli się już znakomicie. Wracając do domu na obiad, który musiała jeść samotnie gdyż macocha i Clare gdzieś wyszły, przyrzekła sobie, że następnego dnia sprawi się lepiej.

49

W ciągu kilku dni Berta świetnie już sobie radziła. Praca okazała się wymagająca, ale dawała jej wiele satysfakcji. Dzieci były zaskakująco pogodne, choć często uparte i rozdrażnione. Lecz Berta, której w domu zawsze brakowało miłości, miała im wiele do zaoferowania.

Po dwóch tygodniach pracy stwierdziła, że jest bardzo szczęśliwa, pomimo całej monotonii domowego życia. Macocha nadal posyłała ją po zakupy i na spacer z psem, kazała jej też załatwiać ciągle różne sprawy, miała więc mało czasu dla siebie. Ale dzięki temu nie myślała przynajmniej o doktorze, którego wkrótce bardzo zaczęło jej brakować.

Sądziła, że jeśli Clare za niego wyjdzie - a wnosząc ze słów przyrodniej siostry, wydawało się to bardzo prawdopodobne - będzie mogła go od czasu do czasu widywać. Odwiedził parę razy ich dom i Clare relacjonowała szczegółowo spędzane z nim wieczory, nie kryjąc, że jest zdecydowana za niego wyjść.

Kiedy Berta spytała, czy Clare go kocha, ta odparła ze śmiechem: -

- Oczywiście, że nie, ale jest idealnym kandydatem. Ma dużo pieniędzy, jest przystojny... No i dzięki niemu wyrwę się z domu. To wystarczy.

Berta bardzo się tym martwiła. Myślała z goryczą, że doktor Hay-Smythe zasługuje na lepszą żonę. Z drugiej strony, miłość nie zjawia się na zamówienie. Skoro ją kochał, może wszystko jakoś się ułoży.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Berta pracowała już trzeci tydzień w przedszkolu, gdy któregoś dnia Clare poprosiła ją nieoczekiwanie, by poszła z nią po południu na zakupy.

- Muszę kupić parę rzeczy. Mama bierze samochód, a ja nie znoszę jeździć sama taksówkami. Będziesz mi towarzyszyć.

Wyruszyły po obiedzie, taksówką zamówioną wcześniej przez Crooka. Clare była w szampańskim nastroju i traktowała Bertę wyjątkowo przyjaźnie.

- Pora, żebyś zaczęła przyzwyczaić się ubierać - oświadczyła. - Pamiętasz tę dwuczęściową garsonkę? Nigdy jej nie lubiłam. Ma okropny kolor. Mogę ci ją podarować, kochanie.

- Dlaczego miałabym ją nosić, skoro jest taka okropna? - uśmiechnęła się Berta. - Ale mimo wszystko dziękuję.

- Och, wygląda okropnie na mnie. Tobie na pewno będzie w niej dobrze. - Spojrzała na Bertę. - Mówię ci, bierz ją i nie wybrzydzaj. Matka nie kupi ci niczego do powrotu ojca, a on przyjedzie z opóźnieniem. Berta przypuszczała, że w dwuczęściowej garsonce nie wyglądałaby gorzej niż w jasnozielonej sukience. Poza tym i tak dla nikogo nie musiała się stroić. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zarobi trochę pieniędzy. Pracowała jako wolontariuszka, ale gdyby zatrudniono ją na więcej godzin, może dostałaby jakieś wynagrodzenie? Nie oczekiwałyby przecież wiele.

51

Pomysł ten, podniósł ją na duchu, dzięki czemu była w stanie czekać cierpliwie, gdy Clare przymierzała kolejne sukienki, a potem kupowała włoskie buty na wysokich obcasach. Przyglądając się, jak Clare je zakłada, Berta zieleniała z zazdrości. Miała dużo zgrabniejsze nogi od siostry i uznała w przypływie złego humoru, że buty uszyto dla niewłaściwej osoby.

Po południu przejaśniło się. Clare wręczyła Bercie torebkę z zakupami i oznajmiła beztrąsko, że wrócą do domu pieszo. ...

- Jeśli się zmęczymy, zawsze możemy złapać taksówkę. Chodź, pójdziemy na skróty.

Szły spokojną, pustą ulicą. Gdy były w połowie jej długości, z wąskiej alejki wyskoczyli niespodziewanie dwaj młodzi mężczyźni i zaatakowali staruszkę, idącą powoli chodnikiem po drugiej stronie.

Powalili ją na ziemię i próbowali wyrwać torebkę z zaciśniętej kurczowo dłoni.

Clare przystanęła i chwyciła Bertę za ramię.

- Uciekajmy, bo i nas napadną! Szybko! Berta nie zwróciła uwagi na te słowa. Wyrwała się z uścisku siostry, przebiegła przez ulicę i grzmotnęła jednego z napastników w łydkę plastikową torbą z nowymi butami Clare. Mężczyzna zachwiał się, odwrócił. Berta ponownie się zamachnęła, zamierzając go uderzyć, ale tym razem torba pękła i huty, wpadły z pluskiem prosto do kałuży.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Bandyaci! - krzyknęła. - Na pomoc... policja!

Spłoszeni rabusie wzięli nogi za pas, porzucając po drodze skradzioną torebkę. Berta natomiast, wciąż jeszcze dygocąc ze strachu, ukłękła obok staruszki.

- Nic się pani nie stało? - spytała.

- Moja torebka... Moja renta... - Kobieta była blada i miała posiniaczoną twarz.

- Już dobrze. Zostawili pani torebkę. Zaraz ją przyniosę. Nie jest pani ranna?

Zanim staruszka zdążyła odpowiedzieć, Clare syknęła Bercie do ucha:

- Zniszczyłaś moje nowe buty! Nigdy ci tego nie daruję!

- Daj spokój, Clare! Zadzwoń lepiej do którychś drzwi, żeby wezwali karetkę!

Clare była tak zaskoczona rozkazującym tonem siostry, że bez słowa wykonała jej polecenie. Po chwili wróciła w towarzystwie jakichś ludzi. Berta, wciąż klęcząc nad poturbowaną staruszką, słuchała mimochodem jej słów.

- Dwóch zbirów powaliło ją na ziemię - opowiadała dam piskliwym głosem. - Oczywiście natychmiast przebiegłam przez ulicę i zaczęłam ich okładać torbą. Najpierw jeden z nich upadł, a potem obaj uciekli Boże - westchnęła - nigdy w życiu nie byłam równie przerażona...

- Jest pani bardzo dzielna - oznajmił jakiś głos.

53

- Nic się pani nie stało? - zapytał inny. - Zachowała się pani jak bohaterka.

- Człowiek nie myśli w takich chwilach o sobie - mruknęła Clare. - Dopiero teraz czuję, jak bardzo jestem roztrzęsiona. Na szczęście gdy bandyci już uciekli, przyszła mi z pomocą siostra.

Staruszka wbiła zdumione spojrzenie w pogodną twarz Berty.

- Przecież ona kłamie - szepnęła. - To ty mi pomogłaś, moje dziecko... Widziałam... - Przymknęła oczy ze zmęczenia. - Muszę o tym komuś powiedzieć. ..

- To bez znaczenia - stwierdziła dobrotliwie Berta. - Najważniejsze, że jest już pani bezpieczna.

Proszę, oto pani torebka.

Kiedy przyjechała karetka, Berta opuściła staruszkę i pozwoliła ułożyć ją na noszach. Garstka gapiów rzuciła jej nieprzyjazne spojrzenia. Domyślała się, co o niej sądzą. Zostawiła piękną siostrę na pastwę bandytom. Na szczęście w tych brutalnych czasach zdarzają się jeszcze dzielne dziewczyny...

Berta nie przywiązywała do tego wagi. Zapewne nigdy już tych ludzi nie spotka. Zastanawiała się tylko, co zrobi teraz Clare. Najprawdopodobniej poprosi któregoś z mężczyzn, żeby ją podwiózł; A przecież do domu wcale nie było daleko.

Szczęśliwym - a może pechowym - zbiegiem okoliczności przejeżdżał właśnie w pobliżu doktor

54

Oliver Hay-Smythe. Zobaczywszy zbiegowisko, zatrzymał się natychmiast i wysiadł z samochodu. Clare wydała na jego widok pełen egzaltacji okrzyk, a potem, jak przystało na okoliczności, pobięła w jego kierunku.

ROZDZIAŁ TRZECI

- O! iverze, dzięki Bogu, że jesteś! - zawołała Clare heroicznym tonem, wskazując na sanitariuszy, którzy wsuwali nosze z poszkodowaną staruszką do wnętrza ambulansu. - Tę biedną kobietę napadło dwóch bandziorów. Omal jej nie zabili... Ale przybiegłam z pomocą, cisnęłam w nich torbą i wtedy uciekli.

Zebrani wokół gapie podchwycili ten dramatyczny ton.

- To wyjątkowo dzielna dziewczyna - skomentował jeden z nich.

- Prawdziwa bohaterka!

- Och... - westchnęła skromnie Clare. - Każdy by tak postąpił. - Położyła doktorowi dłoń na ramieniu i spojrzała mu w oczy. - To zwyczajny ludzki odruch.

Ale on nie patrzył na nią. Przyglądał się staruszce, wnoszonej do karetki. Starsza pani rozmawiała z Bertą, ta zaś wyjęła właśnie z torebki kawałek papieru i ołówek, by coś zanotować.

Doktor odsunął delikatnie rękę Clare.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Poczekaj, zobaczę, co się tam dzieje. Zamienił kilka słów z kierowcą karetki, po czym pochylił się nad staruszką, posyłając Bercie zdawkowy uśmiech.
- Czy mogę w czymś pomóc? Podobno nie ma pani żadnych złamań, ale lepiej pojechać na badania do szpitala.
- Kobieta przyjrzała mu się uważnie.
- Jest pan lekarzem? Proszę pana, niech pan nie wierzy w przechwałki tamtej dziewczyny! Nie ma w nich słowa prawdy! Widziałam na własne oczy, jak próbowała uciec. To ta mała odstraszyła tych zbirów, chociaż byli od niej o wiele wyżsi. - Prychnęła z pogardą. - A tamta? Była wściekła, że ucierpiały jej buty!
- Dziękuję, że mi to pani powiedziała. Podała pani komuś swoje nazwisko, adres? Czy trzeba zawiadomić rodzinę?
- Ta młoda dama wszystkim się zajmie. Ona jedna robi, co trzeba, podczas gdy inni tylko gadają.
- Istotnie. - Doktor wziął staruszkę za rękę. - Ale niech pani się już nie martwi. Wszystko będzie dobrze.
- Dał znak kierowcy i karetka odjechała. Dopiero teraz podszedł do Berty.
- Daj mi adres tej kobiety, dobrze? Zajrzę do niej jeszcze dzisiaj. A teraz odwiozę was do domu.
- W tym momencie dołączyła do nich Clare.

- Co się stało, Oliverze? Och, nie musisz się już o nią martwić. Zajmą się nią w szpitalu. Wiesz, mój drogi, dziwnie się czuję. To był dla mnie szok...

- Podrzucę was do domu. Chyba powinnaś się położyć, Clare.

- Skądże! - zaprotestowała, wskazując do samochodu. - Nie jest ze mną tak źle. Ale Berta na pewno chętnie odpocznie. Była okropnie przerażona. - Odwróciła głowę, by spojrzeć na siedzącą z tyłu siostrę, która w milczeniu wpatrywała się w okno.

Doktor także nic nie mówił, więc Clare dodała niepewnie:

- Zresztą, nic dziwnego. Każdy by się przestraszył, prawda?

Zaległa niezręczna cisza. Po chwili Clare powiedziała obrażonym tonem:

- Najbardziej chyba żał mi nowych butów. Kosztowały fortunę, a teraz są zniszczone. - Zapominając zupełnie o granej przez siebie roli, zwróciła się z pretensją w głosie do Berty: - Będziesz musiała za nie zapłacić! Jak mogłaś tak nimi wymachiwać... To znaczy... - zreflektowała się - po co było w nich rzucać, skoro już uciekali? - dodała pośpiesznie.

- Na pewno kupisz sobie następne - stwierdził z lekką ironią doktor. - Poza tym co znaczy para butów, gdy ratuje się przed bandytami bezbronną staruszkę?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Zerknąwszy w lusterko, dostrzegł spojrzenie Berty. Uśmiechnął się i mrugnął do niej porozumiewawczo.

Berta od razu poczuła się lepiej. Nieważne, że po powrocie do domu usłyszy kilka gorzkich słów. Od dawna się już tym nie przejmowała. Doktor uwie-. rzył staruszce, choć z pewnością nie wspomni nikomu, co mu powiedziała. Gdyby zdradził się z tym, Berta znalazłaby się w niezręcznej sytuacji i musiałaby zapewne zrezygnować z pracy w przedszkolu. Gdyby zaś Clare lub jej matka zauważyły, że doktor przejmuje się jej losem, postarałyby się o to, by więcej go nie ujrzała...

Gdy doktor zatrzymał samochód przed domem pani Soames, Clare zapytała przymilnie:

- Zabierzesz mnie dzisiaj na kolację, Oliverze? Po tym, co przesłama, muszę się trochę rozerwać.

Może porozmawiamy w jakimś spokojnym miejscu?

Doktor wysiadł i otworzył drzwiczki samochodu - najpierw Clare, potem Bercie.

- Niestety, dzisiaj nie mogę - odparł. - O siódmej mam spotkanie, które potrwa parę godzin. Może w weekend... - Zatrzasnął drzwiczki i dodał: -Obie powinnyscie dzisiaj wcześniej się położyć. Dam wam znać, jeśli dowiem się czegoś na temat tej staruszki. Zamierzam jeszcze dziś ją odwiedzić. Berto, daj mi adres, to zawiadomię jej krewnych.

Wręczyła, mu nieśmiało karteczkę, dziękując za

uprzejmość, po czym pożegnała się i weszła po schodach do domu. Clare próbowała jeszcze kokietować doktora, ale on najwyraźniej nie miał ochoty na jej towarzystwo.

Po chwili siostra wpadła z furią do holu.

- Zapłacisz mi za to! - wrzasnęła. - Te buty kosztowały majątek! Teraz nie mam czego założyć do nowej sukienki!

- Jak mogę zapłacić, skoro nie dostaję pieniędzy? - odparła spokojnie Berta. - Poza tym nie brakuje ci chyba butów. - Spojrzała śmiało w oczy dyszącej z wściekłości Clare. - Czy naprawdę buty znaczą dla ciebie więcej niż człowiek, który jest w potrzebie? Chyba nie, skoro nagadałaś wszystkim kupę kłamstw. Muszę przyznać, że brzmiało to przekonująco.

Zamilkła, zaskoczona swoją śmiałością. Ale Clare była bez porównania bardziej zdumiona.

- Jak śmiesz?! - wrzasnęła, kiedy tylko ochłonęła ze zdumienia. - Masz czelność odzywać się do mnie w ten sposób?

- Przecież mówię prawdę. Ale nie martw się. Nikomu tego nie zdradzę.

- Nikt by ci nie uwierzył...

- Pewnie masz rację - odparła Berta i poszła do swego pokoju, pozostawiając Clare purpurową z wściekłości.

Gdy pojawiła się znowu na dole, macocha nie kry-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ła niezadowolona. Jak mogła potraktować tak podle przyrodnią siostrę, która wykazała się nie lada odwagą? To wstyd i hańba!

- Zamierzałam zabrać cię na spotkanie dobroczynne u lady Forde, ale teraz z pewnością tego nie zrobię - oznajmiła, kończąc swoją tyradę.

Berta, puszczać te utyskiwania mimo uszu, odetchnęła z ulgą. Kiedy była po raz ostatni u lady Forde, musiała przez cały czas serwować gościom kawę i ciastka. Spuściła milcząco wzrok. Nie było sensu wdawać się w kłótnie i tłumaczenia.

Gdyby tylko mogła wiedzieć, jak ciepło myśli o niej doktor Hay-Smythe, z pewnością byłaby bardziej pewna siebie. W tym samym bowiem czasie, kiedy Berta z pokornie pochyloną głową wysłuchiwała upomnień macochy, Oliver siedział w swoim salonie z Freddie'iem u stóp i zastanawiał się, czym mógłby sprawić jej przyjemność. Ta dziewczyna nie ma żadnych rozrywek, myślał. Jest z natury taka pogodna, a wiecie w istocie bardzo smutne życie.

- Zasluguje na lepszy los - powiedział do Freddiego, który ziewnął przeciągle, słysząc jego głos. - Gdyby tylko odpowiednio się ubrała, mogłaby zainteresować każdego chłopaka. Ma piękne oczy, delikatne rysy twarzy, jest szczupła i zgrabna. Poza tym nie znam drugiej dziewczyny, która potrafiłaby trzymać język za zębami w takiej sytuacji jak ta **dzisiejszego** popołudnia.

Dopiero dużo później, gdy Cully poszedł już spać i w domu zapanowała głucha cisza, doktor postanowił, co zrobi. Zadowolony ze swego pomysłu, ułożył Freddiego w koszyku w kuchni, a sam udał się do sypialni.

Doktor odczekał dwa dni, zanim ponownie odwiedził panią Soames. Przedtem dowiedział się, że Berta pracuje nadal w przedszkolu. Dyrektorka wyrażała się o niej z entuzjazmem i zapewniała, że dziewczyna nie zamierza rezygnować. Przyjął tę wiadomość z ulgą, gdyż obawiał się, że rozgniewana macocha mogła zabronić jej wychodzić.

Wybrał moment, kiedy pani Soames i obie dziewczyny powinny być w domu. Złożył im wizytę rzekomo po to, by dowiedzieć się, czy Berta i Clare otrząsnęły się już po przeżytych szoku. Wszystkie trzy panie były w salonie, co stwierdził z zadowoleniem, gdyż w razie nieobecności Berty nie miałby gwarancji, że ta pozna jego plany.

Pani Soames wstała na jego widok, witając go wylewnie.

- Mój drogi Oliverze! Jak miło, że pan przyszedł. Jak pan widzi, nie ruszamy się z domu. Clare jest ciągle wstrząśnięta tym incydem.

- Przykro mi to słyszeć - odparł doktor, podając rękę Clare i pozdrawiając Bertę uśmiechem. -Może jednak znajdziemy jakieś antidotum – zarów-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

no dla niej, jak i dla Berty, która też przeżyła pewnie szok.

- Berta? - zdziwiła się pani Soames. - Nie sędzę. Ona jest, hm... dość twarda. W każdym razie nie ma w niej tyle wrażliwości, co u biednej Clare.

- Mimo wszystko sędzę, że obie odniosą korzyść z tego, co mam do zaproponowania - oznajmił poważnie doktor.

Berta pomyślała, że mówi takim tonem, jakby stawiał diagnozę. Ton ten okazał się skuteczny, gdyż macocha zgodnie skinęła głową i rzekła:

- Oczywiście, Oliverze. Polegam na pańskiej, mądrości.

- Otóż tak szczęśliwie się składa, że jutro jestem wolny. Będę zachwycony, jeśli pozwoli mi pani zabrać dziewczyny na wieś, z dala od Londynu. Trzeba od czasu do czasu zwolnić tempo życia, zwłaszcza po takim wstrząsie, jakiego doznała Clare. - Spojrzał na Bertę. - Ty pewnie także bardzo to przeżyłaś. Nie miałem jeszcze okazji cię zapytać...

- Nie ma potrzeby - przerwała pospiesznie Clare. - Jej też z pewnością przyda się odpoczynek. Chętnie z **tobą** pojedziemy, Oliverze. Dokąd nas zabierzesz?

- Niech to będzie niespodzianka. Możemy wyruszyć o dziesiątej? Czy to nie za wcześnie?

Ależ, nie. W sam raz. - Clare starała się być czarująca, ale gdy doktor zaczął zbierać się do wyj-

63

ścia, oznajmiła nagle: - No tak, zapomniałam na śmierć! Berta nie będzie mogła z nami pojechać, bo przed południem czyta książki jakimś staruszkom, czy komuś tam.

- Jutro jest sobota - przypomniał jej grzecznie doktor. - Chyba nie pracuje w weekendy. Prawda, Berto?

Clare z trudem ukrywała rozdrażnienie. Zaczęła wątpić, czy dzień spędzony w towarzystwie Berty i doktora będzie należał do najprzyjemniejszych.

Kiedy doktor wyszedł, stwierdziła, z trudem skrywając satysfakcję:

- Nie bardzo masz co na siebie włożyć, Berto. Mam nadzieję, że Oliver nie poczuje się zażenowany.

- Ja też.

- Właściwie to nie rozumiem, dlaczego musisz nam towarzyszyć. Mogłaś przecież odmówić.

- Z przyjemnością pojedę na wieś - oświadczyła spokojnie Berta. - A jeśli chodzi o strój, to założę tę dwuczęściową garsonkę, którą mi dałaś. Będę tylko musiała ją przerobić...

- Przerobić! - Clare podskoczyła jak oparzona. - Chyba nie wiesz, co mówisz! Ta garsonka kosztowała mnóstwo pieniędzy!

- Tak, ale ma fatalny kolor - odparła ze stoickim spokojem Berta i poszła ją przymierzyć.

Clare rzeczywiście nie powinna była kupować tej garsonki, pomyślała, rozkładając ubranie na oparciu

GWIAZDKA MIŁOŚCI

fotela. Jaskrawożółty kolor był w złym guście, a fason pretensjonalny.

- Ech, czy kogoś w ogóle obchodzi, w co się ubiorę? - westchnęła z goryczą do kota, który przywłókł się za nią z kuchni.

Szycie szło jej z trudem, gdyż oczy miała wilgotne od łez. Przyzwyczała się już wprawdzie do nieustannych przykrości, jakie spotykały ją ze strony Glare i jej matki, lecz czasem, jak dzisiaj, ogarniało ją przygnębienie. Owszem, cieszyła się na spotkanie z Oliverem; spędzenie dnia z doktorem stanowiło szczyt jej marzeń. Wątpiła jednak, czy on odczuwa podobne radosne podniecenie. A co powie na jej strój? Oczywiście, jest zbyt dobrze wychowany, by skrytykować ubiór jakiegokolwiek dziewczyny, choć zapewne widok tej koszmarnej garsonki wprawi go w osłupienie. O ile przyjemniej byłoby mieć na sobie dobrze dopasowaną sukienkę w odpowiednim kolorze.

- Chyba jestem zbyt szczupła - oświadczyła kotu, robiąc zaszewki. Rękawy były nieco za długie - będzie musiała ciągle je podciągać - a dekolt za głęboki. Uśmiechnęła się z ironią. Clare lubiła wydekoltowane bluzki, które odsłaniały jej bujny biust. Ona także miała czym się pochwalić, wołała jednak zakrywać piersi - ze skromności, ale też dlatego, że zbyt głębokie dekolty były, jej zdaniem, w złym guście.

65

Doktor Hay-Smythe od razu dostrzegł jej zgrabną kibić, choć niemal go oślepił jaskrawy kolor jej garsonki. Stwierdził w duchu, że ostra żółć nie pasuje zupełnie do figury Berty i jej kasztanowych włosów. Był oburzony, że dziewczynę traktuje się w taki sposób, lecz tego nie okazał. Przywitał się z nią i zabawiał rozmową panią Soames, dopóki nie przyszła Clare.

Zjawiła się w końcu, przepraszając głośno za spóźnienie.

- Wystroiłam się specjalnie dla ciebie, Oliverze - obwieściła radośnie. Rzeczywiście wyglądała uroczo w biało-niebieskim wełnianym sweterku, odpowiednim na wycieczkę na wieś. Miała do kompletu granatową torebkę na pasku i buty na wysokim obcasie. Kontrast między obu dziewczynami był uderzający.

Doktor powitał ją słowami:

- Nareszcie! Już myślałem, że zmieniłaś zdanie i postanowiłaś spędzić ten dzień z kimś młodszym i bardziej ekscytującym.

- Jesteś najbardziej ekscytującym mężczyzną, Oliverze! - oznajmiła z zachwytem Clare, zaś Berta odwróciła wzrok, czując mdłości i żałując, że zdecydowała się na tę wycieczkę.

Clare usadowiła się oczywiście z przodu, obok Olivera, pozostawiając Bercie miejsce na tylnym siedzeniu, gdzie powitał ją najwyraźniej zadowolony z towarzystwa Freddie.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- O, zabrałeś psa - stwierdziła cierpko Clare, odwróciwszy głowę, po czym dodała ze śmiechem:

-Przynajmniej Berta nie będzie się nudzić.

- Zawsze zabieram Freddiego ze sobą. Towarzyszy mi w długich podróżach. Jest wspaniałym kompanem.

- Teraz masz mnie - zauważyła Clare. - Przekonasz się, że ja też jestem wspaniałym kompanem!

Doktor jakby nie dosłyszał tej uwagi. Jechał powoli w kierunku zachodnich przedmieść, słuchając na pozór z zadowoleniem paplaniny Clare, a kiedy opuścili miasto, zboczył z głównej drogi i zapuścił się w wiejską okolicę. Byli teraz w hrabstwie Hertford. Mijali opromienione porannym słońcem spokojne miasteczka, wioski, lasy i pola. W pewnej chwili stanęli obok gospody.

- Zapraszam na kawę - powiedział i wszyscy wysiedli z samochodu.

Wnętrze starej, krytej strzechą gospody było bardzo przytulne. Doktor zamówił kawę, po czym zaproponował:

- Skorzystajcie, panie, z toalety, a ja pójdę z Freddiem na krótki spacer, dopóki nie podadzą nam kawy.

Damska toaleta była nieskazitelnie czysta, nie tak jednak elegancka, jak londyńskie. Clare, poprawiając przed lustrem makijaż, zauważyła więc zgryźliwie:

- Mógł zabrać nas do jakiegoś przyzwoitego ho-

telu, nie sądzisz? Mam nadzieję, że obiad zjemy w bardziej cywilizowanym miejscu.

- Mnie się tutaj podoba - odparła Berta. - Lubię wyjeżdżać z Londynu. Chyba chciałabym zamieszkać na wsi.

Clare nie raczyła nic odpowiedzieć. Zauważyła tylko, gdy wracały do stolika pod oknem, że żółta garsonka wygląda naprawdę okropnie.

- Teraz, kiedy cię w niej widzę - oznajmiła - dostrzegam całą jej brzydotę!

Doktor, przyglądając się, jak siostry wracają z toalety, podzielał tę opinię. Twarz Berty promieniała jednak taką radością i takim blaskiem, że nie zwracał uwagi na źle dobrany strój.

- Hm, kawa jest zaskakująco dobra - stwierdziła Clare. - W takim miejscu raczej trudno się tego spodziewać, prawda?

- Dlaczego? - uśmiechnął się doktor. - Jedzenie w wiejskich pubach bywa równie dobre, albo i lepsze niż w restauracjach w Londynie. Nie jest tak wykwintnie podane, to prawda. Ale z pewnością można tu zjeść przyzwoity befsztyk albo kielbasę z ziemniakami, a na deser wyśmienitą szarlotkę.

Clare była zaszokowana tą opinią. Gdyby miała dostać na obiad kielbasę z ziemniakami, kazałaby doktorowi zawieźć się do domu.

- Gdzie będziemy jedli? - zapytała.

- Wkrótce się przekonasz.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Berta piła kawę niemal w milczeniu. Freddie siedział pod stolikiem, trącąc ją od czasu do czasu delikatnie nosem i domagając się kawałka ciastka. Miała nadzieję, że pójda na obiad właśnie do wiejskiego pubu. Chętnie zjadłaby kiełbasę z ziemniakami, tak jak wtedy, podczas kolacji z doktorem. To przecież od tego dnia tak wiele zmieniło się w jej życiu...

Wypili kawę i ruszyli w dalszą drogę, trzymając się nadal z dala od głównych szlaków. Doktor najwyraźniej dobrze znał trasę. Clare niecierpliwiła się nieco, lecz milczała. Berta również nie zadawała żadnych pytań. Nie chciała zepsuć niespodzianki.

Dochodziło południe, gdy dotarli do małego miasteczka. Nad domkami w elżbietańskim stylu górował na wzgórzu kościół.

- Urocza miejscowość - odezwała się Berta. - Jak się nazywa?

- Wing.

- Jest tutaj hotel? - upewniła się szybko Clare.

- Nie zatrzymamy się chyba w jakiejś prymitywnej gospodzie, prawda? - dodała, lecz gdy tylko dostrzegła uniesione brwi doktora, rzuciła pospiesznie:

- Cóż, może nie prymitywnej, ale... och, z pewnością wiesz, co mam na myśli, O'iverze - uśmiechnęła się przymilnie. - Niech zgadnę? Czy właśnie tu jest jedfta z tych położonych na uboczu wiejskich restauracji, które tak chwaliłeś?

Doktor odwzajemnił uśmiech, lecz nie odpowiedział. Wjechał samochodem w otwartą żelazną bramę, a potem poprowadził auto krótkim podjazdem ku wiejskiej rezydencji. Był to nieduży dom, położony wśród drzew i krzewów. Szeroki trawnik naprzeciwko frontowych drzwi okalały rabaty. Berta domyśliła się, że to budowla z czasów króla Jerzego - miała wysokie drzwi z trójkątnym zwieńczeniem, wiele podłużnych okien i smukłe kominy.

Na pierwszy rzut oka widać było, że dom, choć stary, ma dobrego gospodarza, który troskliwie o niego dba. Po obu stronach drzwi wisiały skrzynki z kwiatami, po murach piał się bluszcz, a z parapetu wykuszowego okna przyglądał im się dostojnie wielki kocur o gęstej rudej sierści. Berta zauważyła to wszystko, zanim jeszcze wysiadła z samochodu. Clare chyba również uznała, że dom wart jest jej uwagi i nie okazywała już niezadowolenia.

- Zjemy tutaj obiad? - zapytała, gdy doktor otwierał Bercie drzwiczki.

- Tak.

- Ale to nie jest hotel, prawda? - tym razem zapytała Berta. - Ktoś tu mieszka. Wspaniała rezydencja.

- Miło mi, że ci się podoba, Berto. To mój dom. Moja matka będzie zachwycona, mogąc zjeść obiad w waszym towarzystwie.

- Masz dom na wsi? - zdumiała się Clare. -

GWIAZDKA MIŁOŚCI

I mieszkanie w mieście? Twoja matka będzie tu pewnie mieszkała do czasu, aż postanowisz się ożenić? - Obdarzyła go jednym ze swych najbardziej czarujących uśmiechów, ale doktor zupełnie ją zlekceważył.

- Nie sprawimy kłopotu? - zapytała z niepokojem Berta.

- Ależ skąd! Dzwoniłem wczoraj do mamy. Chętnie was ugości. Od śmierci mego ojca czuje się czasem samotna.

- Współczuję ci - powiedziała szczerze Berta.

- Dziękuję. Wejdźmy do środka.

Drzwi były otwarte. Doktor wprowadził dziewczyny do przestronnego holu, gdzie na dębowej podłodze stał długi stół o marmurowym blacie i krzesła z drewna orzechowego. W kącie znajdował się poza tym skórzany fotel, na którym leżały rozmaite płaszcze, kurtki, laski, smycze, a także stare słomkowe kapelusze, nadając temu surowemu miejscu bardziej swojski charakter. Doktor minął dębowe schody z żelazną balustradą i otworzył niewielkie drzwi wgłębi.

- Mama jest zapewne w ogrodzie - oznajmił. -Przejdziemy przez kuchnię.

Było to duże pomieszczenie. Pod jedną ze ścian stał ogromny kredens wypełniony porcelaną, a na środku kuchnia oraz drewniany stół i krzesła. Jedna z dwóch pracujących tam kobiet zawołała radośnie:

- Pan Oliver! Dzień dobry!

Była niska, korpulentna i miała na sobie śnieżnobiały fartuch. Doktor ucałował ją w policzek.

- Miło cię znowu widzieć, Meg. - Spojrzał na drugą kobietę, która była nieco młodsza i wydawała się naburmuszona. - A ty, Doro, jak się masz? Wszystko w porządku? To dobrze. Clare, Berto... przedstawiam wam Meg, naszą kucharkę. No i Dorę, która prowadzi dom.

Clare skinęła tylko głową, mówiąc „dzień dobry”, zaś Berta uśmiechnęła się i uścisnęła dłonie obu kobietom.

- Jaka urocza kuchnia! - Rozejrzała się z zachwytem. - Tu jest... jak w raju! - Zamilkła nagle i zarumieniła się ze wstydu, czując, że powiedziała coś głupiego, ale Meg i Dora wcale tak nie uważały.

- Ma panienska rację. Zwłaszcza teraz, w zimowe wieczory. Kiedyś pan Oliver często wpadał do nas, żeby podkraść z patelni gorącą grzanekę.

Doktor uśmiechnął się na te słowa.

- Daj spokój, Meg, ślinka mi cieknie na samo wspomnienie. Wybaczcie, muszę odszukać mamę.

Zobaczmy się jeszcze.

Clare stała z boku, tupiąc niecierpliwie nogą, ale gdy wyszli przez drzwi do ogrodu, słodki uśmiech wrócił na jej oblicze.

- Bardzo mi się podoba twój dom - oświadczyła - i te staromodne służące...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Traktujemy je jak członków rodziny, Clare. Są z nami, odkąd pamiętam.

Ogród za domem był duży i pełen zakamarków. Wąskie ścieżki wiły się między rabatami oraz kwitnącymi krzewami. Freddie popędził naprzód i po chwili usłyszeli jego radosne szczekanie.

- Mama jest pewnie w szklarni - stwierdził doktor, uwalniając ramię z ręki Clare, aby wskazać drogę. Po chwili przeszli przez sfatygowane drzwi w wysokim kamiennym murze i zobaczyli szklarnię na skraju warzywnego ogródka.

Berta, podziwiając starannie wypielegnowane krzewy, zauważyła, że wysokie obcasy Clare zostawiają głębokie ślady na ścieżkach. Jej wytworny ubiór nie pasował do tego wiejskiego ogrodu. Kiedy jednak spojrzała na siebie, musiała przyznać, że ona wygląda jeszcze gorzej - nie dość, że strój, który miała na sobie, nie pasował do sytuacji, to był niemodny. Mogła mieć tylko nadzieję, że matka doktora nie zwróci na to uwagi.

Obawy znikły, kiedy tylko ujrzała rumianą kobietę, która wyszła im na powitanie. Starsza pani miała na sobie poplamioną ziemią wełnianą spódnicę z przyczepionymi kawałkami roślin, a jej piękną bluzkę z czystego jedwabiu zasłaniała beżowa kamizelka, równie zabrudzona, jak spódnica. W gumowych butach i grubych płóciennych rękawicach wyglądała raczej na ogrodniczkę niż dystygowaną da-

mę. Dopiero teraz Berta zdała sobie sprawę, że właśnie tak wyobrażała sobie matkę doktora - jako osobę naturalną, bezpośrednią, pozbawioną jakiegokolwiek wyniosłości.

Nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego takie właśnie były jej oczekiwania i z jakiego powodu myślała o niej z sympatią. Mało tego - czuła instynktownie, że ta starsza kobieta o dobrotliwym wyrazie twarzy mogłaby zastąpić jej nieżyjącą matkę.

- Cieszę się, że przyjechałeś, mój drogi - powiedziała pani Hay-Smythe, gdy syn ucałował ją w policzek. - A to są te dziewczyny, które uratowały na londyńskiej ulicy bezbroną staruszkę, prawda? Zdjąwszy rękawicę, wyciągnęła dłoń na powitanie.

- Miło mi was poznać. Musicie mi zaraz wszystko opowiedzieć. Wiodeę tu tak monotonne życie, że chętnie posłucham.

- Nie zdarzyło się nic takiego, proszę pani - odparła Clare. - Z pewnością jest wielu ludzi odważniejszych ode mnie. - Uśmiechnęła się skromnie, po czym zaraz zmieniła temat: - Cieszę się, że Oliver nas tu przywiózł. Nie wiedziałam, że ma taki piękny dom.

Pani Hay-Smythe wydawała się trochę zaskoczona tą uwagą, odparła jednak z uśmiechem:

- Tak, cóż, jesteśmy tu bardzo szczęśliwi. Ty, mo[^] ja droga, masz na imię Berta, prawda? - zwróciła

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się do drugiej dziewczyny, uśmiechając się jeszcze szerzej. W jej niebieskich oczach pojawiły się wesołe błyski. Nie zwracała wcale uwagi na żółtą garsonkę. - Wybaczcie mój wygląd - otrzepała się pospiesznie - ale w szklarni jest zawsze coś do zrobienia. Chodźmy na herbatę. Oliver dotrzyma wam towarzystwa, a ja doprowadzę się do porządku.

Ruszyli z powrotem w kierunku domu. Clare szła z doktorem z przodu, a jego matka towarzyszyła Bercie. Przystawały po drodze, rozmawiając o różnych krzewach i kwiatach, które miały zakwitnąć wiosną. Obok nich biegł Freddie i mały terier pani Hay-Smythe.

- Lubisz zajmować się ogrodem? - zapytała matka doktora.

- Cóż, mieszkamy w mieście. Mamy ogrodnika, który przychodzi raz w tygodniu robić porządki, ale niczego nie uprawiamy. Chciałabym sama coś wysiać i patrzeć, jak rośnie, ale... brakuje mi na to czasu.

Pani Hay-Smythe, która wcześniej wiele słyszała o Bercie, pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Pewnego dnia, kiedy wyjdiesz za mąż, na pewno spełnią się twoje marzenia.

- Nie wyjdę za mąż - odparła rzeczowo Berta.

- A to dlaczego?

- Nie mam zbyt wielu atutów, rzadko spotykam mężczyzn. Przynajmniej jednak jestem... taka zwyczajna.

Nie mówiła tego wcale rozżalonym tonem, lecz spokojnie, jakby pogodzona ze swym losem. Matka doktora uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- No cóż, moja droga. Ja też jestem zwyczajną kobietą, a w dodatku mieszkałam z pięcioma siostrami w odludnej okolicy. Możesz mi wierzyć, że byłam w gorszej sytuacji niż ty.

Obie zaśmiały się głośno. Clare, czekająca z doktorem przy drzwiach, zmarszczyła brwi.

Najwyraźniej uznała, że Berta zdobywa względy starszej pani, i postanowiła temu zapobiec.

Kiedy weszli do domu, powiedziała do matki doktora:

- To wspaniała rezydencja. Mam nadzieję, że znajdzie pani czas, żeby mi ją pokazać. Bercie także, oczywiście... - dodała natychmiast, przypomniawszy sobie, że Berta nie powinna zostawać sama z Oliverem.

- Z przyjemnością - odparła pani Hay-Smythe, która miała równie nienaganne maniery, jak jej syn. - Ale muszę najpierw się przebrać. Oliverze, zrób paniom drinka, dobrze? Wrócę za dziesięć minut. Zostali sami i zajęli się rozmową. Przez cały czas Berta miała niemiłe wrażenie, że doktor słucha z zadowoleniem paplaniny Clare, popijającej dżin z cytryną. Gdy jednak zwracał się do niej i próbował taktownie włączyć ją do rozmowy, czuła się jeszcze bardziej skrepowana. Sączyła swoją sherry i próbo-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wała zrozumieć, dlaczego ten sam doktor nie onieśmiela jej wcale, kiedy są tylko we dwoje, bez Clare. Pani Hay-Smythe wróciła po chwili, ubrana w białą-czarną suknię, elegancką i stosowną do jej wieku. Berta, nadal pogrążona w myślach, stwierdziła, że macocha też powinna się tak ubierać, zamiast nosić stroje odpowiednie dla kobiet o połowę od niej młodszych.

Obiad zjedli w pięknym, zdobionym boazerią salonie, siedząc przy owalnym stole na krzesłach z rzeźbionymi oparciami. Pod ścianą stał solidny mahoniowy kredens, a nad nim wisiały portrety w ciężkich złożonych ramach. Posiłek był prosty, lecz wspaniale przyrządzony: cebulowe paszteciki z oliwkami i sardelą, pstrąg z rusztu z ostrym sosem i zieloną sałata, a na deser pomarańczowy mus. ^Serta jadła z nieukrywaną przyjemnością i słuchała zrezygnowana, jak Clare, prawie nie tknąwszy potraw, rozpływa się nad francuską kuchnią.

- Mamy znakomitą kucharkę - mówiła. - Pewnie jestem trochę rozpieszczona. Uwielbiam homary. I krakersy z kawiozem...

Pani Hay-Smythe podsunęła Bercie z uśmiechem półmisek, aby wzięła sobie dokładkę. Berta zarumieniła się ze wstydu, ale nie odmówiła. Doktor i jego matka także jedli z apetytem i tylko Clare wpatrywała się w swój talerz.

Gdy pili kawę w oranżerii, doktor oznajmił:

- Mamy w ogrodzie oślicę. Nazywa się Nelly. Uwielbia gości i jest bardzo zaprzyjaźniona z Freddiem. Pójdziemy się z nią przywitać?

Berta uśmiechnęła się promiennie, a Freddie skakał już z radości. Clare rzekła jednak pośpiesznie:

- Przecież mieliśmy obejrzeć dom. Tak chciałam go zobaczyć...

- W takim razie - zdecydowała pani Hay-Smythe - ty idź z Bertą do Nelly, Oliverze, a ja oprowadzę Clare po domu.

Clare zaczęła protestować, powiedziała, że może jednak pójdą razem, lecz wówczas matka doktora odparła:

- Och, nie mogę cię zawieść, moja droga. Wkrótce do nich dołączymy.

Po czym zabrała Clare ze sobą.

- Idziemy, Berto? - zagadnął doktor, gdy zostali sami.

- Oczywiście.

- To chodź, weźmiemy z kuchni marchewkę...

W kuchni Meg i Dora wkładały właśnie do zmywarki brudne naczynia. Delikatny brzęk porcelany współbrzmiał przyjemnie z głośnym tykaniem kuchennego zegara i cichą muzyką płynącą z radia. Na parapecie okna siedział rudy kocur, a drugi, szary, wygrzewał się przy piecyku.

- Chce pan marchewki dla tej swojej oślicy? - spytała Meg, uśmiechając się szeroko. - Ależ ją pan

GWIAZDKA MIŁOŚCI

rozpieszcza! Chociaż trzeba przyznać, że to miły zwierzak.

Dora poszła po marchewkę, a doktor przysiadł na stole, podjadając ciasto, przeznaczone zapewne na podwieczorek.

- Obiad był znakomity - powiedziała nieśmiało Berta. - Świetnie pani gotuje, Meg.

- Bóg zapłać, panienko. - Meg nie kryła zadowolenia. - Trzeba po prostu robić to z sercem, ot i cała tajemnica.

Stara oślica miała swój wybieg w niewielkim sadzie w głębi ogrodu. Ucieszyła się na ich widok.

Zjadła marchewki, a potem biegała dostojnie w kółko razem z zachwyconym Freddie.

Przez cały czas doktor, wsparty o bramę furtki prowadzącej do sadu, spoglądał dyskretnie na Bertę. Jej twarz promieniała radością. Na szczęście zapomniała zupełnie o swoim koszmarnym stroju, który w tym cudownym otoczeniu prezentował się jeszcze bardziej rozpaczliwie.

Uświadomiwszy sobie, że doktor na nią patrzy, odwróciła głowę i napotkała jego wzrok.

Dobry Boże, pomyślała. Mam wrażenie, jakbym znała tego człowieka całe życie, jakbym od dawna na niego czekała...

Głos Clare wyrwał ją nagle z tych niecodziennych myśli.

- A, tu jesteście! Czy to ta oślica? Milutka. Jeśli

79

zaś chodzi o dom, Oliverze, to jest on naprawdę piękny. Powinieneś szybko się ożenić i podzielić się nim ze swoją wybranką.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie zostali długo w sadzie. Wysokie obcasy Clare zapadały się przy każdym kroku w grząską ziemię, a że nie mogli ignorować jej utyskiwań, wrócili do domu i usiedli znów w oranżerii, gdzie Clare zaczęła zabawiać ich opowieściami o swoich znajomych, o sztukach, które ostatnio oglądała i o przyjęciach, na których była.

- Nie mam prawie czasu dla siebie - zakończyła z westchnieniem. - Nie wyobrażacie sobie nawet, jak dobrze mi zrobił taki dzień odpoczynku na wsi.

- Chciałabyś tu mieszkać? - zapytała pani Hay-Smythe.

- W takim domu? Oczywiście! Trochę daleko od Londynu, ale można stąd przecież w każdej chwili wyskoczyć do miasta - na zakupy, do teatru... Poza tym w okolicy na pewno nie brakuje towarzystwa.

- To prawda, mamy wielu sąsiadów - odparła uprzejmie pani Hay-Smythe. - Oliverze, poproś Meg, żeby podała nam herbatę, dobrze?

Po podwieczorku pożegnali się i wsiedli do samochodu. Pani Hay-Smythe pomachała im ręką na

pożegnanie, a Berta spojrzała tęsknie na dom, którego nie spodziewała się już zobaczyć.

Gdy tylko samochód przejechał bramę, pani Hay-Smythe udała się do kuchni, gdzie Meg i Dora spżywały swój podwieczorek. Usiadła z nimi przy stole i poprosiła o mocną herbatę z dużą ilością mleka. Nie był to jej ulubiony napój, ale czuła, że potrzebuje czegoś na wzmocnienie.

- I co powiecie? - zapytała.

- Skoro chce pani znać nasze zdanie - zaczęła Meg - to mamy nadzieję, że panu Oliverowi nie przypadnie do gustu ta dama, która nie chciała jeść obiadu. Jest zbyt dumna i wyniosła, prawda, Doro?

- Możecie być spokojne. Oliver chciał zaprosić przede wszystkim tę drugą, ale musiał też zabrać jej przyrodną siostrę. Ona i jej matka nigdy nie puściłyby Berty samej.

- Aha... - pokiwała głową Dora - zła siostra i zła macocha. Jak w bajce o Kopciuszku.

- A gdyby jeszcze założyła piękną suknię i pantofelki... - rozmarzyła się Meg.

- I tak jest bardzo ładna - wtrąciła się Dora. - Ładna, miła i rozsądna dziewczyna. Podziękowała ci za obiad, Meg, prawda?

- Właśnie. I to wcale nie po to, żeby się przy-pochlebić. Pasowałyby do tego domu.

- Owszem... - westchnęła pani Hay-Smythe i zamyśliła się głęboko. Jej zdaniem Berta byłaby

82 GWIAZDKA MIŁOŚCI

idealną synową, nic jednak nie wskazywało na to, by Oliver poważnie się nią interesował. Pomagał jej z dobrego serca, lecz rzadko się spotykali, a ich rozmowy miały tylko towarzyski charakter. Szkoda, pomyślała, po czym wyszła z kuchni, założyła obszerny fartuch i ogrodowe rękawice i udała się ponownie do szklarni.

W powrotnej drodze doktor nie słuchał nieustannej paplaniny Clare. Zareagował dopiero, gdy powiedziała z naciskiem:

- Zabierzesz mnie dzisiaj na kolację, prawda, Oliverze? Do jakiegoś lokalu, gdzie moglibyśmy po-
tańczyć! To był cudowny dzień, ale po tej wiejskiej monotonii przydałoby się nam trochę rozrywki.
 - Po powrocie - odparł - jadę prosto do szpitala. Muszę tam zostać przez kilka godzin, a jutro o ósmej
rano mam spotkanie. Ja pracuję, Clare.
 - Och, Oliverze, nie możesz na chwilę zapomnieć o szpitalu? - powiedziała z nadąsaną miną. - Li-
czyłam, że gdzieś się wybierzemy.
 - Niestety, to niemożliwe. Poza tym wiesz, że nie lubię przyjęć, Clare.
 - Wiem - dotknęła jego rękawa - ale moglibyśmy to zmienić. Obiecuj przynajmniej, że któregoś
wieczoru wpadniesz do nas na kolację. Powiem mamie, żeby cię zaprosiła.
- Doktor spojrział w lusterko i zobaczył, że Berta

83

siedzi wpatrzona w okno, obejmując Freddiego ręką za szyję. Miała odwróconą twarz, widział jednak, że jest smutna.

Kiedy dotarli do domu Pani Soames, został tylko tak długo, ile wymagały tego dobre maniery.

Po jego wyjściu Clare rzuciła torebkę i opadła na fotel.

- Miałaś więc Olivera tylko dla siebie - odezwała się praktycznym tonem jej matka. - I co? Interesuje się tobą?

- Oczywiście, że tak. Tylko niepotrzebnie zabraliśmy Bertę.

- Chyba ci nie przeszkadzała?

- Nie miała szans. Prawie w ogóle z nim nie rozmawiała. Nie dałam jej okazji. Cały czas była z jego matką.

- No właśnie, jaka jest pani Hay-Smythe?

- Och, nudna. Opowiada ciągle o ogrodzie albo o Stowarzyszeniu Kobiet i układa bukiety do kościoła.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, pracowała w szklarni. Myślałam, że to jedna ze służących.

- Nie jest prawdziwą damą? - zapytała z przerażeniem pani Soames.

- O to się nie obawiaj. Z pewnością nie brakuje jej też pieniędzy, czego dowodem dom, w którym mieszka. Jest przepiękny. Gdybyśmy mieli w Londynie przyzwoite mieszkanie, stanowiłby wspaniałą letnią rezydencję. - Zaśmiała się. - W ten sposób

GWIAZDKA MIŁOŚCI

korzystalibyśmy ze wszystkiego, co najlepsze na wsi i w mieście.

Berta oczywiście nie słyszała tych uwag. Zaraz po przyjściu poszła do swojego pokoju i przebierając się w jeszcze jedną zbyt ekstrawagancką sukienkę Clare, opowiadała o wydarzeniach dnia kotu, który wylegiwał się na jej łóżku.

- Oliver chyba z nią długo nie wytrzyma - mówiła. - Czy sądzisz, że wolno mi nazywać go po imieniu? Oficjalnie znamy się jedynie z widzenia.

- Przysiadła na łóżku, aby być bliżej swego towarzysza. - Dobrze - dodała ze smutnym uśmiechem - poprawię się, w przyszłości będę tylko kłaniała mu się z daleka. Za często o nim myślę i za bardzo mi go brakuje...

Podeszła do lustra i pokiwała głową.

- Widać to zresztą jak na dłoni.

Kolacja była bardziej nieprzyjemna niż zwykle, gdyż wobec braku gości macocha i Clare miały wreszcie okazję jawnie krytykować jej zachowanie.

- Podobno rozmawiałaś zbyt długo z matką Olivera? - zapytała pani Soames z wyraźną pretensją w głosie.

- A cóż miałam robić? - odparła Berta. - Clare nie byłaby zachwycona, gdybym towarzyszyła cały czas doktorowi, a trzymanie się na uboczu nie jest w dobrym tonie.

- Dlaczego więc poszłaś z nim na spacer, kiedy Clare została w domu z jego matką?
- Pani Hay-Smythe sama to zaproponowała. Oprowadziła Clare po pokojach, a my z doktorem poszliśmy zobaczyć oślicę w sadzie. Rozmawiałam z nim o wielu interesujących sprawach i...
- Musiał być śmiertelnie znudzony - przerwała z przekąsem macocha.
- Możliwe - odparła poważnie Berta. - Myślę, że chwilami rzeczywiście się nudził.
- Na szczęście do czasu. - Clare potrząsnęła dumnie głową. - A na pewno nie w moim towarzystwie - dodała chępliwie.
- No właśnie. - Macocha spojrzała surowo na Bertę. - Nie powinnaś mu się tak narzucać. Chyba się domyślasz, że doktor Hay-Smythe oświadczy się prawdopodobnie twojej siostrze...
- Czy tak powiedział? - zapytała Berta. Pani Soames spąsowiała na twarzy.
- Oczywiście, że nie, ale jeśli ktoś jest domyślny i inteligentny, od razu takie rzeczy wyczuwa. Odsunęła na bok talerz i pochyliła się ku Bercie nad stołem. - Mówię ci o tym na wypadek, gdyby doktor kiedykolwiek chciał cię jeszcze gdzieś zaprosić. Pamiętaj, że powinnaś mu wówczas odmówić.
- Dlaczego?
- Jak mówi stare przysłowie: troje to już tłum.
- Więc nie chcecie nawet, żebym grała rolę przy-

zwoitki? - uniosła się Berta. - No tak, w tej okropnej garsonce rzeczywiście tylko to mogłam robić!

- Ty niewdzięcznico!... - zaczęła Clare, ale matka uciszyła ją majestatycznym ruchem dłoni.

- Nie rozumiem, co się z tobą dzieje, Berto -przemówiła oficjalnym tonem. - Wiejskie powietrze chyba uderzyło ci do głowy. Garsonka, którą podarowała ci Clare, jest urocza.

- Czemu więc sama jej nie nosi? - zapytała wojowniczo Berta, zdumiona swoją śmiałością, ale zadowolona, że wreszcie zdobyła się na szczerość. -Chciałabym wreszcie mieć jakieś własne rzeczy.

- Dość tego, Berto! Kupię ci coś stosownego, kiedy będę miała czas, a teraz połóż się, proszę, spać, bo nie jesteś dziś sobą... Twoja impertynencja...

- Tak to się nazywa? - przerwała jej Berta. -Całkiem mi odpowiada!

Pożegnała się kurtuazyjnie i poszła do swojego pokoju. Potem zaś dłuższy czas leżała w wannie, płacząc rzewnymi łzami, choć nie bardzo wiedziała, z jakiego powodu. Miała mgliste pojęcie, dlaczego czuje się samotna i zagubiona, ale nie chciała się nad tym zastanawiać. W końcu położyła się do łóżka i zasnęła, słysząc pomrukiwania leżącego u jej boku kota.

Macocho i Clare wybierały się na obiad do znajomych, którzy mieli dom w pobliżu Henley. Bertę także zaproszono, ale nic o tym nie wiedziała. Pani Soames wyjaśniła znajomym, że dziewczynę "bob" głowa i musi zostać w łóżku.

Niczego nie podejrzewając, Berta wstała wcześniej, odstawiła kota z powrotem do kuchni, gdzie było jego miejsce, i zaparzyła sobie herbatę. Miała niemal cały dzień dla siebie. Lokaj Crook dostał wolne popołudnie, a do pani Cook przyjeżdżała w odwiedziny siostra.

Pani Soames uznała, że jeśli kucharka zechce odprowadzić siostrę do autobusu, Berta może sama zjeść obiad i podwieczorek. Służąca w niedziele nie pracowała.

Bercie całkiem to odpowiadało. Nalawszy kotu mleka, wypila herbatę i postanowiła pójść na długi spacer do parku św. Jakuba, aby karmić tam kaczki. Gdy kończyła śniadanie, zjawila się Clare, obrzucając ją bez słowa złowrogim spojrzeniem. Berta nie była tym zaskoczona. Odczekała spokojnie, aż siostra i macocha opuszczą dom, a potem, dziękując Bogu, że jest chłodno i może założyć zieloną sukienkę i płaszcz zamiast garsonki, poszła zawiadomić Cro-oka, iż wychodzi i zapewne spóźni się na obiad. Poprosiła jeszcze, by przed wyjściem zostawił jej na tacy coś do jedzenia - i już jej nie było.

Na ulicach nie było dużego ruchu, natomiast wiele osób wybrało się na niedzielny spacer do parku. Berta szła zwawym krokiem, pogrążona w marzeniach.

Nie zwracała uwagi na to, co dzieje się wokół, dopóki nie usłyszała krzyku.

Z parku wychodziła właśnie młoda kobieta z wózkiem, gdy na ulicę wybiegł tuż przed nadjeżdżające samochody kilkuletni chłopiec. Berta natychmiast rzuciła się w jego kierunku, nie bacząc na torebkę i wysokie obcasy. Zdażyła go zatrzymać, ale sama upadła na jezdnię, potrącona przez jedno z aut.

Chłopiec chyba nie ucierpiał, pomyślała półprzytomnie, czując, że bolą ją wszystkie kości. Leżała w kałuży wody i w żaden sposób nie mogła się podźwignąć. Ktoś próbował jej pomóc - na próżno.

Zdenerwowani przechodnie pytali, czy nie jest ranna.

- Wszystko w porządku - uspokajała ich. - Trochę się tylko potłukłam. Co z chłopcem? Czy nic mu się nie stało?

Chór głosów odpowiedział, że nie. Ktoś krzyknął, że nadjeżdża karetka.

- Nie będzie potrzebna - przekonywała Berta, choć czuła się coraz gorzej. - Spróbuję wstać...

- Lepiej nie! - przestrzegł ją ktoś. - Mogła pani coś sobie złamać...

Posłuchała tego głosu i została na miejscu. Hałaśliwy tłum gapiów zacieśniał się wokół niej, zaczęła odczuwać mdłości...

Na szczęście lekarz pogotowia nie stwierdził żadnych złamań, choć polecił położyć Bertę na nosze i zawieźć do szpitala. Nie wiedziała tylko, dlaczego zabandażowali jej nogę.

Gdy w szpitalu policjant zapytał ją o nazwisko i adres, powiedziała:

- Nazywam się Berta Soames. Ale w domu nikogo teraz nie ma.

Była, co prawda, kucharka, ale cóż ona by pomogła? Berta wołała o tym nie wspominać. Poczowała kolejny przypływ mdłości i zamknęła oczy.

Doktor Hay-Smythe, wezwany do pacjenta z poważnymi obrażeniami głowy, rozmawiał właśnie przy wyjściu z lekarzem dyżurnym. Kiedy podjechała karetka, rzucił okiem na leżącą na noszach młodą kobietę i natychmiast ją rozpoznał.

- Chwileczkę! - Zatrzymał sanitariuszy, pochylając się nad ranną.

Tak, teraz nie miał już żadnych wątpliwości - na noszach leżała Berta. Miała zabłoconą twarz, siniec wokół oka, włosy w nieładzie.

- Znam tę dziewczynę - powiedział. - Zaczekam, aż ją zbadacie.

- Uratowała dzieciaka, który wbiegł nagle na jezdnię - wyjaśnił sanitariusz. - Niestety, potrącił ją przy okazji samochód. Ma paskudną ranę na lewej nodze. Dzielna dziewczyna, nie narzeka.

Doktor Hay-Smythe pochylił się znowu nad noszami i zapytał spokojnym głosem:

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Słyszysz mnie, Berto?

Otworzyła zdrowe oko i uśmiechnęła się nieznacznie na jego widok.

- Oliver? Skąd się tu wzięłeś?

- Pracuję.

- Dzisiaj? Przecież jest niedziela...

Odwzajemnił jej uśmiech i dał znak sanitariuszom, by odwieźli ją do sali zabiegowej. Uderzyło go, że mimo brudnej i posiniaczonej twarzy Berta wygląda pięknie i że jest w stanie się uśmiechać.

Lekarz dyżurny powiedział mu wkrótce, że panna Berta Soames nie odniosła poważniejszych obrażeń. Owszem, miała siniaki, bolesne zadrapania, podbite oko i dość głęboką ranę na nodze, poza tym jednak kości i narządy wewnętrzne pozostały nienaruszone.

- Trzeba będzie założyć jej kilka szwów i dokładnie oczyścić tę ranę - dodał. - Powinna dostać znieczulenie i zastrzyk przeciwtężcowy.

Lekarz dyżurny patrzył z zaciekawieniem na swego kolegę. Doktor Hay-Smythe był w szpitalu znaną postacią. Wykonywał tu czasem niektóre zabiegi i odwiedzał często swoich pacjentów. Cieszył się sympatią i szacunkiem, miał powodzenie u kobiet. Czyżby ta niepozorna dziewczyna była w jego typie? Oliver spojrział na zegarek.

- Przez najbliższe pół godziny mógłbym panu pomóc - oznajmił i lekarz dyżurny wiedział już, że

91

zainteresowanie doktora Hay-Smythe'a przywiezioną pacjentką nie jest wyłącznie zawodowe.

Berta leżała z zamkniętymi oczami, czując odrętwienie i coraz silniejszy ból. Usłyszawszy głos doktora, otworzyła zdrowe oko.

- Masz ranę na nodze, Berto - usłyszała. - Dam ci zastrzyk znieczulający, żeby można było ją opatrzyć. Potem poleżysz w szpitalu.

- Nie, nie - zaprotestowała. - Muszę wracać do domu. Kucharka będzie się martwiła, gdzie jestem.

- Tylko ona? - zapytał łagodnie.

- Crook ma wychodne, a macocha i Clare pojechały na obiad do przyjaciół. Panią Cook odwiedziła siostra, więc nie chcę zawracać jej głowy.

- Dobrze, rozumiem. Mimo wszystko musisz tu zostać, Berto. Dopilnuję, żeby zawiadomiono twoją macochę. O której jadłaś śniadanie?

- Około ósmej. Ale... dlaczego pan o to pyta?

- Z czysto zawodowych powodów - uśmiechnął się. - Zamknij teraz oczy. Zrobię ci zastrzyk. - Odwrócił się, zamieniając z kimś parę zdań. Po chwili Berta poczuła lekkie ukłucie. - Licz do dziesięciu

- powiedział uspokajającym tonem.

Doliczyła tylko do pięciu.

Kiedy się obudziła, leżała na łóżku w rogu szpitalnej sali. Lekarz dyżurny i doktor Hay-Smythe stali obok.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Wróciłaś do nas - powiedział doktor, po czym odwrócił na chwilę głowę, gdy dwie pielęgniarki podnosiły Bertę, aby ułożyć wygodnie jej zabandażowaną nogę.

Berta widziała, że doktor przygląda się jej z uwagą. W innych okolicznościach czułaby się zażenowana, ale tu sprawa wyglądała inaczej. Był przecież lekarzem, a ona jego pacjentką.

- Czy wrócę szybko do domu? - zapytała. Oliver wcale nie chciał, żeby tam wracała. Ubrana w o wiele dla niej za dużą szpitalną koszulę robiła wrażenie istoty kruchej i drobnej. Twarz miała już umytą, ale wciąż była bardzo blada. Siniak wokół oka kontrastował wyraźnie z jej jasną cerą, gęste włosy zwisały ciężko na ramieniu.

- Na razie zostaniesz tutaj, Berto - odpowiedział po Óhwili. - Będziesz miała lepszą opiekę, a wypiszą cię, kiedy przyjdzie pora. - Uśmiechnął się nieoczekiwanie. - To jest doktor Turner, chirurg, który założył ci szwy. A to - zwrócił się w stronę kolejnego mężczyzny - lekarz, który będzie się tobą opiekował, doktor Greyson. Dziś po południu odwiedzę twoją macochę. Przyśle ci na pewno rzeczy, których potrzebujesz.

Berta uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dziękuję za wszystko. Mam nadzieję, że nie zepsułam panu całego dnia.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, urwała jednak

i zamknęła oczy, czując nagle potworne znużenie. Po chwili znów zapadła w sen.

Doktor Hay-Smythe odwiedził panią Soames dopiero późnym popołudniem, w porze między podwieczorkiem a drinkami, gdyż nie miał ochoty zabawiać tam dłużej. Wpuściła go kucharka, bowiem Crook nadal miał wychodne. Pani Soames i Clare siedziały w salonie, dyskutując na temat przyjęcia. Powitały go wylewnie, najwyraźniej znudzone swoim towarzystwem.

- Ołiverze! - ucieszyła się Clare. - Jak cudownie, że wpadłeś! Zastanawiałam się właśnie, jak spędzić resztę tego nudnego dnia. Mam nadzieję, że dotrzymasz mi towarzystwa.

- Niestety, nie - odparł, przywitawszy się najpierw z jej matką. - Muszę wracać zaraz do szpitala. Przyszedłem tylko powiedzieć, że Berta miała wypadek.

- Boże, znów mamy z nią kłopot - przerwała mu pani Soames.

- Uratowała życie chłopcu, który wybiegł na jezdnię wprost pod samochód - kontynuował doktor, starając się mówić trzeźwym i chłodnym tonem. - Jest w szpitalu. Ma głęboką ranę na nodze i liczne potłuczenia, więc musi tam pozostać co najmniej przez kilka dni. Czy może pani jej zanieść rzeczy, których będzie potrzebować?

- Więc widziałeś się z nią? - zapytała Clare.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Tak. Byłem przypadkiem na ostrym dyżurze, kiedy ją przywieziono. Ma bardzo dobrą opiekę. Napiszę ci, na którym jest oddziale. Myślę, że powinnaś odwiedzić ją dziś wieczorem.

- Och, to niemożliwe, Oliverze. Mamy gości na kolacji - skłamała bez zająknięcia pani Soames.

-Zresztą nie pozwoliłabym Clare iść do szpitala. Jest zbyt wrażliwa, by patrzeć na ludzkie cierpienia, nie mówiąc już o tym, że w tych publicznych szpitalach zawsze można się czymś zarazić. Bo Berta jest w publicznym szpitalu, prawda?

- Tak.

- Ano właśnie. Sama bym się bała tam pójść, a co dopiero posyłać własne dziecko.

- Może więc pośle pani kogoś ze służby - zasugerował doktor, lecz po chwili zamilkł i dokończył pogodnym tonem: - Albo proszę mi dać niezbędne rzeczy. Sam je przekażę.

Ta propozycja spotkała się z natychmiastowym protestem, którego zresztą Oliver oczekiwał.

- Nie, nie! - zawołała pani Soames. - Kucharka sama wszystko zanieś i dowie się przy okazji, czego jeszcze Bercie potrzeba. Mój Boże, biedne dziecko... - dodała. - Musimy troskliwie się nią zająć, kiedy wróci do domu, prawda, Clare?

- Prawda, mamó - odparła Clare nie mniej współczującym tonem. - Mam tylko nadzieję, że szybko wyjdzie ze szpitala. Tak mi jej brak...

Niewątpliwie, pomyślał z przekąsem doktor. Nie masz teraz komu oddać niepotrzebnych strojów. Spojrzał niechętnie na Clare, ubraną w kosztowną kreację, pełną koronek i ozdób, i pomyślał, że wygląda w niej idiotycznie. Już wolał niemodną sukienkę Berty. W ogóle uznał, że Berta bardziej mu odpowiada. Pod każdym względem.

Wróciwszy wkrótce do domu, zabrał Freddiego na długi spacer do Hyde Parku, zaś wieczorem, po kolacji, wsiadł ponownie do samochodu i pojechał do szpitala. Było już dawno po godzinach odwiedzin i na oddziale panowała cisza. Pacjenci pili mleko i szykowali się do snu. Berta spała już, kiedy podszedł do niej w towarzystwie przełożonej pielęgniarek.

- Czy ktoś przywiózł z domu jej rzeczy? - zapytał.

- Tak, panie doktorze, kucharka. Miła starsza kobieta. Przyniosła jej też ciasto i obiecała znowu ją odwiedzić, a gdyby nie mogła, przyjdzie mężczyzna. Nazywa się Crook.

- Tak, to ich lokaj.

- Czy ona nie ma rodziny?

- Ma macochę i przyrodną siostrę. Jej ojciec jest teraz gdzieś w Stanach. To wybitny prawnik.

Siostra przełożona spojrzała na doktora. Z jego twarzy niczego nie można było wyczytać, ale wyczuwała, że jest wzburzony losem pacjentki.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Zaopiekuję się nią, doktorze - obiecała.

- Dziękuję - powiedział, wreszcie się uśmiechając. - I proszę koniecznie mnie zawiadomić, kiedy zostanie wypisana.

Rano Berta czuła się dużo lepiej. Nadal wszystko ją bolało i widziała tylko na jedno oko, ale mogła już usiąść na łóżku i zjeść śniadanie. Poszłaby nawet do łazienki, gdyby tylko jej na to pozwolono. Niestety, musiała oszczędzać nogę. Rana była głęboka i mocno zabrudzona, do czasu zmiany opatrunku nie mogła więc wstawać.

Mimo to wcale się nie nudziła. Staruszka leżąca na łóżku obok przez pół godziny opowiadała jej z detalami o swojej operacji. Berta słuchała zafascynowana, dopóki nie zjawiała się pielęgniarka z owiniętym w celofan prezentem.

- Właśnie ktoś to dla ciebie przyniósł. Ależ masz szczęście! - Postawiła na szafce obok łóżka porcelanowy wazonik z uroczym bukietem krokusów i dodała z tajemniczym uśmiechem: - Jest też karnecik.

Berta otworzyła miniaturową kopertę i odczytała skreśloną niewyraźnie dedykację:

Kwiaty dla Berty. O.H.-S.

Pielęgniarka natychmiast rozpoznała, czyje to pismo, nie zdradziła tego jednak pacjentce.

- Jakiś cichy wielbiciel - westchnęła tylko. - Och, też bym tak chciała...

Później Berta miała gości. Chłopiec, któremu ocaliła życie, przyszedł do niej wraz z matką, niosąc przed sobą wielki bukiet kwiatów. Kobieta płakała i wciąż ścisnęła rękę Berty, opowiadając wszystkim, ku jej zażenowaniu, jak to „odważna i dzielna dziewczyna” uratowała jej synka od niechybnej śmierci.

- Na pewno by zginął albo został kaleką - mówiła z przejęciem. - To prawdziwa bohaterka! Wieczorem zjawił się Crook, przynosząc kolejne kwiaty oraz wielką bombonierkę od kucharki, pokojówki i ogrodnika.

- Czy w domu wszystko w porządku? - zapytała Berta.

- Tak, panienko. Podobno przyszedł list od pani ojca. Ma nadzieję wrócić za parę tygodni. Pani So-ames i panna Clare były u przyjaciół w Brighton. Dziś są zaproszone na kolację.

- Nie wiem, jak długo będę musiała zostać w szpitalu...

- To proste: aż całkiem panienko wyzdrowieje. Posiedział jeszcze trochę, po czym zaczął zbierać się do wyjścia, obiecując zarazem, że wkrótce znów ktoś ją odwiedzi.

- Dziękuję, że wpadłeś - pożegnała go Berta. - Podziękuj wszystkim za kwiaty i czekoladki. To miło, że o mnie pamiętali. Wiem, jak bardzo jesteście zajęci, więc nie będę miała żalu, jeżeli nikt już

GWIAZDKA MIŁOŚCI

do mnie nie przyjdzie. Jak widzisz, mam tu dobrą opiekę.

Kiedy Crook wychodził, zatrzymała go siostra przełożona.

- Pan jest od pani Soames, prawda?

- Owszem, siostrze.

- Niech mi więc pan powie, czy ona wreszcie tu przyjdzie? Chciałabym przekazać jej pewne zalecenia dotyczące rekonwalescencji Berty.

- Pani Soames raczej się tutaj nie zjawi, siostrze

- oznajmił Crook. - Jeśli jednak zechce mi pani powiedzieć, jak należy opiekować się Bertą po jej powrocie do domu, zastosuję się skrupulatnie do pani wskazówek.

Kiedy doktor Hay-Smythe zjawił się wieczorem na oddziale, siostra, kończąca właśnie dyżur, poinformowała jego oraz lekarza dyżurnego, który robił obchód, o rozmowie z Crookiem.

- Zatrzymaj ją najdłużej, jak się da - poprosił doktor. - Mówię tak, choć wiem, że zawsze brakuje wam łóżek.

- Akurat teraz są na oddziale wolne miejsca. Nie wiem tylko, czy Berta nie powinna leżeć na chirurgii.

- Jeszcze tylko kilka dni, dobrze, siostrze? - Doktor Spojrzał na towarzyszącego im młodego lekarza.

- Przymkniesz na to oko, Ralph? Powinna mieć przynajmniej zdjęte szwy. Jeśli wróci do domu za

wcześniej, nadweręży tę nogę i cały wysiłek chirurga pójdzie na marne. Jak ona się w ogóle sprawuje?

- Jest wzorową pacjentką - odparła siostra. - Leży obok pani Jenkins, staruszki po ciężkiej operacji, która znalazła w niej cierpliwą słuchaczkę. - Popatrzyła znacząco na doktora. - Kwiaty, które pan przysłał, sprawiły jej wielką radość.

- Cieszę się. Wybaczcie - dodał nieco zakłopotany - ale chciałbym zajrzeć jeszcze na chwilę do panny Arkwright. Mogę? Wczoraj niezbyt dobrze się czuła.

Panna Arkwright leżała po drugiej stronie sali. Berta widziała, jak doktor idzie w tamtym kierunku. Ogarniała ją senność, ale nie zasypiała. Była pewna, że doktor za chwilę podejdzie i powie jej „dobranoc”. A jednak tego nie zrobił. Wszedł po kilku minutach, rzucając jej tylko przelotne spojrzenie.

Tej nocy Berta przekonała się, że płakać można także wtedy, gdy ma się tylko jedno zdrowe oko.

Następne dni minęły jej całkiem przyjemnie. Pielęgniarki były miłe, pacjenci, którym pozwalano chodzić, siadali przy jej łóżku, przynosili gazety i czytali na głos co ciekawsze wiadomości. Bolesny siniak wokół oka, które z trudem zaczynała otwierać, miał teraz wszystkie kolory tęczy. Odwiedziła ją także kucharka, przynosząc torbę pełną pomarańczy.

Powiedziała Bercie, że w domu wszystko jest po

GWIAZDKA MIŁOŚCI

staremu, nie wspominając o częstszych niż zwykle napadach złości pani Soames i wiecznych dąsach Clare.

- Ciągle prosi tego swojego doktora, żeby się z nią umówił - wyjaśniała - a on nigdy nie ma czasu. Ale dzisiaj zabiera ją na kolację.

I znów Berta nie mogła zasnąć w nocy. Słyszała pochrapywania i pomruki innych pacjentek, natarczywe wołania o basen lub coś do picia. Zamykała oczy za każdym razem, gdy przychodziła pielęgniarka, jednak mogła tylko udawać, że śpi.

Kiedy pielęgniarki, tym razem we dwie, po raz kolejny zajrzały do jej sali, usłyszała ich cichą wymianę zdań:

- Ta młoda jeszcze tu zostaje.

- Berta Soames?

- Tak, jest tu tylko na prośbę doktora Hay-Smy-the'a. Wypiszą ją za kilka dni.

Kilka dni, powtórzyła w myślach Berta. Za kilka dni wróci do domu, Clare i macochy. Oczywiście, musiała tam wrócić, bo nie miała pieniędzy. To jednak oznaczało, że znów będzie widywała Olivera w towarzystwie Clare. Obawiała się, że tego nie zniesie.

Chyba zakochałam się w nim już tamtego wieczoru, gdy podszedł do mnie i zapytał, czy to moje urodziny - stwierdziła z jasnością umysłu, jaką miewa się zwykle o trzeciej nad ranem. Boże, co teraz?

101

Chyba będę musiała wyjechać... Kiedy wróci ojciec, może zgodzi się posłać mnie do jakiejś szkoły albo pracy, żeby wreszcie była niezależna. Wynajmę mieszkanie i będę zarabiała dość pieniędzy, żeby przyzwyciężyć się ubierać, chodzić do fryzjera i mieć wielu przyjaciół...

Nazajutrz mogła już wstać z łóżka, a po południu pielęgniarka zdjęła jej część szwów.

- Resztą zajmiemy się jutro - oznajmiła. - Tylko nie biegaj za bardzo, Berto. Rany jeszcze się nie zagoiły. Jeśli będziesz cierpliwa, za parę dni wrócisz do domu.

Berta powiedziała o tym Crookowi, kiedy przyszedł ją odwiedzić.

- Nie mów nikomu, że już wracam, dobrze? - poprosiła go. - Nie chcę robić niepotrzebnego zamieszania.

Obydwoje wiedzieli, że pani Soames nie zmieni swoich planów tylko dlatego, że jej pasierbica wraca do domu ze szpitala.

Tego wieczoru odwiedził ją także doktor Hay-Smythe.

- Pojutrze wypisują cię do domu - oznajmił, stając nad jej łóżkiem. - Dobrze się czujesz?

- Tak, dziękuję. Zdjęto mi niektóre szwy i mam teraz piękną, czerwoną bliznę...

- Zniknie za kilka miesięcy. Będziesz mogła w domu wypocząć?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Oczywiście - odparła beztrąsko Berta. - Mogę siedzieć sobie w salonie... Ale nie muszę się oszczędzać, prawda?

- Z tańcami na razie się wstrzymaj - zażartował.

- Och, dlaczego? Jestem w doskonałej formie! Wiem, że oko nie wygląda jeszcze najlepiej, ale już mnie prawie nie boli.

Doktor przysiadł na skraju łóżka i popatrzył na nią poważnie.

- Posłuchaj, Berto, moja matka chciałaby, żebyś pomieszkała u niej tydzień lub dwa, może do świąt. Miałaś ochotę?

Bercie zaśmiały oczy.

- Jak to miło z jej strony... Ale... musiałabym najpierw zapytać macochę.

Doktor uśmiechnął się na widok rozpromienionej twarzy dziewczyny. Kilka dni pobytu w szpitalu dobrze jej zrobiło. Miała teraz ładną cerę i wreszcie wyglądała na szczęśliwą. Ujął jej dłoń z poczuciem głębokiej radości. Od dawna przekonywał sam siebie, że powinien być cierpliwy, dać jej czas, by lepiej go poznała, ale pokochał ją od pierwszego wejrzenia i darzył coraz większą miłością. Berta Soames była dziewczyną, na którą czekał. Dla niej był gotów znosić towarzystwo jej okropnej macochy i natrętnej Clare. Nie chciał niczego przyspieszać, ale po kilku dniach zamierzał pojechać do matki i wyznać Bercie miłość w zaciszu ich wiejskiej rezydencji.

Na razie powiedział tylko:

- Musimy porozmawiać, Berto.

- Przecież rozmawiamy.

- To prawda. Ale nie tak... i nie tutaj.

W pogrążonej w półmroku sali panowała cisza. Oliver pochylił się, pocałował Bertę delikatnie w policzek i wyszedł. Pani Jenkins, która udawała tylko, że śpi, lecz słyszała każde słowo, szepnęła:

- Śpij już, złociutka. Po takim pocałunku będziesz miała słodkie sny.

Następnego dnia Oliver zdał sobie sprawę, że będzie musiał zobaczyć się z panią Soames, zanim zabierze Bertę do domu. Spodziewał się komplikacji i chciał załatwić sprawę przed jej powrotem. Nie miał wcale zamiaru mówić pani Soames, że kocha Bertę i pragnie ją poślubić. Planował tylko wspomnieć, że jego matka zaprasza dziewczynę na krótko do siebie.

Pani Soames powitała go wylewnie i wysłuchała uważnie z uśmiechem przyklejonym do ust. Był zaskoczony, gdy zgodziła się z nim skwapliwie, że Bercie przydałby się tydzień odpoczynku, ale rozmyślając nad tym później, doszedł do wniosku, iż macocha miała po prostu ochotę pozbyć się pasierbicy. I tak nie przydałaby im się do niczego, dopóki rana na jej nodze nie była całkiem zagojona. Mimo wszystko jednak doktor odczuwał niepokój.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Niepokój Olivera był uzasadniony. Kiedy pani So-ames została sama, zaczęła przechadzać się po salonie, dysząc z wściekłości. Berta przechytrzyła ją i robiła wszystko, żeby pokrzyżować plany Clare. Podła dziewczyna! Należało temu przeciwdziałać.

Pani Soames wyobrażała sobie przez jakiś czas, co miałyby ochotę zrobić Bercie, ale w końcu wzięła się w garść. Gniew był złym doradcą. Musiała zachować spokój i obmyślić jakiś plan. Usłyszawszy w holu głos córki, podeszła do drzwi i zawołała ją do salonu.

- Coś się stało? - zapytała zaniepokojona Clare.

- Był tu Oliver. Berta wychodzi jutro ze szpitala, a jego matka zaprasza ją na parę tygodni do siebie.

Widzisz, co robi ta niewdzięcznica? Spiskuje za naszymi plecami! - wykrztusiła, niemal dusząc się z wściekłości. - To wyjątkowo przebiegła osóbka. Jeśli znajdzie się w jego domu, zdobędzie go dla siebie, już ja to wiem. Poczekaj, niech no tylko coś sprawdzę... - przerwała nagle. - Podaj mi książkę telefoniczną.

105

Recepcjonistka, która odebrała telefon w poradni, poinformowała uprzejmie panią Soames, że doktor Hay-Smythe nie będzie przyjmował w przyszłym tygodniu nowych pacjentów.

- A potem wyjeżdża na urlop - dodała. - Mogę panią umówić na wizytę dopiero za trzy tygodnie.

Pani Soames odłożyła słuchawkę, nie siląc się nawet na odpowiedź.

- No tak! - prychnęła. - Za tydzień jedzie na urlop. Wróci, oczywiście, do domu i spędzą kilka dni razem. Musimy coś wymyślić, Clare, koniecznie!

Clare przygotowała dwa drinki i usiadła na wprost matki.

- Co proponujesz?

- Berta musi wyjechać. I to daleko... Do kogo mogłybyśmy...?

- Możemy po prostu powiedzieć, że spędzi najbliższy weekend u przyjaciół, których od dawna nie widziała. Albo nie! - Clare wyprostowała się nagle w fotelu. - Wyślijmy ją do ciotki Agaty! - oznajmiła triumfalnie. - To ta stara jędza, starsza siostra ojca. Okropnie nas nie lubi, a my nie widzieliśmy jej od lat. Mieszka gdzieś na odludziu w Kornwalii, prawda?

- Tak, to znakomity pomysł. Tylko czy ona zechce przyjąć Bertę? A jeśli odmówi?

- Nie musimy jej zawiadamiać. Możemy wysłać tam Bertę pod pretekstem, że ciotka Agata jest chora i trzeba się nią zaopiekować.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- A jeśli Berta zechce zobaczyć list z tą wiadomością?
 - Och, nie było żadnego listu. Powiemy, że ciotka do nas zadzwoniła - roześmiała się Clare. - Chciałabym zobaczyć jej minę, kiedy Berta tam dotrze. No, co o tym myślisz, mamó?
 - Zawsze w ciebie wierzyłam, córeczko.
 - Teraz więc musimy tylko poczekać, aż Oliver przywiezie Bertę do domu, a potem sprytnie ją odprawić. Tylko... - stropiła się nagle - czy on naprawdę się nią interesuje?
 - Wszystko na to wskazuje.
 - To śmieszne! Berta jest taka nudna i pospolita. Niemożliwe, żeby wpadła mu w oko. Poza tym umawiał się ze mną już kilka razy...
 - Na pewno w końcu wybierze ciebie, moja droga - przśrwała jej z uśmiechem pani Soames. Była spokojna, że Clare dopnie swego.
- Gdy doktor przyjechał do szpitala, Berta już na niego czekała. Miała nadal obandażowaną nogę, podkrążone oko i zadrapany policzek, ale rozpromieniła się na jego widok. Pragnął wziąć ją w ramiona i pocałować, opanował się jednak i powiedział tylko:
- Jesteś gotowa? Noga w porządku? Oko, jak widzę, wygląda dużo lepiej.
 - Już wydobrzałam - oświadczyła Berta, ukry-

wajac swe prawdziwe uczucia. - Bardzo się cieszę, że odwiezie mnie pan do domu.

Doktor uśmiechnął się w odpowiedzi, zaczekał, aż Berta pożegna się z pacjentami, przełożoną i pielęgniarkami, i dopiero potem zaprowadził ją do samochodu.

Po drodze prowadzili luźną pogawędkę, a kiedy stanęli przed jej domem, doktor powiedział:

- Wejdę z tobą, Berto.

Pani Soames wydawała się uprzejma, lecz cały czas miał wrażenie, że coś jest nie tak.

- Lepiej się już czujesz? - powitała siostrę Clare. - Powinnaś teraz dużo odpoczywać, prawda?

- Uśmiechnęła się przepaszajaco. - Tak mi przykro, że nie przyszłam cię odwiedzić, ale chyba wiesz, że nie znoszę chorób i zapachu szpitala. Postanowiłam jednak, że wszystko ci wynagrodzę.

Berta, zdając sobie sprawę, że jej przyrodnia siostra chce pokazać się przed doktorem w jak najlepszym świetle, mruknęła tylko coś pod nosem i zaczęła odpowiadać na pytania zadawane przez macochę. Clare natomiast skorzystała skwapliwie z okazji, by pod pretekstem troski o zdrowie Berty odciągnąć na bok Olivera.

- Czy ona może chodzić o własnych siłach? Nie za bardzo, prawda? Zaopiekujemy się nią. - Uśmiechnęła się ponętnie. - Miło, że twoja matka zaprosiła ją do siebie. Ty też tam będziesz?

Spojrzał na nią obojętnie.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- W miarę możliwości. - Wstał z sofy, na której siedzieli. - Wybacz, Clare, ale muszę już iść. Czeka na mnie kilku pacjentów. - Przeszedł przez pokój, gdzie Berta rozmawiała bez entuzjazmu z macochą. - Przyjadę po ciebie za trzy dni, Berto - oznajmił na pożegnanie. - Wierzę, pani Soames, że otoczy ją pani troskliwą opieką. - Uścisnął jej dłoń, po czym ponownie zwrócił się do Berty: - Postaram się być o wpół do pierwszej. Będziesz gotowa?

- Tak, dziękuję.

- I pamiętaj: nie przemęczaj się w ciągu najbliższych dni.

Odnosił się do niej przyjaźnie, ale z uprzejmym dystansem. Tylko lśniący wzrok zdradzał jego prawdziwe uczucia.

Kiedy wyszedł, macocha zaczęła się dopytywać, czy Bercie niczego nie brakuje, czy nie jest zmęczona albo głodna i czy nie ma ochoty się położyć. Berta nie mogła zrozumieć, co spowodowało tak nagłą zmianę w jej zachowaniu.

Nie ona jedna. Crook, wróciwszy do kuchni po podaniu kolacji, odstawił tacę i stwierdził ponuro:

- Przeczuję coś złego, panienko. Pani błaga pannę Bertę, żeby wzięła sobie dokładkę, pyta, czy ma wygodne krzesło i czy nie chce, żeby przynieść jej do łóżka herbatę. To podejrzane. Ciekawe, co się za tym kryje?

Nic złego się jednak nie zdarzyło. Po dwóch dniach zdumienie Berty ustąpiło uldze, a Crook musiał przyznać, że pani Soames zmieniła się chyba na lepsze.

- Najwyższy czas - stwierdził z zadowoleniem. Na dzień przed wyjazdem na wieś Berta położyła się wcześniej spać. Spakowała do torby swoją skromną garderobę, umyła włosy i zadzwoniła do przedszkola, by zawiadomić dyrektorkę, że zjawi się znów po świętach, jeśli oczywiście nadal będą jej potrzebować. Ponieważ macocha okazywała jej tyle sympatii, Berta wyznała jej wreszcie, że nie czyta już ksiązek starszej pani, lecz grupie dzieci.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - zapytała pani Soames, z trudem kryjąc rozdrażnienie.

- Sądziłam, że to bez znaczenia.

Pani Soames opanowała gniew i zdobyła się na uśmiech.

- Masz rację, Berto. Z pewnością to ciekawa praca. Oliver ci ją załatwił, prawda?

Berta odpowiedziała twierdząco, nie zauważając wściekłego spojrzenia macochy. Natomiast Clare, dowiedziawszy się później wszystkiego, wybuchnęła płaczem.

- Widzisz, mamó, jak ona nas oszukuje? Może codziennie się z nim spotyka? Musi stąd zniknąć! Natychmiast!

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Następnego dnia macocha obudziła Bertę o świcie, oznajmiając jej zatroskanym tonem:

- Wybacz, moja droga, że cię zrywam tak wcześnie, ale zadzwonił właśnie telefon i...

- Cos sie stalo? – Berta natychmiast usiadła na posłaniu.

Dzwoniła ciotka Agata. Jest chora. Prosi, żebyś do niej przyjechała. Nie sądzę, żeby to było coś poważnego. Chyba po prostu potrzebuje towarzystwa. Wiesz, że zawsze cię lubiła... Błagała, żebym posłała cię jak najszybciej, a ja... ja nie byłam w stanie jej odmówić.

- Miałam dzisiaj jechać do pani Hay-Smythe

- Tak, wiem. Ale może spędziłabyś najpierw parę dni u ciotki? Widzisz, to starsza osoba Zawsze była ekscentryczką. Pojedź tam, proszę, jeszcze dzisiaj, a ja zatelefonuję do jej lekarza i postaram się żeby zapewnił jej jakąś opiekę. Za dzień lub dwa bedziesz mogła wrócić. Twój ojciec na pewno by to pochwalil.

- Obiecałam Oliverowi, że będę gotowa...

- Zostaw dla niego wiadomość. Sama mu zresztą wszystko wyjasnie. Wierz mi Berto, ze Clare chętnie by pojechała, ale ciotka jej nie lubi.

Berta wstała z łóżka.

- Dobrze, ale bez wzgledu na sytuacje nie zostanie tam dluzej niz bedzie trzeba. Nie moge zawiesc pani Hay-Smythe.

- Oczywiście, że nie. I nie zawiedziesz. A teraz ubierz się szybko. Zaraz sprawdzę, o której masz pociąg.

Uśmiechnęła się jeszcze z wdzięcznością, a potem wybiegła z sypialni pasierbicy, by czym prędzej powiadomić Clare, że ich plan się powiódł.

- Odwiozę ją na stację Paddington - oznajmiła spoglądając na zegar. - Śniadanie może zjeść w pociągu, prawda? Aha... - odwróciła się w drzwiach - Berta pisze właśnie list do Olivera. Zniszcz go zanim on się zjawi. I ani słowa służbie! Sama z nimi' porozmawiam, kiedy wrócę.

Godzinę później, siedząc w pociągu i jedząc bez apetytu śniadanie, Berta rozmyślała nad wydarzeniami tego ranka. Nie przyszło jej do głowy, że została podstępnie oszukana. Wiedziała, że macocha jej me lubi, ale nie wpadłaby na to, że pani Soames może być aż tak przewrotna. Miała nadzieję, że gdy Oliver przeczyta liścik, który mu zostawiła, nie będzie się na nią gniewał.

Przepraszała go w nim za zaistniałą sytuację, wyrażała nadzieję, że nie sprawia mu kłopotu i obiecywała przyjechać wkrótce do jego matki.

Niestety, jej list wpadł w ręce Clare, która przeczytała go, po czym podarła na drobne kawałki.

Podróż pociągiem trwała długo. Berta, zjadłszy niechętnie kolejny posiłek, rozmyślała o Oliverze.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Zapewne dotarł już do ich domu i dowiedział się o jej nagłym wyjeździe. Żałowała, że nie napisała dłuższego listu. Cóż, nie miała na to czasu. Teraz czuła w głowie zamęt. Tylu spraw nie potrafiła zrozumieć. Gdy więc dojechała wreszcie do celu, odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie była już skazana na bezczynność.

Małe miasteczko, w którym się znalazła, pamiętała z dzieciństwa. Panna Agata Soames mieszkała dwa kilometry od wąskiej głównej ulicy. Berta wsiadła do stojącej przed stacją taksówki, spytała o cenę przejazdu i uznała, że drobna kwota, którą dostała od macochy, wystarczy akurat na dojazd do ciotki. Więcej pieniędzy Berta nie miała, gdyż macocha uznała, że skoro za kilka dni sama po nią przyjedzie, to nie ma sensu wozić większych sum pociągiem.

Dom ciotki wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Był solidny, mało efektowny, ale otoczony wspaniałym ogrodem. Berta, dźwigając z trudem torbę, przeszła po ścieżce i zapukała do drzwi.

Po chwili otworzyły się one szeroko i na progu stanęła ciotka Agata w swym zniszczonym filcowym kapeluszu i starych tweedowych spodniach. Obrzuciła Bertę zdumionym spojrzeniem i zapytała:

- Berta? A co za lichy cię tu przyniosło? Berta, nieszczerze zaskoczona tym powita-

113

niem, gdyż ciotka słysząc z uszczypliwości, oświadczyła spokojnie, że przysłała ją macocha.

- Powiedziała mi, że jesteś chora i że potrzebujesz opieki.

Ciotka westchnęła ciężko i pokręciła głową.

- Sądząc z twojego wyglądu, to raczej ty jej potrzebujesz. A twoja macocha jest intrygantką, która życzy mi jedynie śmierci. Nigdy nie uwierzę, że mogłaby się troszczyć o moje zdrowie.

- Czy to znaczy, że nic ci nie dolega?

- Absolutnie nic! Nawet nuda, bo towarzystwo Betsy i Toma zupełnie mi wystarcza. Możesz wracać do domu, moje dziecko. - Przyjrzała jej się uważniej i spytała: - Dlaczego masz podbite oko?

Naprawdę przysłała cię tu macocha?

- Tak, ciociu Agato. - Dopiero teraz Bertę zaczęły nachodzić straszliwe podejrzenia. - Nie mam pojęcia, dlaczego.

Panna Soames prychnęła ze złością.

- To jasne, ona na pewno coś knuje. Chciała się ciebie pozbyć.

- Ale...

- Zastanów się, pokrzyżowałaś jej jakieś plany? Wszłaś w drogę Clare?

Kiedy Berta się zarumieniła, ciotka dodała:

- A może spodobałaś się chłopakowi, który wpadł jej w oko? Nie martw się. Jeżeli ma choć trochę rozumu, przyjedzie tu za tobą.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Berta pokręciła głową z rezygnacją.

- Nie sędę. Nawet nie wie, gdzie jestem. Nic mu nie powiedziałam.

- One też mu nie powiedzą. Lecz jeśli jest ciebie wart, odnajdzie cię. Najważniejsze jest to, czy go kochasz. No, powiedz... Kochasz?

- Tak, ciociu Agato. Ale on chyba nie podziela moich uczuć, chociaż jest dla mnie bardzo dobry.

- To się okaże. - Panna Soames otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła ją wreszcie do środka. — No cóż, wejdź. Skoro już przyjechałaś, lepiej, żebyś została. Gdzie twój ojciec?

- Nie wiem dokładnie, wkrótce wraca do domu.

- Ha! - prychnęła ciotka, po czym zawołała: -Betsy, chodź tutaj i posłuchaj tylko!

Betsy zjawiła się tak szybko, jakby stała za drzwiami.

- Nie musi pani nic mówić, wszystko słyszałam. Biedactwo! Przygotuję dla niej pokój od strony ogrodu i coś do jedzenia. Mizernie wygląda. I proszę spojrzeć na to oko! Powinna zostać tutaj tydzień albo dwa. Zdrowe jedzenie i świeże powietrze dobrze jej zrobi.

Przez następnych kilka dni Berta rzeczywiście odpoczywała. Co więcej, ciotka poleciła Tomowi, aby zawiózł je do Truro, gdzie obkupiła bratanicę w najrozmaitsze stroje.

Słyszac protesty Berty, odpowiadała:

- Cicho, moje dziecko. Nie pozwolę, żebyś nosiła stare sukienki, o kilka numerów za duże i zupełnie niemodne. Poza tym porozmawiam sobie z twoim ojcem. Lepiej mi się nie sprzeciwiaj, moja panno.

- Kiedy ja naprawdę...

- Powiedziałam, żebyś była cicho? Nie pamiętasz, że idą święta? Pozwól mi zostać Świętym Mikołajem!

I tak Berta przymierzała kolejne spódnice, bluzki i sukienki, dopasowane do jej szczupłej sylwetki i uszyte z delikatnych materiałów w pastelowych kolorach. Gdybyż Oliver mógł ją teraz zobaczyć!

Kiedy wyznała ciotce, że bardzo za nim tęskni i że nie wie już, co powinna zrobić, usłyszała w odpowiedzi:

- Po prostu cierpliwie czekaj, moja droga. Niech twoja macocha trochę się pomartwi, jeśli ją na to stać. Nie pisz do niej ani nie dzwoń. Zostań tutaj, aż odnajdzie cię ten twój doktor.

- A jeśli mnie nie znajdzie? -

- Ech, zaraz tam nie znajdzie. Dla chcącego nic trudnego.

Oliver przyjechał do domu państwa Soames dokładnie o wpół do pierwszej. Natychmiast został poproszony do salonu, gdzie pani Soames wyszła na jego powitanie z zafrasowaną miną.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Och, Oliverze, dzięki Bogu, że pan już jest -odezwała się poważnym tonem. - Próbowałam się do pana dodzwonić, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- Chyba nic się nie stało?

- Niestety, Berta... - westchnęła i pokręciła głową. - To pewnie z powodu tego wypadku. Ściągnęła mnie z łóżka o świcie i kazała się zawieźć na stację. Błagałam, żeby nie wyjeżdżała, żeby do pana zadzwoniła albo zaczekała przynajmniej, aż pan się zjawi, ale ona nie chciała słuchać. Nie poznawałam jej. Była taka oziębła, taka zdesperowana.

- Spełniła pani jej prośbę?

- A cóż mogłam zrobić? Nie trafiały do niej żadne argumenty.

- Wzięła jakieś pieniądze? Mówiła, dokąd się wybiera?

- Dałam jej, ile miałam. Twierdziła, że jedzie do ciotki. To chyba krewna jej matki, która mieszka gdzieś w hrabstwie York, nie wiem dokładnie. Błagałam, żeby powiedziała, dlaczego nas opuszcza. Przypominałam, że miała jechać do pańskiej matki... Oświadczyła, że napisze do pana i wszystko wyjaśni. - Pani Soames spłynęła po policzku łza. - Doprawdy nie wiem, co począć, Oliverze. Clare też jest bardzo zmartwiona.

Oliver nie wydawał się przejęty.

- Cóż, proponuję zaczekać, aż dostaniemy jakiś list. Berta potrafi chyba o siebie zadbać, prawda?

- Tak, oczywiście. A czy... - zawahała się - czy odwiedzi nas pan dziś wieczorem? Może wspólnie coś wymyślimy? Tak czy inaczej, zapraszam serdecznie.

- Niestety, jestem bardzo zajęty, pani Soames - odparł uprzejmie, marząc jednocześnie o tym, by skrócić jej kark. Historia, którą mu opowiedziała, brzmiała nader podejrzanie. Zamierzał odkryć prawdę, choćby miało mu to zająć następne kilka tygodni.

- Coś tu nie gra - powiedział do Freddiego, odjeżdżając sprzed domu pani Soames. Musi istnieć sposób, żeby odnaleźć Bertę. Wyśle na poszukiwania Cully'ego, porozmawia z Crookiem i kucharką, którzy najwyraźniej bardzo ją lubili. A tymczasem sprawdzi, czy nie wiedzą czegoś w przedszkolu.

- Berta wyjechała? - zdziwiła się dyrektorka. - Nikomu nic nie mówiąc? To do niej niepodobne. Owszem, dzwoniła jakieś dwa dni temu, że wróci po świętach, ale nie wspominała o żadnym wyjeździe i żadnej krewnej. Mówiła tylko, że musi odpocząć.

Cully także nie potrafił mu pomóc. Crook bardzo się przejął, że Berta tak nagle zniknęła, ale i on nie miał pojęcia, gdzie może być. Wiedział jedynie, że siostra jej matki mieszka faktycznie na północy Anglii. Prócz niej żyła też jeszcze siostra pana Soamesa.

Doktor zatelefonował do matki i usiadł, żeby spo-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

kojnie pomyśleć. Pani Soames potrafiła kłamać jak z nut. Nie wierzył w ani jedno jej słowo, ale nie był w stanie zmusić jej do powiedzenia prawdy. Nie mógł też liczyć na odnalezienie mieszkającej w hrabstwie York ciotki, skoro nie znał jej nazwiska ani adresu. Już prędzej był w stanie odszukać siostrę ojca Berty. Crook twierdził, że nigdy nie wyszła ona za mąż, więc nazwisko powinna nosić takie samo.

Kładąc się spać, doktor wiedział już, co powinien zrobić.

Pan Soames był dobrze znany w kręgach prawniczych. Doktor zadzwonił rankiem do jego kancelarii i poprosił o rozmowę.

- Pan Soames jest jeszcze w Stanach - usłyszał w odpowiedzi. - Chce pan umówić się na jakiś późniejszy termin?

- Hm, może pani mogłaby pomóc. Jest pani jego sekretarką? Świetnie, mogę więc mówić otwarcie. Otóż jestem przyjacielem rodziny państwa Soames. Muszę wyjaśnić pewną kwestię, najchętniej z panem Soamesem, ale skoro go nie ma, czy mógłbym prosić o adres kogoś z jego krewnych? Rozumie pani, to sprawa osobista, która nie dotyczy żony pana Soamesa...

- Właściwie to nie powinnam udzielać panu takich informacji.

- Och, może mi pani zaufać. Nazywam się Hay-

Smythe, doktor Oliver Hay-Smythe. Jak już mówiłem, jestem przyjacielem rodziny.

- Nazywa się pan Hay-Smythe? To pan prowadzi gabinet przy Harley Street, prawda? - sekretarka zmieniła ton. - Przypominam sobie, że występował pan kiedyś jako świadek - dodała życzliwiej.

- Zgadza się. Pomoże mi pani? Może przyjechałbym do pani i...

- Nie, nie, to zbyt ciężkie. Pan Soames ma siostrę, która mieszka w Kornwalii. W zasadzie to mam jej adres... - w głosie sekretarki brzmiało wyraźne wahanie.

- Więc przyjdę go odebrać do kancelarii. A pani niech powiadomi tymczasem pana Soamesa o mojej prośbie.

Przez najbliższych kilka dni doktor nie mógł pojechać do Kornwalii. Miał umówionych pacjentów, dyżury w szpitalu i przychodni, wezwanie do nagłego przypadku. Minął więc prawie tydzień, zanim wsiadł z Freddiem do samochodu i zaczął długą podróż.

Było już późno. Stracił nadzieję, że dotrze do domu Agaty Soames o rozsądnej porze, jechał jednak konsekwentnie na zachód. Freddie siedział obok, czujnie obserwując drogę. Zatrzymali się na noc w starym pubie w Liskeard. Po sutej, domowej kolacji doktor rozgościł się w wygodnym pokoju o ni-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

skim stropie, pozwalając Freddiemu, w nagrodę za dobre sprawowanie, rozciągnąć się w nogach łóżka.

- To zdecydowanie niedozwolone - oznajmił surowo. - Ale ze względu na szczególną okazję zrobię dzisiaj wyjątek. Mam nadzieję, że ciotka Berty lubi psy.

Freddie ziewnął przeciągle.

Następnego dnia, po śniadaniu, znowu wyruszyli w drogę. Jajka na boczku, kielbaski, grzanki i pieczone pomidory każdemu przywróciłyby chęć do życia, a doktorowi i tak jej nie brakowało. Za godzinę spodziewał się przecież ujrzeć Bertę i nie myślał teraz o niczym innym. Pogwizdywał sobie wesoło i stukał palcami do rytmu w koło kierownicy. Freddie znosił to ze stoickim spokojem.

Tuż po dziesiątej Betsy przyniosła na tacy kawę do niedużego, przytulnego salonu panny Soames, którego okna wychodziły na ogród z tyłu domu. Ciotka czytała gazetę, a Berta przechadzała się po ogrodzie, ubrana w jedną z pięknych sukienek, które dostała awansem jako świąteczne upominki, oraz zgrabny płaszczyk - też od „Świętego Mikołaja”.

Panna Soames podniosła oczy zza okularów i odezwała się do Betsy:

- Ta dziewczyna ma w sobie coś szczególnego. Nie zwała z nóg urodą, gdy jednak bliżej ją poznać, bije z niej jakieś wewnętrzne piękno. To nasza krew.

121

- Czy mam ją zawołać?

- Nie. - Ciotka nalala sobie kawy. - Zostaw ją teraz samą, Betsy. Nie potrzebuje opieki.

Betsy wyszła, lecz już po chwili wróciła i oznajmiła z przejęciem:

- Przed dom zajechał jakiś samochód! Bardzo elegancki!

- A, tak - ciotka upiła kolejny łyk - spodziewałam się tego dżentelmena. Poproś go tutaj, Betsy. I nie mów nic Bercie.

Po chwili do salonu wszedł spokojnie wysoki, przystojny mężczyzna.

- Panna Agata Soames? - zapytał. - Jestem Oliver Hay-Smythe. Przepraszam za tę niezapowiedzianą wizytę. - Wyciągnął rękę na powitanie. - Podobno Berta mieszka teraz u pani?

- Co pana zatrzymało, młody człowieku? - zapytała zgryźliwie, ściskając mu dłoń. - Wiedziałam, oczywiście, że pan się zjawi, ale żeby dopiero teraz? Berta była przekonana, że już nigdy pana nie zobaczy.

Wskazała głową w kierunku ogrodu. Na widok Berty, smutnej, lecz ślicznej w nowej sukience, zmęczoną twarz doktora rozpromienił uśmiech.

- Mówiłam jej, że mężczyzna, który naprawdę kocha, odnajdzie swą wybrankę choćby na końcu świata - mówiła tymczasem ciotka. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem i spytała: - To prawda, doktorze?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Tak, prawda. Nie bardzo tylko rozumiem, skąd ona się tu wzięła. Chyba macocha chciała się jej pozbyć. Zresztą, w tej chwili to bez znaczenia.

- Przyjechał pan samochodem aż z Londynu? A co z pańskimi pacjentami?

Doktor uśmiechnął się.

- Wymagało to trochę zachodu, ale załatwiłem sobie tydzień urlopu. W końcu idą święta.

- Mam nadzieję, że ma pan dla Berty jakiś upominek. Ja swój jej już dałam... - Przerwała i spojrzała na stojącą za nim służącą. - O co chodzi, Betsy?

- Z samochodu wystawia głowę jakiś pies.

- To Freddie. - Doktor spojrzał na ciotkę z zakłopotaniem. - Mogę go wypuścić? Potrafi się zachować.

Dobrze. Przyrowadź go tu, Betsy - poleciła, a gdy Freddie wszedł ostrożnie do salonu, poczęstowała go herbatnikiem. Po chwili wyprostowała się i uśmiechnęła. - No cóż, śmiało, młody człowieku - powiedziała do doktora. - W głębi holu znajdziesz drzwi do ogrodu.

Gdy tylko znaleźli się w ogrodzie, Freddie, który wiernie towarzyszył swemu panu, szczeknął radośnie na widok Berty i popędził w jej kierunku. Dziewczyna przykucnęła i objęła go za szyję, wpatrując się w idącego ku niej po trawie Olivera. Jej twarz promieniała radością. Miała teraz piękną cerę,

123

a dzięki opiece ciotki nieco się zaokrągliła. Co więcej, nowa sukienka odsłaniała ponętne kształty, które niedopasowane do jej figury kreacje Clare skutecznie dotąd ukrywały.

Doktor bez słowa wziął Bertę w ramiona i przytulił mocno do piersi. Dopiero po chwili powiedział:

- Przyjechałem najszybciej jak mogłem, najdroższa. Długo cię szukałem.

- Ale jak... w jaki sposób...?

- Później ci wszystko wyjaśnię, kochana - odparł, po czym pochylił głowę i pocałował ją gorąco.

Berta zamknęła oczy z westchnieniem, później zaś, gdy odsunął ją na długość wyciągniętych ramion, patrzyła na niego oszołomiona.

- Chcę wiedzieć, po co macocha mnie tu przysłała - powiedziała, starając się panować nad sobą. - Będzie wściekła, kiedy wszystko się wyda.

- Zostaw to mnie, moja droga. Nie musisz już nigdy widywać macochy ani Clare. Wkrótce się pobierzemy. Chciałabyś wziąć ślub w Wigilię?

Pocałował ją znowu, a jej zakręciło się w głowie ze szczęścia.

- Nie zapytałeś nawet... Nie mówiłeś...

- Że cię kocham? - Uśmiechnął się do niej. - Tak, kocham cię, Berto. Zakochałem się w tobie bez pamięci, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy w tej okropnej różowej sukience. Czy wyjdiesz za mnie i zechcesz odwzajemnić choć trochę moją miłość?

124

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Objęła go za szyję i wyszeptała żarliwie:

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę, Oliverze. I zawsze będę cię kochała. A teraz... pocałuj mnie jeszcze raz.

Ciotka Agata, obserwując ich bezwstydnie z fotela, wyjęła chusteczkę i wytarła nos, po czym powiedziała do Betsy, która zaglądała jej ciekawie przez ramię:

- Potrzebuję chyba nowych okularów, bo ciągle łzawią mi oczy.

Jej głos brzmiał szorstko, ale uśmiechała się z zadowoleniem.

Carole Mortimer

Ona jest aniołem

Nick, rozwiedziony ojciec gromadki dzieci, musi zaopiekować się swoimi pociechami w czasie świąt. Bethany zostaje przysłana, żeby mu pomóc. Nick z początku jest wobec niej sceptyczny, lecz z czasem daje się uwieść pięknu i dobroci tej niezwyklej dziewczyny. Jest tylko jeden problem...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Kim pani jest, u diabła?

Kasztanowe brwi Bethany podskoczyły ze zdziwienia na ten niespodziewany atak ze strony mężczyzny, który otworzył drzwi. Pukała już *od* dłuższego czasu, ale postanowiła mu o tym nie wspominać. Uznała, że ów pan najprawdopodobniej nie ma ochoty na wysłuchiwanie jakichkolwiek uwag. Był to wysoki, ciemnowłosy mężczyzna pod czterdziestkę, o szarawych oczach, w których w tej chwili czaiła się rozpacz. Jego krótko ostrzyżone włosy wyglądały tak, jakby stanęły na baczność z przerażenia. Mężczyzna miał na sobie nienaganny strój - uszyty na miarę ciemny garnitur, śnieżnobiałą koszulę oraz starannie zawiązany krawat. Bethany szczerze wątpiła, czy ubierał się tak na co dzień.

Właściwie miała pewność, że tak nie było - nie zjawiłaby się tutaj, gdyby to był taki, ot, zwyczajny dzień.

Uśmiechnęła się do mężczyzny, zdecydowana nie dać się zniechęcić jego agresywnemu zachowaniu. W końcu podczas ostatniego zlecenia miała do czy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

nienia z osobnikiem obdarzonym wszystkimi cechami Dickensowskiego Scrooge'a przed cudowną przemianą, więc nie mogło ją spotkać nic gorszego. Oczywiście, wtedy nie narzekała - to nie leżało w jej naturze - jednak byłoby miło, gdyby w te święta...

- Pytałem, kim pani jest - przerwał jej myśli ciemnowłosy mężczyzna. - Jeśli zbiera pani pieniądze na jakiś szczytny cel...

- Nie - uśmiechnęła się łagodnie, a ów uśmiech pogłębił się na widok jasnowłosej dziewczynki, fikającej koziołki na jasnoniebieskim dywanie. Tuż obok dwaj ciemnowłosi chłopcy uprawiali zapasy na chodniku rozpostartym przed kominkiem.

Boże Narodzenie to takie radosne święta, pomyślała Bethany. Zwłaszcza dla dzieci. Cieszyło ją, że tym razem, będzie miała do czynienia z dziećmi.

Uwielbiała maluchy. Kiedyś przecież sama była dzieckiem - ba, niektórzy sądzą, że pozostała nim do dziś. Ze wszystkich sił starała się udowodnić **im**, że jest już odpowiedzialna i całkiem dojrzała, lecz ilekroć zlecali jej jakieś zadanie, zawsze coś szło nie tak, jak powinno.

- Nie, nie zbieram pieniędzy, panie Rafferty - zapewniła go. - Bo nazywa się pan Rafferty, prawda?

Niewiele jej o nim powiedziano, ale skoro mieszkał pod właściwym adresem i przebywała z nim trójka dzieci, Bethany uznała, że to z pewnością on, Nick Rafferty we własnej osobie. Na moment od-

wrócił się, aby obrzucić surowym spojrzeniem troje hiperaktywnych maluchów, a wówczas przyjrzała mu się z uwagą - przystojny, pewny siebie, ale chyba nieszczęśliwy.

- Tak, jestem Nick Rafferty - westchnął w końcu mężczyzna i mrugnął nerwowo, kiedy hałas za jego plecami przekroczył dopuszczalny poziom normy. - Zamknąć się, wszyscy! - wrzasnął, zresztą zupełnie niepotrzebnie, gdyż obaj chłopcy ledwie raczyli zerknąć w jego kierunku, zaś złotowłosa dziewczynka zatrzymała się wprawdzie na moment, lecz, po chwili znów zaczęła fikać koziółki, tyle że tym razem w przeciwną stronę.

- O, Boże! - jęknął mężczyzna i przeczesał palcami sztywne włosy. - Mogę w czymś pani pomóc? - spytał, obrzucając niezbyt przyjaznym spojrzeniem jej długie, rude włosy, zielone oczy i uśmiechniętą szeroko twarzyczkę w kształcie serca.

- Nie, za to ja mogę pomóc panu. - Bethany wciąż nie przestawała się uśmiechać, co z jakiegoś powodu jeszcze bardziej zirytowało jej rozmówcę. Powoli potrząsnął głową i skrzywił się z niedowierzaniem. !

- Chciałbym, żeby tak było.

- Więc będzie.

- Przepraszam - westchnął coraz bardziej zniecierpliwiony - ale kim pani jest?

- Niebiańskie Anioły - poinformowała go krót-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ko, wchodząc do mieszkania i bez pośpiechu rozdzielając chłopców, którzy znaleźli się zbyt blisko kominka. Następnie otrzepała ich ubrania i przyczesła zmierzwiłone włosy. Uśmiechnęła się do nich oraz do złotowłosej dziewczynki, która zarzuciła nagle fikanie koziołków i dołączyła do braci, najwyraźniej zaciekawiona pojawieniem się nieznajomej. Bethany popatrzyła na tego małego aniołka o złotych lokach i niewinnej buźce upstrzonej piegami - i zrobiło jej się jeszcze słodziej na sercu.

- Jak się to pani udało? - spytał zdumiony Nick Rafferty, podczas gdy trójka jego maluchów stała grzecznie w rzędzie, zapatrzona z zaciekawieniem w Bethany. - Do diabła, ja...

- Nie powinien pan przeklinać w obecności dzieci - przerwała mu delikatnie. - Niedobrze, kiedy niewinne uszy...

- Dzieci! - tym razem on jej przerwał. - **Osobiście** uważam, że za bardzo się nimi przejmujemy. Ta zaś trójka to prawdziwe diabły z piekła rodem!

- Niepotrzebnie się pan unosi, panie Rafferty - odezwała się Bethany, głaszcząc jednocześnie złote loki dziewczynki. Mała uśmiechnęła się do niej, **demonstrując** z wdziękiem brak siekaczy. Ta złotowłosa księżniczka na pewno sepleni, pomyślała Bethany, po czym dodała łagodnym tonem: - Złość nic tu nie pomoże, panie Rafferty. Poza tym gniew dorosłych

źle wpływa na dzieci. Potrzeba im stanowczego postępowania, ale...

- Nie musi mnie pani pouczać, jak wychowywać dzieci! - wybuchnął Rafferty.

- De ma pani własnych?

- Żadnego, ale...

- Tak myślałem—nie pozwolił jej dokończyć. - Sama jest pani jeszcze dzieckiem - dodał z niesmakiem, obrzuciwszy wzrokiem jej drobną sylwetkę i dziecinne rysy, które sprawiały, że Bethany wyglądała niewiele dojrzalej niż mała dziewczynka u jej boku.

Bethany uśmiechnęła się aa myśl o tym, jak bardzo się mylił. Jej wygląd często wprowadzał ludzi w błąd. Może i wyglądała młodo, ale miała już...

- Pytałem, kim pani jest — przypomniał jej szorstko mężczyzna. Uśmiech dziewczyny najwyraźniej go irytował, gdyż teraz obserwował ją spod groźnie zmarszczonych brwi.

- Już panu odpowiedziałam, panie Rafferty - odrzekła z niezachwianą łagodnością i znów uśmiechnęła się do dziewczynki u swego boku. Mała ufnie wsunęła drobną rączkę w jej dłoń. - Niebiańskie Anioły...

- Niebiańskie Anioły - powtórzył z irytacją Rafferty. - To mi zupełnie nic nie mówi. Prawdę mówiąc, nie przypomina pani anioła.

W uśmiechu Bethany pojawił się smutek. Nie on pierwszy to zauważył. Anioły powinny być złotowłose i błękitnookie, piękne w eteryczny, nieziem-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ski sposób. Zielone oczy i piegi z pewnością nie są atrybutami piękności. Cóż, kiedyś Bethany usiłowała zmienić kolor włosów, lecz po ufarbowaniu okazało się, że stały się one fioletowe, co wyglądało wprost okropnie.

- Lubię ją, tato Nicku. - Dziewczynka uśmiechnęła się do Bethany swoim bezzębnym uśmiechem.

- Ona jest.. . jak anioł!

Nick z pogardą wykrzywił usta.

- Lubisz ją... Jasne, to wspaniała rekomendacja

- burknął tonem, który wskazywał na to, że jest wręcz przeciwnie.

- Owszem, doskonała - zgodziła się z radością Bethany, ignorując sarkastyczny ton mężczyzny, po czym przyklęknęła tak, że jej głowa znalazła się na tej samej wysokości, co oczy dziewczynki. -Przysłano mnie tu, żebym zajęła się tobą i twoimi braćmi.

- Naprawdę? - Śliczna buzia dziecka pojaśniała. Mała odwróciła się ku Rafferty'emu i zapytała: - **Tatusiu** Nicku, słyszałeś, co ona powiedziała?

Powiedziała, że...

- Słyszałem, Lucy - przerwał jej Nick. - I chciałbym, żeby ten twój anioł to wyjaśnił. - **Popatrzył** na Bethany. - Nie wygląda pani na przyjaciółkę jej matki.

Jeśli jednak pani nią jest, zapewniam panią, że żadna koleżanka Samantha...

Lucy, przestań **szarpać** panią za ramię!

8

Dziewczynka zerknęła na niego spod długich, złocistych rzęs.

- Chciałam się tylko spytać, czy anioły potrafią zrobić kanapkę z dżemem - wyjaśniła potulnie, a jej wargi zadrżały niebezpiecznie.

Bethany natychmiast spostrzegła to drżenie, więc przytuliła małą mocno i odparła:

- Oczywiście, że potrafią, skarbie - szepnęła łagodnie. Czy Nick Rafferty naprawdę nie widzi, jak jego zachowanie deprymuje to biedne dziecko, dodała w myślach.

- Więc robi ją pani? - dopominała się mała.

- Oczywiście.

- Teraz?

- Może troszkę później. Najpierw musicie zjeść podwieczorek. - Bethany przyglądała potargane loki Lucy.

- Podwieczorek? Nawet nie jedliśmy obiadu - wtrącił młodszy z chłopców.

- Nie? - Bethany pokiwała ze zrozumieniem głową. To wiele wyjaśniało.

Z doświadczenia wiedziała - wbrew temu, co sądził Nick Rafferty, miała całkiem spore doświadczenie z dziećmi - że dzieci często są niegrzeczne i nadpobudliwe właśnie wtedy, gdy czują głód. Trudno jej było to zrozumieć, nie prosiła jednak nigdy o wyjaśnienia, gdyż wiedziała, że i tak zadaje zbyt dużo pytań. Odpowiedź nie wydawała jej się zresztą taka znów istotna.

9

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nic dziwnego, że jesteście trochę podekscytowani. Czy może mnie pan zaprowadzić do kuchni, panie Rafferty? - zapytała.

- Tędy - ponownie odezwał się młodszy z chłopców, po czym ujął dłoń Bethany i pociągnął ją ku drzwiom.

- Ale... chwileczkę. Josh! Jamie! - po raz kolejny krzyknął Nick Rafferty. Oczywiście żaden z chłopców nie zwrócił na niego uwagi. Ponieważ jednak w głosie mężczyzny zabrzmiała najprawdziwsza rozpacz, Bethany zlitowała się nad nim i przystanęła.

- Przecież nawet nie wiemy, kim jest ta pani! - jęknął Rafferty, na co Bethany uśmiechnęła się współczująco i odparła:

- Och, takie są dzieci, panie Rafferty: rzadko gryzą dłoń, która je karmi. Wiedzą też instynktownie, komu warto zaufać... - ciągnęła, widząc, że mężczyzna gotuje się ze złości - ...a komu nie - dokończyła znacząco, po czym zniknęła w kuchni z dwoma chłopcami drepczącymi jej po piętach i **małym** aniołkiem w ramionach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nick zamierzał pójść za nimi i zażądać wyjaśnień, ale kiedy w pokoju po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin zapadła cisza, zmienił zdanie. W końcu cóż takiego mogło stać się dzieciom, skoro znajdowały się zaledwie parę kroków dalej, w kuchni? Najważniejsze, że wreszcie zamilkły. No i zostały nakarmione.

Do diabła, zupełnie zapomniał o tym, żeby dać im coś do jedzenia. Sam rzadko jadał luncha i po prostu nie pomyślał, że mogą być głodne.

Skąd jednak miał wiedzieć, jak zajmować się dziećmi? Nie miał pojęcia, dlaczego Robert sprowadził je właśnie do niego. Było to tym trudniejsze do zrozumienia, że właściwie po raz pierwszy od pięciu lat on i Robert powiedzieli sobie coś więcej niż tylko „dzień dobry” i „do widzenia”.

Robert, niegdyś najlepszy przyjaciel Nicka i jego wspólnik w interesach, ponad pięć lat temu odebrał swojemu kumpłowi żonę i dzieci. Teraz jednak konieczność kazała mu przywieźć te dzieci z powrotem

GWIAZDKA MIŁOŚCI

do ojca. Nick nigdy nie wiedział, jak zajmować się pociechami - zawsze zostawiał to Samanthcie.

Mój Boże, Samantha. Czy nic jej nie będzie? Czy przeżyje? Tak wiele było między nimi niedokończonych spraw, goryczy, bólu. A teraz została ciężko ranna w wypadku samochodowym i mogła nawet umrzeć! Nick zastanawiał się, dlaczego to ludzie nigdy nie czują wyrzutów sumienia z powodu przeszłości aż do chwili, w której zazwyczaj jest już za późno. Dlaczego?

- Panie Rafferty?

Zamrugnął powiekami i wbił spojrzenie w „anioła”, który stanął na progu. Rudowłosy anioł! Czy ktokolwiek słyszał kiedyś o czymś takim? A jednak gdy patrzył na tę dziewczynę, mógł niemal przysiąc, że wokół jej głowy unosi się jakaś poświata. Czyżby tak właśnie wyglądała aureola?

- Pana lunch, panie Rafferty. - Bethany wyciągnęła przed siebie talerz, wepchnęła go w jego niechętne palce, po czym odwróciła się i poszła z powrotem do dzieci w kuchni. Do dzieci, które teraz w ciszy i spokoju spożywały posiłek, który im przygotowała.

Nick z niesmakiem potrząsnął głową. Aureola! Chyba tracił zmysły. Stała po prostu na tle lampy, która oświetliła jej rude włosy - to wszystko. Najwyraźniej dwadzieścia cztery godziny zajmowania się dziećmi wpłynęło negatywnie na jego trzeźwe myślenie.

12

Ta kobieta nie była rzecz jasna aniołem, lecz człowiekiem z krwi i kości, obdarzonym zresztą całkiem ładnym ciałem. Przyjrzał się biodrom dziewczyny, gdy wędrowała do kuchni. Była nieco za młoda jak na jego gust, pewnie niedawno przekroczyła dwudziestkę, ale jej drobne ciało charakteryzowało się niemal doskonałymi proporcjami - miała niewielkie i jędrne piersi, wąskie i zgrabne biodra, a do tego te włosy...

Cholera, naprawdę coś z nim nie tak! Co go obchodzi wygląd tej kobiety? Czy rzeczywiście nie ma o czym myśleć? Oto jego życie pograżyło się w chaosie. Oto następnego dnia miał wyjechać do Aspen w Kolorado, by przez całe święta jeździć z Li-są na nartach, lecz zamiast tego będzie musiał opiekować się trójką dzieci. I to nie wiadomo jeszcze, jak długo. Jak wytłumaczy lisie, że z zaplanowanego wcześniej romantycznego wyjazdu nic nie wyszło?

Lisa, no właśnie. Odkąd Robert przywiózł mu wczoraj te dzieciaki, nie poświęcił jej ani jednej myśli. Na pewno zrobi mu straszliwą awanturę za ten brak zainteresowania.

Ech, do diabła z nią - brylantowa bransoletka z pewnością ukoi jej zranione uczucia. W tej chwili Lisa martwiła go najmniej ze wszystkiego - najbardziej przejmował się tym, co zrobi podczas świąt z trójką dzieci.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nie tknął pan kanapki, panie Rafferty. Podniósł wzrok. Rudowłosy anioł stał nad nim

i trzymał w dłoniach filiżankę herbaty.

Jak ona to zrobiła? Nagłe pojawiła się przed nim, zupełnie jak gdyby... Nick potrząsnął głową i ujął wolną dłonią filiżankę, po czym zdał sobie sprawę ze swojego błędu. Teraz nie mógłby zjeść kanapki, nawet gdyby chciał. Ale nie chciał. Dzieci mogą sobie lubić dżem, on go nie znosił.

- Wszystko będzie dobrze, panie Rafferty. - Delikatnie ścisnęła jego ramię. -

Pani Fairfax jest teraz bardzo chora, ale z pewnością wkrótce wyzdrowieje. -

Uśmiechnęła się łagodnie. - Powiedziano by mi, gdyby miało być inaczej.

Nick nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek miał kłopoty z

formułowaniem myśli, lecz działo się tak wobecności owej tajemniczej

nieznajomej. Jak to „powiedziano by jej”? Niby kto? Może jednak nie powinien

zostawiać z nią dzieci - najwyraźniej miała jakieś zaburzenia. Najpierw twierdziła,

że jest aniołem, teraz zaś zapewnia go z łagodnym uśmieszkiem, że jego była żona wydobrzeje po wypadku, w którym odniosła tak liczne i tak poważne obrażenia.

- Dziecku także nic nie grozi - ciągnęła, nie przestając się uśmiechać. - Proszę spokojnie zjeść lunch, panie Rafferty. Kiedy pan skończy, wszystko wyda się panu bardziej znośne.

Nick miał wrażenie, że dziewczyna traktuje go tak, jak gdyby i on był dzieckiem, a przecież...

Dziecko? Tak, powiedziała coś o dziecku!

Jakie dziecko, do diabła? Samantha nie była chyba w ciąży, Robert z pewnością by mu o tym powiedział.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Ta rudowłosa dziewczyna była najdziwniejszą osobą, jaką spotkał w swoim życiu. Wciąż robiła jakieś dziwaczne uwagi. Dlaczego?

Na dźwięk dzwonka telefonu odwrócił się w tamtą stronę. Popatrzył bezradnie na filiżankę oraz talerz, które trzymał w dłoniach, a wówczas dziewczyna oznajmiła:

- Odbiorę za pana, panie Rafferty - i znowu delikatnie poklepała go po ramieniu. - Może to pan Fairfax z wiadomościami o pana żonie?

Byłej żonie, dodał w myślach Nick. Już od czterech lat Samantha była żoną Roberta. Najprawdopodobniej jednak dzwoniła Lisa, wściekła, że dotąd do niej nie zatelefonował. To, że telefon odbierze młoda kobieta, na pewno nie poprawi jej humoru.

Za późno - dziewczyna już podnosiła słuchawkę i przykładała ją do ucha. Jak też ona miała na imię? Przecież nie mógł o niej myśleć jak o aniele!

- Pan Fairfax! - wykrzyknęła i uśmiechnęła się do Nicka. - Oczywiście, że pan Rafferty jest w domu. Zaraz przekażę słuchawkę.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Ostrożnie położyła słuchawkę na stoliku, po czym wyjęła z rąk Nicka talerz z kanapką oraz filiżankę. Chwilę później dyskretnie wymknęła się z pokoju.

Nick patrzył za nią, zbyt zaskoczony, żeby się poruszyć. Nagle przypomniał sobie, że po drugiej stronie linii telefonicznej czeka Robert.

- Witaj - warknął i aż zamrugał powiekami, słysząc agresję we własnym głosie.

- Co z nią? - zapytał odrobinę łagodniej.

- Lepiej. Stan krytyczny minął - odparł Robert z ulgą. - Nie mogę jej jednak zostawić. Jestem pewien, że to zrozumiesz.

Owszem, Nick rozumiał. Robert kochał Samanthę bardziej niż kogokolwiek.

Ta miłość znaczyła dla niego więcej niż przyjaźń z Nickiem i niż bogactwo, na które obaj zapracowali. Samantha zaś czuła to samo do Roberta.

Czy **on**, Nick, kiedykolwiek kochał ją tak głęboko? **I** czy Samantha

odwzajemniała to uczucie? Och, może na początku - zanim inne sprawy nie stały się ważniejsze i zanim przyzwyczajenie nie sprawiło, że zaczął lekceważyć to jedno, co nadawało jego życiu prawdziwe znaczenie. Ale przecież gdyby naprawdę kochał Samanthę, nigdy nie doszłoby do **rozstania**.

Mój Boże, dosyć tego. W ciągu ostatnich pięciu lat przerabiał to wiele razy.

Obecnie dawne uczucia nie miały żadnego znaczenia. Samantha była od daw-

na żoną Roberta i tych dwoje bardzo się kochało. Koniec, kropka.

- Co będzie z dziećmi? - wrócił do przerwanej rozmowy.

- Na razie muszą zostać z tobą. Ich prezenty są w domu, ukryte w garderobie.

Jeśli mógłbyś...

- Przecież Boże Narodzenie jest dopiero za dwa dni! - przerwał niecierpliwie Nick. Z niejasnych powodów zirytowała go myśl, że Samantha wciąż ukrywa prezenty w garderobie, dokładnie jak za czasów ich małżeństwa, - Chyba wrócisz do tego czasu i będziesz mógł je sam im dać?

Po drugiej stronie przewodu telefonicznego zapadła długa cisza, po czym Nick usłyszał, jak jego rozmówca powoli wypuszcza powietrze z płuc.

- Posłuchaj, Nick - odezwał się po chwili Robert. - Ja wiem i Bóg wie, że kocham te dzieci, jakbym to ja był ich ojcem. Musiałem je pokochać, w końcu przez ostatnie pięć lat ty prawie ich nie widywałeś. Prawdą jest też jednak, że to twoje potomstwo, twoja odpowiedzialność i twoje obowiązki. Naprawdę nic się nie stanie, jeśli nie pojedziesz na narty ze swoją najnowszą panienką, tylko zajmiesz się własnymi dzieciakami przez święta.

Och, tak, Robert dobrze go znał, wiedział, jak go podejść, jak odwołać się do jego ambicji. Dziwne, że on, Nick, zdążył już o tym zapomnieć w czasie ostatnich pięciu lat. Robert mylił się jednak co da-

lej sprawy: Nick Rafferty był ojcem Jamiego sha. Owszem, powinien był spędzać z nimi więcej czasu, jednak Samantha nie chciała słyszeć o tym, żeby rozdzielić chłopców z Lucy, zaś Lucy była...

Nie zostawię Samantha - powiedział z determinacją Robert. - Będziesz musiał jakoś sobie poradzić. Jestem pewien, że ta młoda osoba, która odebrała telefon, chętnie ci w tym pomoże. Chyba jest sympatyczna, prawda? I pamiętaj: Jamie i Josh bez przerwy oglądają telewizję albo walczą ze sobą na podłodze, a Lucy zakocha się w każdym, kto da jej kanapkę z dżemem.

Ta sympatyczna młoda osoba dała jej już kanapki - poinformował go sucho Nick. - Natomiast co do chłopców, to masz rację, od wczoraj na przemian oglądają telewizję i się tłuką.

No widzisz - odparł z satysfakcją Robert. **-Przeżyjesz to.** Jeśli na dodatek masz do pomocy jakąś fajną dziewczynę, na pewno dacie sobie radę. Może i rzeczywiście, pomyślał Nick. Z kuchni chwilowo nie dobiegał żaden odgłos. Ale przecież chodzi tylko o to, by je nakarmić. Pozostawało zasadnicze pytanie: co robić z trójką dzieci przez całe święta?

Robert...

Nie wyjdę ze szpitala, Nick - przerwał mu stanowczo Robert. - Chcę tu być, kiedy Samantha odzyska przytomność.

Jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, ale wciąż mogą pojawić się komplikacje.

Nick poczuł nagły skurcz w żołądku - rozwiódł się z Samantha, która była teraz żoną Roberta, nie oznaczało to jednak, że była żona zupełnie go nie obchodzi.

- Jakie komplikacje? - zapytał ostrożnie.

- Lekarze obawiają się o zdrowie dziecka - odparł Robert. - Boże, od tak dawna chciała urodzić jeszcze jedno dziecko. W końcu się udało. Jeśli Sam straci teraz to maleństwo...

Nick przestał słuchać. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że wyraził zgodę na zajęcie się dziećmi do czasu, kiedy Robert będzie mógł opuścić leżącą w szpitalu żonę. Nie pamiętał też, kiedy odłożył słuchawkę i który z nich właściwie zakończył tę rozmowę.

Usiadł ciężko i popatrzył na zamknięte drzwi prowadzące do kuchni. Ona wiedziała o dziecku, sama mu powiedziała, że maleństwu nic nie będzie. Skąd wiedziała, że Samantha jest w ciąży? No skąd?

Popatrzył na kanapkę, którą wciąż trzymał w dłoni, odgryzł wielki kęs i zaczął powoli przeżuwać. Nagle przerwał i popatrzył na nią z niedowierzaniem. To wcale nie był dżem, tylko wędzony łosoś - jego ulubiony przysmak!

ROZDZIAŁ TRZECI

Bethany siedziała przy kuchennym blacie i wesoło gawędziła z trójką dzieci, Kiedy do kuchni wpadł nagle Nick Rafferty, uniosła spokojnie wzrok i popatrzyła nań ze zmarszczonym czołem. Ten mężczyzna zachowywał się zbyt agresywnie - krzyczał, wpadał jak burza do pomieszczeń, a w rozmowie nie był zbyt taktowny.

- Chciałbym zamienić z panią słówko, pani... No właśnie. Jak się pani, u diabła, nazywa?

Dzieci nawet na niego nie spojrzały - zdaje się, że nic już sobie nie robiły z jego napastliwego tonu - tylko z zadowoleniem zajadały swoje kanapki. Bethany nie była tym zachwycona. Nie uważała za właściwe, żeby dzieci przyzwyczajały się do agresji w głosie ojca.

- Ona nazywa się Beth, tato Nicku - poinformowała go w końcu Lucy. - Ładnie, prawda? - Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z faktu, że seplenienie nie przeszkadza jej przy wymawianiu imienia nowej przyjaciółki.

Bethany ucieszyła się, że jej imię przypadło małej

do gustu, ale zastanawiało ją, dlaczego dziewczynka zwraca się do Rafferty'ego w ten dziwny sposób. „Tato Nicku” - nie spotkała się nigdy z takim cudacznym połączeniem. Oczywiście wiedziała, że cała trójka dorastała pod opieką ojczyma, co musiało wprowadzić nieco zamieszania, jednak...

- Bardzo ładnie - zgodził się bez przekonania Nick Rafferty. - Przejdzie pani ze mną do pokoju, panno Beth? - zapytał. Najwyraźniej przeszkadzało mu to, że nie zna jej nazwiska. - Chyba musimy porozmawiać.

- Oczywiście. - Skinęła głową i uśmiechnęła się do dzieci. - Kiedy skończycie jeść, odstawcie talerze i umyćcie buzie i ręce, żeby nie pobrudzić rączkami mebli waszego taty - poradziła im jeszcze* choć podejrzewała, że to wcale nie będzie takie proste. W mieszkaniu znajdowało się mnóstwo kosztownych, eleganckich mebli i wysmakowanych drobiazgów, w związku z czym nie nadawało się ono dla małych i zawsze aktywnych dzieci. - Kiedy skończę rozmawiać z waszym tatą, ubierzemy się ciepło i pójdziemy na spacer, zgoda?

- Spacer? - Nick spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Droga pani, chyba musiała pani zauważyć, że od dwudziestu czterech godzin pada śnieg!

Oczywiście, że zauważyła. To właśnie z tego powodu się tutaj zjawiała. Gdyby nie padało, samochód Samantha Fairfax nie wpadłby w poślizg i nie wy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

rzuciłoby go na pobocze. Nie zdarzyłby się ten wypadek i biedna Samantha nie trafiłaby do szpitala. Poza tym Bethany uwielbiała śnieg. Od zawsze. Chyba tak było nawet wtedy, gdy...

- Dzieci uwielbiają zabawy na śniegu, panie Rafferty - poinformowała go praktycznym tonem, starając się przekrzyczeć rozentuzjasmowaną trójkę maluchów.

- Właśnie widzę - zasepił się Nick. - No dobrze, chodźmy najpierw do pokoju - oznajmił, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni, zapewne oczekując, że Bethany pójdzie za nim.

Beth uspokoiła dzieci, powtórzyła im, co mają robić, i podążyła za Raffertym. Zmarszczyła brwi, widząc, że pan domu nalewa sobie potężną porcję whisky, a następnie wlewa jej zawartość do gardła. Kiedyś sama spróbowała whisky - zapiekły ją wtedy oczy, zaczęła gwałtownie kaszleć, a gardło paliło ją żywym ogniem.

Weszła do pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Z zadowoleniem spostrzegła pusty talerz na stole - oznaczało to, że whisky nie podziała na Nicka piorunująco.

Proszę mi powiedzieć, czy ma pan psa?

Wydawał się zaskoczony tym pytaniem, jak gdyby to była ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć.

- Psa? - powtórzył. - Oczywiście, że nie mam. Po jakie licho mi pies?

- Więc może kota?

- Kot byłby tu równie nieszczęśliwy, jak pies -parsknął niecierpliwie. -

Dlaczego pani o to pyta?

- Popatrzył na nią podejrzliwie. Bethany niedbale wzruszyła ramionami.

- Bo wydaje pan polecenia, nie dodając „proszę” ani „dziękuję”. Myślałam, że zwykł pan tak mówić do któregoś ze swoich zwierząt - wyjaśniła, ustawiając filiżankę i spodek na pustym talerzu.

Szare oczy mężczyzny zamieniły się w szparki.

- Punkt dla pani - powiedział po dłuższej chwili.

- Przepraszam za brak taktu.

Bethany uśmiechnęła się nieznacznie. Głos Nicka był twardy, nieprzyjemny, zduszony. Zapewne nie przywykł on do przeproszania za swoje zachowanie. I to wcale nie dlatego, że rzadko zachowywał się w sposób, który wymagałby przeprosin - Rafferty był bo prostu człowiekiem, który nie czuł potrzeby przeproszania za cokolwiek.

- Musi pani jednak zdawać sobie sprawę - odezwał się znowu - że to nie są zwyczajne okoliczności! Do licha - zaklął i przejechał ręką po wzburzonych włosach - Robert podrzucił mi dzieci wczoraj wieczorem. Ich matka znajduje się w szpitalu, w ciężkim stanie. Za dwa dni Gwiazdka, a pani zjawia się tu nagle i twierdzi, że jest aniołem. Czy to normalne? - Potrząsnął głową i wbił wzrok w pustą szklanekę po whisky. - Czy dziwi się pani, że się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

uniosłem, że musiałem nalać sobie whisky? Ale... - zawahał się, wyprostował - chciałbym mimo wszystko odpowiedzieć na pani pierwsze pytanie. Nie mam psa, choć kiedyś miałem. Nie żyje, biedak, od pięciu lat.

Bethany obserwowała, jak Nick nerwowo przemierza całe pomieszczenie. Był samotny, od razu to spostrzegła. Miał trójkę dzieci, mnóstwo pieniędzy, a jednak wydawał się całkiem opuszczony i osamotniony. Oczywiście, była to samotność z wyboru. Człowiek z jego majątkiem i prezencją mógł prowadzić zupełnie inne życie, gdyby tylko chciał. Nick Rafferty nie chciał, a ona zastanawiała się, czemu z tego zrezygnował.

- Współczuję panu - powiedziała. - To przykre. - Owszem - mruknął Nick. - Tym bardziej że pies zginął w dniu, w którym moja była żona doszła do wniosku, że nie może już na mnie patrzeć.

Bethany zdumiała złość w jego głosie. Samantha była bez wątpienia wspaniałą kobietą, skoro zdołała rozkochać w sobie dwóch tak atrakcyjnych mężczyzn, jak Nick Rafferty i Robert Fairfax. Urodziła im dzieci - słodkie, urocze dzieci o zdrowym podejściu do świata i własnej rodziny, co oznaczało, że była również dobrą matką. A jednak obecnie nienawidziła mężczyznę, którego musiała kiedyś kochać.

Nick wykrzywił usta, gdy ujrzał zdumienie na twarzy Bethany.

- Tamtego dnia, pięć lat temu, zginął ktoś jeszcze - dodał, choć słowa z trudem przechodziły mu przez gardło i najprawdopodobniej nie chciał opowiadać o tej sprawie. A jednak opowiadał...

Bethany wiedziała, że czasem zdarza się ludziom mówić o czymś, do czego woleliby nie wracać, że coś, jakaś tajemna siła, zmusza ich do mówienia wbrew sobie. Być może w tym przypadku spowodował to wypadek Samantha, zagrożenie jej życia, wspomnienia, które nagle ożyły w jego pamięci i odnowiły zabliznioną ranę w głębi serca.

- To była młoda kobieta - powiedział cicho, z westchnieniem. - Przyjechała do nas, żeby zająć się dziećmi. To... to stało się z mojej winy - dodał i popatrzył wyzywająco na Bethany.

Wytrzymała jego spojrzenie. Powoli zaczynała rozumieć, co robi w tym domu. Wcześniej wierzyła, że zjawiała się tu z powodu dzieci, zaniepokojonych rozłąką z matką. Teraz jednak uświadomiła sobie, że jest tu także z powodu Nicka Rafferty'ego.

Tym razem ktoś popełnił naprawdę grubą błąd. Jeśli nie wyszły jej poprzednie zlecenia, jak można było oczekiwać, że uda jej się z człowiekiem całkowicie odpornym na ludzkie ciepło - nie mówiąc już o niebiańskim?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nick nalał sobie kolejnego drinka i pogрузił się w niewesołych rozmyślaniach. Po chwili przypomniał sobie, że przecież nie jest sam, że jest przy nim Beth i że wciąż go obserwuje. Dziwne, pomyślał, ta młoda kobieta działała na niego wybitnie uspokajająco, przynajmniej teraz, kiedy zostali sami.

- Widzi pani, ja naprawdę nie chciałem, żeby Sa-mantha zatrudniała opiekunkę do dzieci - podjął przerwana opowieść. - Wcześniej, po urodzeniu chłopców, nie czuła takiej potrzeby. Moja żona uznała jednak, że po narodzinach trzeciego dziecka nie zdoła sobie poradzić.

- Po narodzinach Lucy? - wtrąciła Beth.

- Tak - przytaknął, a jego oblicze ponownie się zachmurzyło. - Po narodzinach upragnionej córki chłopcy mieli zostać oddani pod opiekę jakiejś nieznajomej. Przynajmniej ja tak to widziałem. Przez ostatnie pięć lat miałem mnóstwo czasu, żeby **wszystko** na nowo przemyśleć. A jeszcze więcej rozmyślałem nad tym przez ostatnie dwadzieścia cztery **godziny...** - przerwał i skrzywił się. - Skoro tak trud-

no mi poradzić sobie z jedenastolatkiem, ośmiolatkiem i pięciolatką, jak mogłem oczekiwać, że Samantha da sobie radę z niemowlęciem i dwoma chłopcami w wieku sześciu i trzech lat? Cóż, Samantha wiedziała, co robi. Po narodzinach Lucy bardzo źle się czuła. Poza tym powiedziano jej, że prawdopodobnie nie będzie mogła mieć więcej dzieci.

Znów przerwał, gdyż nagle zdał sobie sprawę, że opowiada Bethany historię swojego życia, właśnie jej, nieznaną, która pojawiła się w tym domu za ledwie parę chwil wcześniej. On, który zazwyczaj nawet się nie przedstawiał, a jeśli już to robił, to wyłącznie po to, by wzbudzić respekt w tym czy innym rozmówcy, który z reguły bladł, słysząc nazwisko Rafferty - nazwisko, które symbolizowało pieniądze i władzę, do której Nick dochodził przez te wszystkie lata. I oto teraz rozmawiał z jakąś nieznaną kobietą o sprawach, o których wcześniej starał się nawet nie myśleć. Chyba postradał zmysły!

- Robert twierdzi, że Samanthcie nie zagraża już niebezpieczeństwo, ale lekarze wciąż obawiają się o dziecko. - Wyprostował się i popatrzył na Bem.
- Na pewno wszystko będzie dobrze - zapewniła go z uśmiechem.
- Oby. A teraz chciałbym wreszcie się dowiedzieć, kim pani jest i skąd się pani tu wzięła - Nick zmienił ton. - No i skąd wie pani aż tyle o mojej rodzinie!

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Znów się uśmiechnęła, tym razem tajemniczo. Och, nieważne, że przed chwilą naopowiadał jej o swoim prywatnym życiu. Teraz weźmie się w garść i wyjaśni wreszcie wszystko do końca. Przede wszystkim - skąd ten aniołek wie o wypadku i ciąży Samantha? Dlaczego jest taki pewien, że nic jej nie zagraża? I niech no mu tylko nie próbuje powtarzać tej swojej „anielskiej” historii, bo... Spojrzał na nią i aż wzdrygnął się, napotkawszy przedziwne spojrzenie jej zielonych oczu. Musiał przyznać, że dziewczyna w istocie wygląda niczym anioł, gdy tak siedzi, przycupnięta na brzegu fotela z rękami splecionymi na kolanach.

- Tylko proszę nie opowiadać mi bzdur o aniołach! - parsknął niecierpliwie. - To może robić wrażenie na dzieciach, aleja już nie wierzę ani w Świętego Mikołaja, ani w iSobre wróżki, ani też w anioły!

- Szkoda - westchnęła. Wydawała się równie przejęta, jak wtedy, gdy wspomniał jej o śmierci psa. - Czy wie pan, że za każdym razem, kiedy ktoś przyznaje się do takiej niewiary, jeden anioł spada na ziemię?

Ja wiem! - wrzasnął Josh, który wpadł nagle wraz z rodzeństwem do pokoju.

Postanowił zapewne zaprowadzić brata i siostrę do holu po wierzchnie okrycia, by czym prędzej wyjść na spacer. - Widziałem raz film, w którym...

- Poczekaj, kolego - przerwał mu Nick. - To chyba nie było pytanie do ciebie.

- Przepraszam - odparł chłopiec i wzruszył ramionami. - To co? - zwrócił się do Beth. - Wychodzimy czy nie? Nie mam tu moich sanek, ale moglibyśmy...

- Josh! - Nick ponownie skarcił syna. - Żadne z was nie wyjdzie, z sankami czy bez, zanim nie skończę rozmawiać z panną Beth, jasne? A im szybciej opuścicie ten pokój, tym szybciej się z tym uporamy, no i oczywiście tym szybciej będziecie mogli wyjść. I ani słowa więcej, rozumiano? - dodał, widząc, że Josh szykuje się do odpowiedzi.

Surowy ton poskutkował. Trójka dzieci wycofała się z rozczarowaniem do sypialni. Nick zmarszczył brwi - wiedział, że nie cieszy się specjalną sympatią swoich pociech. Tak było od samego początku.

Kiedy zostali sami, znowu odwrócił się do Beth.

- Pierwsze, co musimy sobie wyjaśnić, to czy rzeczywiście pani zostanie, aby zająć się dziećmi - stwierdził. - Aha, i proszę pamiętać, że nie życzę sobie, aby wspominała pani o aniołach. Z tego co widzę, umysły Jamie'ego i Josha zaśmiecone są różnymi telewizyjnymi bzdurami, nie chcę więc, żeby dorosła osoba dodatkowo mąciła im w głowach,

Z niesmakiem potrząsnął głową. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego zniecierpliwienie jest spowodowane nagłym poczuciem winy, które ogarnęło go

GWIAZDKA MIŁOŚCI

teraz, gdy uzmysłowił sobie, jak niewielką rolę odgrywa w życiu chłopców, w końcu własnych synów. Ba, czy w ogóle znaczy dla nich cokolwiek poza tym, że zrzędzi i wszystkiego zabrania?

- A zatem proszę już więcej nie wspominać o aniołach, dobrze? - powtórzył, lecz wówczas Beth podała mu wizytówkę, która znienacka pojawiła się w jej dłoni. - Co... co to znowu?

Wyjął bilecik z ręki dziewczyny i popatrzył na niego z wahaniem. Widniały na nim tylko dwa słowa, zapisane ozdobną czcionką - NIEBIAŃSKIE ANIOŁY - oraz umieszczony poniżej numer telefonu.

- Pan Fairfax poprosił nas o pomoc, parne Rafferty - pośpieszyła Beth z wyjaśnieniem. - Bardzo martwił się o żonę i dzieci. Najwyraźniej także o pana, skoro zgłosił się do nas z prośbą o pomoc.

- Ach, więc jesteście agencją - domyślił się szybko i mocniej ścisnął w dłoni kartonik. - Agencja tu panią przysłała - dodał z ulgą w głosie. - Robert zadzwonił do agencji, żeby pomogła zorganizować opiekę nad dziećmi....

Uff, a więc nie stracił zdrowych zmysłów. Od początku wiedział, że musi istnieć jakieś wyjaśnienie tej idiotycznej sytuacji. Anioły - też coś!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bethany obserwowała w skupieniu, jak na twarzy Nicka Rafferty'ego pojawiają się rozmaite emocje - najpierw niedowierzenie, potem zdumienie, wreszcie ulga. Na koniec ujrzała szyderstwo.

Nie mogła go winić za to, że był niedowiarkiem. Nie on jeden. Poza tym nie przysłano jej przecież tutaj, aby przywróciła mu wiarę w Świętego Mikołaja, ani też po to, by go przekonać, że anioły jednak istnieją. Sama zresztą do końca nie wiedziała, dlaczego się tu znalazła, choć rozumiała już doskonale, że ma to z pewnością związek z tym wysokim, cynicznym mężczyzną, który stał właśnie naprzeciwko niej.

- Jeśli pan chce, proszę zadzwonić pod numer na wizytówce - zaproponowała. - Pani Niebieska chętnie potwierdzi, że mnie przysłała - dodała, po czym spojrzała na niego w oczekiwaniu na reakcję. To było standardowe postępowanie, które zadowalało większość ludzi.

Tyle że Nick Rafferty nie należał do tej większości, z którą miała dotychczas do czynienia. Mimo

to wydawał się teraz tak rozkojarzony, że nie zareagował w żaden kłopotliwy sposób. Sprawiał raczej wrażenie, jak gdyby marzył jedynie o tym, żeby w jego życiu znów pojawił się spokój i porządek. Opieka nad dziećmi z pewnością mogła mu to zapewnić.

- Pani Niebieska... - powtórzył. - To od niej nazwa agencji, te Niebieskie Anioły?

- Niebiańskie - poprawiła go łagodnie. Niezupełnie tak było, ale...

- No dobrze. - Nick zmarszczył ciemne brwi i ponownie popatrzył na wizytówkę. - Wiemy zatem, że wynajął panią Robert Fairfax. Pewnie zadzwonił jeszcze ze szpitala.

- Powiedzmy, że się do nas zgłosił - odparła ostrożnie Bethany.

Nie chciała mówić kłamstw, wołała raczej naginać nieco prawdę. W istocie nie było bowiem telefonu od Roberta Fairfaxesa, raczej nieme wołanie o pomoc.

Właśnie takimi prośbami zajmowała się Bethany - dotąd z niewielkim sukcesem, ale być może tym razem będzie inaczej.

- Gzy chce pan zadzwonić i sprawdzić moje referencje, panie Rafferty?

- Och, nie muszę tego robić w tej chwili - uśmiechnął się nieoczekiwanie. - I nie zwracaj się więcej do mnie w ten sposób, Beth - rozluźnił się, wyraźnie zadowolony, że wreszcie wolno mu przyjąć

tę nieoczekiwaną pomoc. - Możesz mówić po prostu Nick.

Bethany skinęła głową.

- Jeśli jednak chce pan zadzwonić, proszę się nie krępować. Przypilnuję dzieci - oznajmiła, po czym podeszła do drzwi.

Dopiero teraz zauważyła, że maluchy podejrzanie ucichły, odkąd udały się do sypialni. Uśmiechnęła się domyślnie - zapewne podsłuchują rozmowę z korytarza. Nie było to grzeczne zachowanie, ale Beth była w stanie je zrozumieć - Josh, Jamie i Lucy chcieli się przekonać, czy ich anioł zostanie, czy też wróci tam, skąd przybył. Gdyby rzeczywiście tak miało się stać - choć Beth miała nadzieję, że do tego nie dojdzie - na jej miejsce wkrótce przysłano by kogoś innego. Ta rodzina zdecydowanie potrzebowała pomocy.

Mimo wszystko Beth liczyła na to, że zostanie - polubiła już trojkę dzieci, a poza tym czuła dziwną więź z Nickiem Raffertym. Może dlatego, że pod maską cynizmu wyczuwała ból, którym ten uparty mężczyzna nie chciał się dzielić z innymi ludźmi? Może chciała mu pomóc, by potrafił okazać miłość swoim dzieciom? A może po prostu jej się podobał...

Gdy trafiła w końcu do dziecięcej sypialni, wszystkie maluchy miały niewinne buźki i starały się wyglądać na bardzo zajęte. Bethany znów roześmiała

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się do swoich myśli. Tych troje nie było aniołkami, choć miało w sobie prawdziwie anielską niewinność! I tak właśnie powinno być.

- Gotowi? - zapytała radośnie.

- Gotowi!

- Poczekaj... - Jamie, najstarszy i mniej spontaniczny niż rodzeństwo, przytrzymał Beth za rękaw i popatrzył na nią pytająco. - Załatwione? Zostajesz?

Bethany miała ochotę go uściskać. Z wyglądu bardzo przypominał ojca. Pomyślała, że jako najstarsze dziecko musiał najbardziej cierpieć z powodu rozvodu rodziców.

- Wasz tata ustala szczegóły z moją szefową - odpowiedziała wymijająco. - Poczekamy i zobaczymy, dobrze?

- Ale i tak pójdziemy na spacer? - spytała Lucy.

- I pobawimy się na dworze? - zmarszczył brwi Josh.

- Tak sędzę. - Bethany zmierzwiła mu żartobliwie wtosy. Była pewna, że podczas rozmowy telefonicznej Nick Rafferty dowie się wszystkiego, co go nurtowało - i pozwoli jej zostać. Pani Niebieska potwierdzi, że Bethany doskonale nadaje się do zadań, jakie jej wyznaczono. Zawsze to robiła.

Pomogła dzieciom się ubrać, a potem sama założyła kurtkę. Trzy niewinne buzie w kolorowych czapkach patrzyły z napięciem na drzwi, zza których

miał wyjść do nich ojciec. Beth z minuty na minutę czuła się coraz pewniej - była tu naprawdę potrzebna.

- Wygląda na to, że Robert rzeczywiście prosił

o pomoc - oznajmił wreszcie wesoło Nick, wkraczając żwawym krokiem do holu. Miał minę człowieka, któremu spadł z serca wielki ciężar. - To co, jednak spacer? - zwrócił się do Beth. - Powiedzcie tylko, dokąd się wybieracie.

- Do jednego z parków - odparła, odgarniając włosy i zakładając czapkę.

Nick przyjrzał się jej z aprobatą. Teraz, kiedy zdjęto mu z ramion ciężar opieki nad dziećmi, powróciły jego męskie instynkty - w każdym razie wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył o tym, że widzi w Beth nie tylko nianię, ale też zdecydowanie atrakcyjną kobietę.

Niestety, nie o to chodziło i nie taki był jej cel. To nie Beth miał się interesować, lecz dziećmi. No

i sobą, swoją duszą, zagłuszoną przez miraż bogactwa i sławy. Przybyła tu, by zaopiekować się trójką jego pociech, a jemu samemu uzmysłwić, jak ważne mogą być dzieci w jego życiu. Tylko tyle i nic więcej. Zrobi to, a po pomyślnym zakończeniu zadania, natychmiast zniknie.

Dlaczego więc na tę myśl poczuła nagły smutek?

- Wrócimy autobusem, jeśli zechcesz nas podrzucić - powiedziała tonem ostrzejszym niż zazwy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

czaj i natychmiast skarciła się w duchu z tego powodu. Przybyła tu, żeby pomóc, owszem, ale nie mogła się wikłać w żadne uczuciowe konflikty. To tylko pogorszyłoby sytuację.

Wyraz aprobaty zniknął nagle z twarzy Nicka. Zastąpił go nieprzyjemny grymas.

- Jak to? Nie umiesz prowadzić? - spytał z niedowierzaniem.

Bethany nie była pewna - nigdy nie próbowała. Z pewnością jednak nie posiadała prawa jazdy. Skąd miała je mieć, skoro tak naprawdę nie istniała?

- Chodź z nami, tatusiu Nicku! Pobawimy się na śniegu! - Lucy pociągnęła ojca za ramię.

Bethany omal nie wybuchnęła śmiechem, widząc zdumienie malujące się na jego obliczu. Zdaje się, że zabawy na śniegu nie były ulubioną rozrywką pana Rafferty'ego. Kto wie, może nigdy nie lepił bałwana i nie rzucał śnieżkami.

- Ja... muszę... - zaczął, lecz zaraz przerwał, słysząc natarczywy dzwonek telefonu. - Muszę odebrać ten telefon - dokończył szybko z wyraźną ulgą.

Uwolnił się od uścisku córki i podszedł szybko do aparatu.

- Lisa! - krzyknął niemal natychmiast. - Tak, właśnie... Nie, ale... Poczekaj.

Proszę cię, zamilknij na chwilę i może najpierw mnie posłuchaj, dobrze? - W jego początkowo łagodnym tonie pojawiła się nuta gniewu. - Przecież prosiłem, żebyś pozwoliła

mi powiedzieć. Poczekaj chwilę... - Położył słuchawkę obok aparatu i wyciągnął z kieszeni plik banknotów. - Weź taksówkę i jedźcie, dokąd chcecie - polecił chłodno Bethany, wręczając jej kilka dwudziestofuntówek. - Weź też klucz, żebyście mogli wejść, jeśli mnie nie będzie. Bawcie się dobrze - dodał z roztargnieniem, po czym powrócił do przerwanej rozmowy, nie poświęcając im więcej uwagi.

Bethany nie poruszyła się. Stała i patrzyła na niego bez słowa, lecz Nick dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę z jej obecności. Zirytowany, przełożył słuchawkę do drugiej ręki.

- Tak? - zapytał chłodno. Bethany uniosła kasztanowe brwi.

- Pożegnajcie się z ojcem, dzieci.

Maluchy zaczęły całować zdumionego tatusia w policzki, ona zaś wepchnęła do kieszeni pieniądze i klucze. Zauważyła, że Nick wyglądał na bardzo zakłopotanego, gdy Lucy uściskała go i zarzuciła mu ręce na szyję. Chyba nie przywykł do tego rodzaju zachowań.

- Dziękujemy, że podarowałeś nam anioła, tatusiu Nicku! - uśmiechnęła się mała do ojca.

Nick wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo - odparł krótko i cofnął się o krok.

Na szczęście dziewczynka wydawała się nie zra-

37

GWIAZDKA MIŁOŚCI

żona jego chłodną reakcją. Co innego Bethany - ją martwiło jego zachowanie.

Lecz dopiero po wyjściu zorientowała się, że nie chodzi jej tylko o powściągliwość Nicka, lecz o to...

No właśnie - kim była Lisa?

A zresztą - dlaczego właściwie ją to obchodzi?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Co za dzień, jęknął w duchu Nick, zbliżając się do mieszkania.

Dzieci, anioł, Lisa...

Boże drogi, Lisa! Dopiero godzinę temu miał okazję się przekonać, jaki ta kobieta ma temperament!

Rozmowa przez telefon niewiele wyjaśniła, więc po wyjściu dzieci zgodził się spotkać z Lisą na wcześniejszej kolacji. Nie zdążyli jednak nic zjeść - zakończyli posiłek na etapie aperitifów. Lisa nie uwierzyła w wypadek Samantha oraz w to, w jaki sposób dzieci trafiły do Nicka. Przede wszystkim zaś w ogóle nie chciała słuchać o „tym aniele miłosierdzia”, jak pogardliwie nazwała Beth. Może niepotrzebnie uśmiechnął się, słysząc to określenie, ale zupełnie nie mógł się opanować.

I właśnie wtedy Lisa doszła do wniosku, że jej koktajl lepiej będzie wyglądał na ubraniu Nicka niż w kieliszku. Nick stracił cierpliwość. Nie chciał ani chwili dłużej wysłuchiwać jej idiotycznych oskarżeń ani też uczestniczyć w snuciu nieprawdopodobnych scenariuszy, jak to zaczyna interesować się najętą go-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

sposią, a potem postanawia wyjechać z nią na narty, a potem...

Przede wszystkim Beth nie była gosposią.

Nie wytrzymał, wstał od stolika i po prostu wyszedł. Wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy piękną Lisę, lecz jakoś nie płakał z tego powodu. Dziwił się nawet, że aż do dzisiejszego dnia uważał ją za znakomita partnerkę, zarówno w łóżku, jak i poza nim, w życiu. Ba, zaczynał nawet myśleć o małżeństwie. Lisa prowadziła podobny tryb życia, była piękna, świetnie gotowała, lubiła seks - czego jeszcze można oczekiwać od idealnej żony?

Miłości.

Pokręcił z niezadowoleniem głową. Ech, miłość. Skąd, u diabła, pojawiła się ta myśl? Skrzywił się i włożył klucz do zamka. Usiłował przygotować się na widok bałaganu panującego w jego tak dotąd spokojnym i zawsze posprzątanym mieszkaniu, lecz zamiast niego...

Cisza.

Spokój.

Żadnych walczących ze sobą dzieci, żadnych odgłosów telewizora.

Tylko ciche dziecięce szepty, gdy pojawił się w pokoju gościnnym.

- Cześć, tato - powitał go Jamie, podnosząc głowę znad planszy do gry w scrabble'a. - Beth kładzie Lucy do łóżka - dodał. - No, teraz twoja kolej, Josh.

40

- Cześć, tato - przywitał Nicka młodszy syn, po czym skupił uwagę na leżących na stoliku literach.

Nick podszedł do nich i popatrzył na dwie pochylone główki, po czym usiadł powoli w pobliskim fotelu. Przez kilka minut wpatrywał się w chłopców bez słowa. Ciemnowłosi i szarococy, stanowili jakby miniaturowe wersje jego samego. Tylko Lucy...

- Przed wyjściem dzwoniłem do szpitala - poinformował synów, sam zdziwiony „dorosłym” tonem, jakim się do nich zwrócił. - Mama czuje się lepiej.

Nie udało mu się wprawdzie porozmawiać z Robertem, ale pielęgniarka zapewniła go, że pani Fairfax „w jakiś cudowny sposób dochodzi do siebie”, i że jeśli nie nastąpią żadne niespodziewane komplikacje, jutro być może będzie nawet w stanie spotkać się z dziećmi. Nick nie chciał im jeszcze tego mówić, uznał, że rozsądniej będzie poczekać. Jeśli chodzi o ciążę, to pielęgniarka nie wspomniała o niej ani słowem, a Nick wolał nie pytać. Był pewien, że Robert będzie chciał porozmawiać z nim o tym osobiście.

- Wiemy - odparł Jamie. - Jak wróciliśmy, to Beth od razu zadzwoniła do szpitala. Podobno jutro będziemy mogli odwiedzić mamę.

- Miejmy nadzieję - westchnął Nick. - A jak tam Beth? Dobrze się bawiliście?

- Fantastycznie! - Buzia Josha aż pojaśniała. -

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Nauczyła nas robić śnieżne anioły. Umiesz je robić, tato? To bardzo proste. Kładziesz się po prostu na śniegu i....

- Josh! - przerwał bratu Jamie. - Zapomniałeś, że Beth kazała nam siedzieć cicho i nie męczyć taty bez powodu?

- Przepraszam, tato - stropił się Josh.

Nick wstał i pokręcił głową z zakłopotaniem. Oczywiście, znowu anioły - tym razem ze śniegu.

- Pójdę się przebrać. - Potargał włosy Josha i natychmiast zeszywniał, gdy poczuł, że są mokre. - Nie wysuszyłeś ich po powrocie z parku? - zapytał. - Jeśli rozchorujesz mi się teraz na grype...

- To nie po parku - odparł Josh. - Kiedy przyszliśmy, Beth nas wykapała.

- Zanim dostaliśmy jedzenie - dodał z zadowoleniem Jamie.

- A twoja porcja jest w piekarniku - uzupełnił Josh.

No proszę. Beth nauczyła ich robić śnieżne anioły. Beth ich wykapała. Beth przygotowała im posiłek. Beth kładła właśnie Lucy do łóżka. Jak widać, Beth zdolała również osiągnąć to, co wydawało się dotąd niemożliwe: sprawiła, że Jamie i Josh przestali wreszcie tłuc się między sobą. Potem Beth przygotowała posiłek dla niego.

Cóż jeszcze zrobiła owa wspianiała Beth podczas jego nieobecności?

I dlaczego tak wściekała go jej doskonałość? Zapewne dlatego, że tak wyraźnie kontrastowała z jego wczorajszymi wysiłkami, uznał, gdy szedł do sypialni, aby zdjąć garnitur i niewygodną koszulę.

Po drodze musiał przejść obok pokoju Lucy. Nie mógł się oprzeć, by nie zajrzeć do środka. Mała leżała w jednym z dwóch pojedynczych łóżeczek i z uwagą przysłuchiwała się historii opowiadanej przez Beth. Dziewczyna nie czytała żadnej książki, lecz mówiła z głowy. Opowiadała bajkę o aniele, który mieszkał kiedyś na wierzchołku choinki...

Rany boskie! Znowu o aniele!

- Tatuś Nick! - Wykrzyknęła z uwielbieniem Lucy, gdy spostrzegła go w drzwiach, a potem wyciągnęła przed siebie ramiona.

Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego mimo jego oschłości Lucy okazywała mu takie przywiązanie. Nie mieszkał już z Samanthą, gdy dziewczynka przyszła na świat, a w ciągu ostatnich pięciu lat miał z tym dzieckiem niewielki kontakt. A jednak Lucy bez skrepowania okazywała mu uczucie za każdym razem, kiedy go widziała.

Beth wstała i Nick pomyślał ponownie, że ta młoda kobieta odznacza się niezwykłą pięknnością. Była drobna, lecz wyjątkowo proporcjonalnie zbudowana, zaś jej wspaniałe włosy spływały na ramiona tak bujną falą, że Nick miał ochotę zanurzyć w nich palce.

- Czyżbym zawłaszczyła sobie twoje miejsce? -

GWIAZDKA MIŁOŚCI

zapytała. - Nie wiedziałam, o której wrócisz, więc pomyślałam, że położę Lucy do łóżka i opowiem jej bajkę. Gdybyś jednak wolał...

- Nie, nie, nie krepuj się - zapewnił ją szybko Nick, przywołując się w duchu do porządku. Odruchowo cofnął się o krok. Nigdy w życiu nie opowiedział Lucy żadnej bajki i z pewnością nie zamierzał robić tego teraz. - Szedłem się przebrać - dodał pośpiesznie, zanim Lucy zdołała dołączyć swoje prośby.

- Twoja kolacja...

- Tak, wiem, jest w piekarniku - dokończył za nią i uśmiechnął się z wdzięcznością. - Chłopcy już mi powiedzieli.

Beth odwzajemniła jego uśmiech

- Mam nadzieję, że lubisz jagnięcinę.

Hm, to było jego ulubione danie. Wiedział jednak, że wcześniej w lodówce nie było ani odrobiny jagnięcego mięsa. Jakże więc Beth zdołała je kupić w natłoku wszystkich tych spraw, którymi zajmowała się przez całe popołudnie?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, ostatecznie postanowił jednak zrezygnować z rozwiązywania zagadek dotyczących tej młodej osoby. Musiał pogodzić się z tym, że Beth jest chodzącą doskonałością.

Nie mógł przecież przyjąć żadnego innego wyjaśnienia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bethany krzątała się po kuchni, warzywa dusiły się w garnku, pieczeń była gotowa do podania, a stół nakryty do kolacji. Musiała jeszcze tylko poprosić Nicka Rafferty'ego, żeby przyszedł coś zjeść.

Spędziła dziś dwie wspaniałe godziny na zabawie z dziećmi. Kiedy wrócili do domu, twarze maluchów lśniły szczęściem. Jeszcze bardziej rozradowały je dobre nowiny dotyczące leżącej w szpitalu matki. To był naprawdę udany dzień. Miała nadzieję, że w przyszłości każdy będzie co najmniej taki.

- Chłopcy już chyba kładą się spać - oznajmił zdumiony Nick, wchodząc do kuchni. - Sami.

Uśmiechnęła się na jego widok. Kiedy wrócił do domu, od razu wyczuła jego obecność, jeszcze zanim wszedł do pokoju Lucy. A jednak nie była przygotowana na to, że wyda jej się wówczas taki przystojny.

I oto znów powróciło to uczucie, dziwne uczucie. Dotychczas widziała go jedynie w garniturze, lecz teraz, w czarnych sportowych spodniach i błękitnej koszuli, tak błękitnej, jak jego oczy, wyglądał wy-

jątkowo przystojnie, wyjątkowo ujmująco i niesłuchanie męsko. Bethany wiedziała, że nie powinna myśleć o nim w ten sposób, a jednak trudno jej było się pozbyć podobnych myśli.

- Muszą się wcześniej położyć. - Skinęła głową i znowu skoncentrowała się na jedzeniu. - Zdaje się, że wczoraj poszli późno spać. Poza tym dzisiejsze popołudnie było pełne wrażeń, a jutro szykuje się bardzo napięty dzień i...

- Daj spokój - przerwał jej łagodnie. - Przecież to nie była krytyka, Beth. Powinienem ci raczej pogratulować, że zdołałaś wysłać ich do łóżka bez kłótni. A właściwie co ma być jutro? - zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie ostatnie jej słowa.

- Trzeba przywieźć prezenty, kupić choinkę i jedzenie, przygotować świąteczne dania...

- Spokojnie. - Nick uniósł dłoń. - Robert powiedział, że muszę zabrać tylko prezenty z ich domu, a co do reszty... Cóż, zazwyczaj nie zawracam sobie głowy choinką czy świąteczną kolacją.

- Tak, dzieci wspominały, że zazwyczaj wyjeżdżasz na całe święta i że nigdy... Zawsze uważałem, że dzieci powinny spędzać Gwiazdkę w świątecznej, rodzinnej atmosferze - przerwał jej Nick. - Nie mogą być rozdarte pomiędzy dawnym ojcem a nowym.

- Teraz ty mnie źle zrozumiałeś, Nick. - Beth pokręciła głową - Nie zamierzałam cię krytykować.

Chciała powiedzieć więcej, zamilkła jednak, uświadomiwszy sobie, że po raz pierwszy zwróciła się do mego po imieniu. Czy nie zabrzmiało to zbyt poufale? Może mimo wszystko powinna pozostać przy formie „pan”? Ale przecież nie myślała o nim w ten sposób.

Och, w ogóle nie chciała się zastanawiać nad tym, jak o nim myśli.

- Chciałam tylko powiedzieć, że w tym roku jest inaczej. Dzieci są z panem. I mają nadzieję na choinkę, drzewko i wszystko, co wiąże się ze świąteczną tradycją.

- Naprawdę? - Wyglądał na szczerze zakłopotanego.

- A czy pan...?

- Nick.

- Słucham? Ach... - uśmiechnęła się z zakłopotaniem - oczywiście. A czy ty nie czekałeś w dzieciństwie z utęsknieniem na choinkę, Nick? - zapytała.

- Czekałem - westchnął ciężko. - No dobrze, masz rację. Mówiłaś, że prócz choinki powinniśmy mieć jakieś świąteczne jedzenie?

- Typowo bożonarodzeniową ucztę - uściśliła, choć miała niejasne wrażenie, że ten mężczyzna od dawna już nie pamiętał o tradycyjnych świątecznych potrawach. Być może to także było jej zadanie - pomóc mu zrozumieć, że Boże Narodzenie to nie zjeżdżanie z gór w jakimś modnym kurorcie, lecz

GWIAZDKA MIŁOŚCI

czas, który spędza się w domu, z rodziną, z ludźmi, których się kocha i którzy są najbliżsi. W tym wypadku z własnymi dziećmi. Z całą trójką.

- Zdołasz przygotować wszystko w tak krótkim czasie? - zapytał z przejęciem.

- Może lepiej zamówimy gotowe jedzenie?

- E, tam. Sami kupimy wszystkie produkty -uspokoila go Beth. Musiał przecież pamiętać, że kiedyś, w przeszłości, jego żona zajmowała się podobnymi sprawami.

- A te wszystkie choinkowe ozdoby? Nie mam nawet lampek.

- Dzieci na pewno będą miały mnóstwo radości przy wybieraniu bombek, łańcuchów i lampek - zapewniła go pośpiesznie, zanim zdołał stwierdzić, że przecież mogą je zamówić z dostawą do domu. Owszem, na pewno było go na to stać, ona jednak wołała, żeby tego nie robił. - No i będą świetnie się bawiły, ubierając choinkę - dodała jeszcze i omal nie wybuchnęła śmiechem, widząc jego skonsternowaną miię. Pewnie minęły wieki, odkąd Nick zajmował się strojeniem świątecznego drzewka.

— Skoro tak twierdzisz... - przyznał w końcu z wyraźną rezerwą. - W końcu powinniśmy mieć na względzie dobro dzieci. - Właśnie - zgodziła się radośnie. - A teraz usiądź, proszę. - Wskazała mały stolik w rogu **kuchni**. - Nasza kolacja jest gotowa.

173

Nick ruszył do stołu, lecz nagle zawahał się i spojrzał na nią podejrzliwie.

- Myślałem, że zjadłaś wcześniej, z dziećmi.

- Może paluszki rybne to ich ulubiona potrawa, ale z pewnością nie moja - uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Napięcie w rysach mężczyzny zelżało, a na jego twarzy również pojawił się uśmiech. Uśmiechnięty Nick wyglądał zupełnie inaczej. Jego oblicze ożywiało się, w kąciakach oczu i ust pojawiały się drobne zmarszczki.

- Moja też nie - roześmiał się cicho i usiadł wreszcie na krześle. - Może ci jakoś pomóc?

- Nie, ja... - nie dokończyła, bowiem w tej samej chwili Jamie i Josh wpadli do kuchni, umyć już i przebrani w piżamy. - Gotowi do snu? - spytała.

- Tak - skinął głową Jamie. - Po drodze zajrzałem do Lucy. Śpi.

- To dobrze. - Bethany uśmiechnęła się z zadowoleniem i spojrzała na Nicka. - Odprowadzisz chłopców do sypialni czy ja mam to zrobić?

- Odprowadzę ich. - Wstał gwałtownie od stołu. - Ty przez ten czas zajmij się jedzeniem.

Bethany skinęła głową, a potem patrzyła, jak Nick wychodzi z kuchni z synami

- mniejszymi kopiami siebie samego. Jego stosunek do własnych dzieci był nieporadny, Nick nie zawsze wiedział, jak

GWIAZDKA MIŁOŚCI

powinien się zachować, lecz mimo to niewątpliwie łączyła go z nimi silna więź. Nie dziwnego, pomyślała. Przecież spędzili razem kilka lat, zanim rozstali się ostatecznie. To raczej relacja Nicka z Lucy była bardziej zastanawiająca. Dziewczynki nie było jeszcze na świecie, gdy jej rodzice się rozwiedli, a jednak nie odczuwała ona w obecności nie znanego wcześniej ojca żadnego wstydu, lęku czy napięcia. Dlaczego?

Cóż, była to tylko jedna z wielu tajemnic tej rodziny. Bethany miała nadzieję, że pozostanie tu wystarczająco długo, aby znaleźć odpowiedź choć na niektóre z pytań, które sobie stawiała.

- Mmm... dobre! - stwierdził Nick po paru kęsach.

- Cieszę się, że ci smakuje - uśmiechnęła się w odpowiedzi. Nick wrócił do kuchni po dobrym kwadransie, w trakcie którego układał synów do snu, i teraz siedzieli za stołem tylko we dwójkę.

- Boże, jak spokojnie! - Oparł się wygodnie na krzesło - Nareszcie człowiek może trochę odpocząć. Napijesz się ze mną wina? Odrobinę.

Chętnie - zgodziła się Bethany. Patrzyła, jak Nick otwiera butelkę, a potem nalewa alkohol do kieliszków,

- Twoje zdrowie! - Wzniósł kielich nad stół i uśmiechnął się szeroko.

- I twoje - odparła. - Wspaniałe wino. - Poki-

wała głową z uznaniem i przyjrzała się pod światło głębokiej czerwieni trunku. Wzięła zaledwie kilka drobnych łyčzków, czuła juź jednak, jak krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach.

- Cieszę się, że ci smakuje. To po prostu właściwy dodatek do znakomitego posiłku, który dla nas przygotowałaś.

Roześmiała się radośnie, zadowolona z komplementu. Czuła, jak zaczynają płonąć jej policzki.

- Daj spokój. Zachowujemy się jak towarzystwo wzajemnej adoracji - powiedziała.

- Może i tak. - Oparł łokcie na stole, a brodę na dłoniach. - Ale ja wiem, co mówię. Dziś miałem jeść kolację poza domem...

- Wiem.

- I omal nie straciłem tego znakomitego... Zaraz, jak to wiesz? - ożywił się i popatrzył na nią przenikliwie.

- Nietrudno było zgadnąć. - Wzruszyła ramionami. - Domyśliłam się, że o tej porze z pewnością nie siedzisz w biurze.

- Dlaczego nie? Zdarzało mi się pracować do późna.

W to akurat nie wątpiła. Miała wręcz pewność, że praca wypełnia temu mężczyźnie większą część życia - odnosił spore sukcesy i z pewnością nie doszedłby do takiego majątku, gdyby na niego nie zapracował.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Ale przecież nie przed świętami.

- Nie? Kiedyś zdarzyło mi się pracować przez całe święta, noc wigilijną spędziłem w biurze! Ale... - machnął dłonią - to już inna historia. Poczekaj

- zmarszczył brwi - zapomniałem na śmierć, o Co pytałem. Wiem! Mówiliśmy o tym...

- Gdzie będę dziś spała - wtrąciła Bethany.

Wiedziała, że ten temat zajmie go na dłużej, i intuicja jej nie zawiodła. Nick był tak pochłonięty tą kwestią, że przestał dociekać, skąd Bethany wie o wszystkim, co dzieje się w jego życiu i w życiu jego bliskich.

Bo chyba lepiej, żeby nie dociekał, prawda?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Do tej pory Nick nie zastanawiał się nad tym, gdzie Bethany będzie spała. Czuł ogromną ulgę, że ktoś pomógł mu przy dzieciach/, i przez jakiś czas jedynie to wypełniało jego umysł. Oczywiście najprościej by było, gdyby Beth spała tu, na miejscu, w jego domu. Problem tylko w tym, gdzie dokładnie miałyby nocować - były tu przecież tylko trzy sypialnie. Jedną zajmowali chłopcy, drugą Lucy, trzecią on. W jego pokoju stało wprawdzie duże, podwójne łóże, ale...

- Może prześpię się na składanym łóżku w pokoju Lucy - Beth przerwała tok jego myśli.

To był z pewnością lepszy pomysł niż ten, który przyszedł mu właśnie do głowy! Osobiście nie miałby nic przeciwko temu, żeby ta piękna młoda kobieta spała w jego łóżku, lecz zdawał też sobie sprawę, iż wprowadziłoby to pewne komplikacje, których teraz zdecydowanie wolał uniknąć.

- Skoro ci to odpowiada.

- Owszem.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- A zatem postanowione. Cieszę się, że tu zostaniesz. Będziesz mogła zająć się dziećmi z samego rana. - Przypomniawszy sobie o dzisiejszym śniadaniu, które okazało się całkowitą katastrofą. Pewnie dlatego nie miał później ochoty myśleć o lunchu. - No i dzięki temu będziemy mogli z samego rana zacząć przygotowania do Gwiazdki - dodał, choć na samą myśl o zakupach, gotowaniu i choince przeszył go dreszcz niepokoju.

Na szczęście Beth nie miała podobnych obaw.

- Nie musisz mnie przekonywać. Chętnie zostanę, a jeszcze chętniej zajmę się przygotowaniami do świąt.

Nick skinął głową i ponownie napełnił kieliszki winem.

- A ja pojedę rano po prezenty dla dzieci.

- Świetnie! - ucieszyła się. - Dzieci muszą mieć prawdziwe święta, niezależnie od okoliczności.

Nick podzielał tę opinię, choć w duchu uważał, że gdyby nie Beth, znacznie trudniej byłoby mu myśleć o tym wszystkim.

— Zastanawiam się tylko nad tą jutrzejszą wizytą u Samantha - dodał poważnie. - Czy dzieci... czy powinniśmy...

- Tak? - odezwała się Beth, widząc, że Nick z trudem znajduje słowa.

- No cóż - westchnął - moje stosunki z Samantha nie układały się ostatnio najlepiej.

- Tego rodzaju tragedie sprawiają, że zapomina się o nieistotnych sprawach - uspokoiła go Beth i ze współczuciem dotknęła jego ręki.

- Mam nadzieję - zgodził się z wdzięcznością. - Boje się jednak, że mój widok obudzi w niej niemiłe wspomnienia. Wszyscy twierdzą, że Sam zdrowieje w zadziwiającym tempie, nie chciałbym więc niczego zepsuć.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że powie-, dział o byłej żonie „Sam”.

Jeszcze do niedawna starał się tak o niej nie myśleć. Po rozwodzie przeszedł na bardziej oficjalną formę - Samantha - i skrupulatnie jej używał.

Znów westchnął i popatrzył pytająco na Beth.

- Może ty zaprowadziłabyś dzieci na spotkanie z matką?

- Skoro tego chcesz - odparła po chwili, lecz nie mógł mieć wątpliwości, że niezbyt podoba jej się ten pomysł.

Nagle poczuł złość. Beth sprawiała wrażenie, jakby mu nie dowierzała, jakby sądziła, iż Nick nie chce widzieć Sam z innego powodu niż ten, który podał.

Wystarczyłoby jednak, żeby ujrzała go z Samanthą w tym samym pomieszczeniu, tyle że kilka lat wcześniej, jeszcze przed rozwodem, a z pewnością zdałaby sobie sprawę, że wzajemna niechęć tych dwojga była i jest jak najbardziej rzeczywista. W ciągu ostatnich pięciu lat nie wymienili między

GWIAZDKA MIŁOŚCI

sobą nawet dziesięciu uprzejmych słów - czy to nie jest znaczące?

Podniósł wzrok, czując na sobie spokojne spojrzenie Beth. Cholera! Naprawdę nie uważała, żeby jego pomysł jest dobry! Dlaczego?

Wstał raptownie i wziął kieliszek do ręki, jak gdyby zbierał się do odejścia.

- Uwierz mi, Beth, jestem ostatnią osobą, którą Sam miałaby ochotę zobaczyć.

Może tego nie rozumiesz, ale my... A poza tym ona spodziewa się dziecka i za wszelką cenę nie chce go stracić - dokończył szybko. - Po co przysparzać jej stresów?

Po tych słowach zapadła cisza.

- Nick? - odezwała się wreszcie Beth, a jej cichy szept sprawił, że Nick zatrzymał się w drodze do kuchni.

- Tak? - Odwrócił się i popatrzył na nią surowo.

- Chcesz ze mną o tym porozmawiać, o nieporozumieniach między tobą a panią Fairfax? - zapytała łagodnie.

- Cóż, jeśli masz parę godzin wolnego czasu. -Z goryczą wykrzywił usta.

- Mam.

Nie to chciał usłyszeć. Niechęć między nim a Samanthą trwała od tak dawna, że można było ją tylko powiększyć. Po co rozdrapywać stare rany?

Czy jednak nie chciałby wreszcie tego zakończyć?

Przecież przejął się losem Sam. Do licha przecież mu na niej zależało, niezależnie od tego, co do niej obecnie czuł i jak bardzo jej kiedyś nienawidził! Może Beth przedstawi mu damski punkt widzenia, a wtedy...

Tak, może wtedy uda mu się pierwszemu wyciągnąć rękę na zgodę.

- Najpierw pomogę ci sprzątnąć - odezwał się po chwili. - Potem usiądziesz i będziesz pozwalała się zanudzać.

- Nie będę się nudzić - zapewniła go i wstała, żeby zabrać naczynia ze stołu.

Nick przyglądał się jej bez słowa. Rzeczywiście, odnosił wrażenie, że ta młoda kobieta o łagodnych zielonych oczach i spokojnym uśmiechu nie będzie się nudzić. Wiedział jednak również, że rozmowa nie będzie przyjemna i łatwa, przede wszystkim dla niego. Od pięciu lat omijał starannie temat, który, jak ze zdumieniem odkrył, wciąż sprawiał mu ból.

- Brandy? - zaproponował, kiedy znaleźli się w pokoju gościnnym.

W mieszkaniu panowała zupełna cisza. Beth zajrzała wcześniej do dzieci, aby upewnić się, że śpią, i teraz mieli całą noc tylko dla siebie. Nick wciąż był oszołomiony tym niezwykłym biegiem wydarzeń - nie mógł uwierzyć, że tak łatwo i tak szybko nawiązał kontakt z dziewczyną z agencji, że ten kontakt nie jest wcale powierzchowny, lecz coraz bar-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

dzień intymny; nie miał pojęcia, jak udało się jej sprawić, że totalny chaos przekształcił się w idealny początek - miał wszakże nadzieję, że nie skończy się to wszystko zbyt szybko.

Niełatwo mu było znaleźć właściwe słowa, by opisać sytuację sprzed pięciu lat oraz ból, który poczuł na wieść o tym, że Sam kocha Roberta, jego najlepszego przyjaciela. Co gorsza, Robert także ją kochał i oboje postanowili szybko, że chcą być razem. Kiedy jednak opowiadał o tym Beth, odnosił wrażenie, że ona już to wszystko wie, a być może nawet wie jeszcze więcej. Wobec tego postanowił powiedzieć jej o tym, co bolało go chyba najbardziej

- Lucy nie jest moją córką - wyrzucił z siebie i popatrzył na Beth wyczekująco.

Lecz zamiast szoku i współczucia, które spodziewał się ujrzeć w jej oczach, znalazł w nich jedynie tę samą co zawsze łagodność i spokój.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - warknął przez zaciśnięte zęby.

- Tak - odparła.

- Ico?

- Mylisz się, Nick. Oczywiście, że Lucy jest twoją córką.

- Skąd, u diabła, możesz to wiedzieć? - **przerwał** jej szorstko. - Nie, nie, tylko nie wciskaj mi tego anielskiego kitu - zastrzegł, widząc jej dobrotliwy uśmiech. -

Dzieci mogą się na to nabrać,

ale ja nie! Nie masz pojęcia, co wydarzyło się pięć lat temu, skąd więc możesz wiedzieć, czy Lucy jest moją córką! Nie było cię tu przecież!

- Nick...

- Lucy nie jest moją córką!

Beth westchnęła. Odczekała chwilę i dopiero potem zaczęła tłumaczyć:

- Zdaję sobie sprawę, że ma nieco inną karnację niż chłopcy, ale...

- Ma inną karnację, bo ma innego ojca! - przerwał jej Nick. - Samantha usiłowała mnie przekonać, że to nieprawda, ale naprawdę nie potrzeba wyjątkowej inteligencji, żeby domyślić się, że Lucy to dziecko Roberta! - Wlał resztkę brandy do gardła i z hukiem odstawił szklanekę na stolik, ta zaś rozprysła się od uderzenia na drobne kawałeczki.

Beth podniosła się, by posprzątać.

- Zostaw! - warknął. — Powiedziałem ci, zostaw! Może zamiast roztrzaskać dawne sprawy, wypróbujemy wreszcie tę teorię o aniołach - dodał łagodniej i przyciągnął ją do siebie. - Czy aniołom wolno całować zwykłych śmiertelników?

- Całowałam Lucy.

To stwierdzenie z pewnością nie mogło ostudzić jego podniecenia. Bez zbędnych ceregieli Nick pochylił się i mocno pocałował dziewczynę w usta.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Do tej chwili Bethany nie miała pojęcia, czy aniołom wolno całować zwykłych śmiertelników. Nie wiedziała, czy po pocałunku nie rozwieje się przypadkiem w kłębach dymu, by nigdy już nie ujrzeć Nicka Rafferty ego oraz jego dzieci. Nic takiego się jednak nie stało. Usta Nicka namiętnie wpijały się w jej wargi, wymuszając na niej reakcję, która była dla niej radosnym zaskoczeniem. Nie mogła zaprzeczyć, że oddawała mu ten pocałunek z pasją równie gwałtowną, jak jego własna. Co gorsza, podobało jej się to!

W końcu Nick podniósł głowę, by zaczerpnąć odrobinę powietrza.

- Boże Wszechmogący, Beth! - Jego oczy pociemniały od bólu, zaś włosy zmierzwiły się i rozsypały, zupełnie jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Tym razem jednak to ona zburzyła staranne uczesanie! - Dziewczyno, kim ty, u diabła, jesteś? - jęknął i odsunął ją na odległość ramienia.

Beth nie mogła zebrać myśli, była wciąż zbyt oszołomiona tym nagłym wybuchem pożądania.

- Wcale nie uważam, żebyś była aniołem. Anioły nie są takie... - przerwał, słysząc natarczywy dzwonek u drzwi wejściowych. - Kto to znowu? Przecież jest wpół do jedenastej!

Beth, rzecz jasna, wiedziała, która jest godzina -i chyba było to wszystko, co w tej chwili wiedziała. Nikt nie pocałował jej nigdy tak, jak przed chwilą uczynił to Nick Rafferty. Przynajmniej tak jej się zdawało...

W jego ramionach była niczym okręt, który po długim błędzeniu i licznych burzach zawinął wreszcie do bezpiecznej przystani. A przecież nie wolno jej było czuć się w ten sposób. Przybyła tu, by rozwiązać skomplikowaną sytuację, tymczasem sama komplikowała ją jeszcze bardziej. Jak zwykle zresztą. Tym razem sprawa była jednak naprawdę poważna. Bethany wiedziała, że jeśli się nie sprawdzi, nie otrzyma już ani przebaczenia, ani kolejnej szansy.

- Na twoim miejscu otworzyłabym - powiedziała, gdy dzwonek zadźwięczał po raz drugi. - To może być pan Fairfax z nowymi informacjami.

Nick szybko pośpieszył do drzwi.

- Lisa! - odezwał się zdumiony na widok olśniewającej blondynki, która z pewnością nie była Robertem Fairfaxem.

To ta, która wcześniej do niego dzwoniła, pomyślała Beth. Ta, z którą miał zjeść kolację i którą powinien właśnie całować - Lisę, nie Bethany.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Korzystając z tego, że plecy Nicka zasłaniały ją przed wzrokiem nieznajomej, Beth wymknęła się po cichu z pokoju i szybko pobiegła do sypialni, którą miała dzielić z Lucy.

Długo leżała z otwartymi oczami i wpatrywała się w sufit. Gzy aniołom wolno się zakochiwać? Obawiała się, że właśnie to przydarzyło jej się tym razem - zakochała się w człowieku, któremu miała pomóc. O, Pani Niebieska, czy przez to stała się upadłym aniołem?

Nie mogła tu dłużej zostać, musiała jak najszybciej odejść. Choćby i teraz...
- Beth?

Odwróciła się, by popatrzeć na dziewczynkę leżącą w łóżku obok. Wcześniej zostawiła włączoną lampkę, by Lucy nie musiała obawiać się ciemności.

- Słucham, skarbie? - szepnęła i uśmiechnęła się do dziewczynki.

Lucy odpowiedziała jej słodkim, sennym uśmiechem.

- Cieszę się, że tu jesteś - wymruczała, po czym odwróciła się na drugi bok i natychmiast zasnęła.

Beth uznała, że chwilę wcześniej myślała jak egoistka - oczywiście, że nie może odejść. Dzieci jej potrzebują. Uczucie do Nicka Rafferty'ego wkrótce przeminie, podobnie jak jego zainteresowanie jej osobą - a dzieci zostaną. Nie byłaby w stanie sprawić im zawodu.

Gdy następnego ranka zbudziła się i wstała, okazało się, że Nick poszedł już do pracy (albo jeszcze poprzedniego dnia wyszedł z piękną Lisą!). To zaś utwierdziło Beth w przekonaniu, że z pewnością zdołał już o niej zapomnieć. Oczywiście, bolało ją to, ale wiedziała, że ból wkrótce minie. Anioły nie mogą się zakochiwać, powtarzała sobie uparcie. Nie mogą i już.

Później, w ciągu dnia, zdała sobie sprawę także i z tego, że Nick nie mógłby jej pokochać. Już wcześniej zauważyła, że Lisa jest piękna. Natomiast uroda Samantha Fairfax dosłownie ścinała z nóg, o czym Beth przekonała się po południu, gdy zabrała dzieci na spotkanie z matką.

Samantha Fairfax, niegdyś Samantha Rafferty, została już przeniesiona z oddziału intensywnej opieki do niewielkiego jednoosobowego pokoiku. Teraz leżała oparta wygodnie na poduszkach, jej kruczoczarne włosy spływały kaskadą na ramiona, a oczy lśniły szczęściem na widok dzieci. Robert Fairfax ledwie zdołał powstrzymać maluchy przed uduszeniem matki. Kobieta miała złamaną rękę i kilka pękniętych żeber, więc takie czułości z pewnością mogły jej zaszkodzić. Nie ulegało jednak wątpliwości, że widok pociech sprawił jej olbrzymią radość.

Jaka szczęśliwa rodzina, pomyślała Bethany, obserwując ich z kąta pokoju. Robert Fairfax był równie przystojny, jak Nick, tyle że jego twarz pozba-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wioną była dystansu i cynizmu. Dekroć patrzył na żonę, w jego oczach płonęła szczerą miłość - podobnie jak w oczach Samantha, gdy odwzajemniała spojrzenie męża. Biedny Nick, westchnęła Bethany. Miłość tych dwojga musiała go zranić, jeszcze bardziej jednak dotknęło go chyba to, że gdy patrzyło się na Samanthę i Nicka, stawało się jasne, że ci dwoje byli sobie przeznaczeni i że to dobrze, że są razem.

- To pewnie pani jest tą młodą osobą, która pomaga Nickowi w opiece nad dziećmi? - usłyszała pytanie i podniosła wzrok na Samanthę.

- Tak - potwierdziła i przysunęła się bliżej łóżka. - Mam pani przekazać, że wszyscy zachowują się jak aniołki. - Potargała żartobliwe loki Lucy, na co mała wybuchnęła śmiechem. - Tak sobie obiecaliśmy.

. - Jamie i Josh także? - zapytała z rozbawieniem ich matka.

- Jamie i Josh także - pokiwała głową Bethany. - Dziś kupowaliśmy razem jedzenie na święta, a także choinkę i bombki. Chłopcy bardzo mi pomogli.

Wspaniale - uśmiechnęła się Samantha, a potem spojrzała jeszcze raz na Bethany i zmarszczyła brwi, jakby ogamęła ją nagle jakaś niepewność. - Przepraszam odezwała się z lekkim zakłopotaniem - mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za bezczelną, ale... czy my się przypadkiem kiedyś nie spotkałyśmy? - Nie, raczej nie - odparła Bethany.

- Mam jednak wrażenie, że... Robert? - zwróciła się do męża. - Nie sądzisz...?

- Och, daj już spokój, skarbie. - Poklepał ją wyrozumiale po dłoni. - Nigdy dotąd nie widzieliśmy panny Beth. To przyjaciółka Nicka.

Bethany odetchnęła z ulgą. Nick sądził, że to Robert przysłał ją do pomocy. Robert natomiast uważał ją za przyjaciółkę Nicka, która pomaga mu w trudnych chwilach. I bardzo dobrze, tak właśnie miało być - żaden z nich nie mógł znać prawdy, bo i tak by w nią nie uwierzyli. Przecież Nick powiedział wyraźnie, że nie wierzy w istnienie aniołów.

- Hm... - Zmarszczyła brwi Samantha, nie do końca chyba przekonana. - Mimo wszystko wydajesz mi się znajoma, Beth - uśmiechnęła się z roztargnieniem.

- Dobrze, złotko - wtrącił się Robert. - Pielęgniarka mówiła, że dzieci mogą tu zostać tylko przez pięć minut. Beth zaraz je zabierze. Może poprzytulacie się jeszcze trochę?

- No pewnie! - Samantha rozpromieniła się na wspomnienie swoich pociech. - Tak czy inaczej, jestem ci ogromnie wdzięczna - zwróciła się jeszcze do Beth. - Nick pewnie zresztą też - dodała sucho, mając zapewne na myśli brak kwalifikacji byłego męża w zakresie opieki nad dziećmi.

- Owszem - przyznała Beth i obie kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

65

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Oboje jesteśmy ci bardzo wdzięczni - zapewnił ją Robert Fairfax, gdy odprowadzał całą gromadkę do czekającej przed szpitalem taksówki. - Oby tylko Nick docenił, jakim jest szczęściarzem.

Nietrudno było zgadnąć, co miał na myśli. Oboje, Robert i Samantha, uważali, że Bethany i Nicka łączą bliskie stosunki. Beth nie miała pojęcia, co Nick myśli o niej po wczorajszym wieczorze, ale jedno było dla niej pewne - z pewnością nie uważał się za szczęściarza!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jeszcze jeden fatalny dzień!

Właściwie wszystko zaczęło się wczoraj wieczorem, kiedy do mieszkania niespodziewanie zawitała Lisa - tylko po to, by wyjść kilka minut później, gdy ujrzała, jak Beth kieruje się w stronę sypialni. Lisa dodała dwa do dwóch, zaś wynik wprawił ją w wściekłość!

A może to zaczęło się jeszcze wcześniej, gdy pocałował Beth?

Co on najlepszego zrobił? Ta kobieta zjawiała się, by pomóc mu przy dzieciach, a on usiłował ją uwieść! Nie był nawet pewien, czy bukiet kwiatów w jego dłoni, który zakupił na znak pokoju, to taki dobry pomysł. A jeśli Bethany opacznie zrozumie ten gest i uzna, że to kolejna sztuczka? A jeśli...?

Do diabła z tym! Kupił te kwiaty na znak zgody i tak właśnie powinna to zrozumieć!

Gdy jednak przekroczył próg własnego domu, przekonał się, że nie ma w nim Beth. Mieszkanie było puste i panowała w nim przejmująca cisza. Po dwóch dniach wypełnionych hałasem i dziecęcymi

GWIAZDKA MIŁOŚCI

krzykami poczuł się nagle nieco dziwnie, jak gdyby został zupełnie sam. Czy tak właśnie miało być, kiedy dzieci powrócą do matki?

Usiadł ciężko w fotelu w pokoju gościnnym i ogarnął wzrokiem dom, który był jego schronieniem przez ostatnie pięć lat. Mieszkanie było urządzone kosztownie i ze smakiem, ale kiedy Nick rozglądał się teraz po pięknych przedmiotach zdobiących wnętrza, dostrzegał wreszcie, czym w istocie były - tylko przedmiotami, pozbawionymi ciepła, życia, emocji. Wczoraj w tym domu zagościł prawdziwy śmiech. Nick wiedział, że stało się to za sprawą Beth. Właśnie wtedy jego uporządkowane - i jak mógł wreszcie przyznać: całkowicie samolubne - życie przestało mieć ten urok, co wcześniej. Tak, dzieci były hałaśliwe i absorbujące, ale jednak prawdziwe.

Ubiegłego wieczoru przekonał się, że Beth również jest prawdziwa. - Włożyć je do wody?

Drgnął gwałtownie, słysząc jej głos, i natychmiast odwrócił się w jej kierunku. Na widok dziewczyny ponownie zapomniał o logicznym rozumowaniu. Była taka piękna - w jej przejrzystych zielonych oczach błyskały ciepłe ogniki, uśmiech zaś był pełen ciepła. Czy uśmiechała się tak tylko do niego? Bardzo tego pragnął. - Nick? - Patrzyła na niego z niepokojem, a uśmiech powoli zniknął z jej ust.

Nie chciał, aby tak się działo - zdał sobie sprawę z tego, że czekał na ten uśmiech przez cały dzień.

- Są dla ciebie - powiedział i wyciągnął przed siebie czerwone goździki. Wiedział, że jego słowa zabrzmiały zbyt zwyczajnie, jak gdyby wcale nie chciał jej dawać tych cholernych kwiatów. Mój Boże, nie robił tego od niepamiętnych czasów. Zazwyczaj telefonował do kwiaciarni i zamawiał posłańca, który dostarczał bukiet aktualnej przyjaciółce.

Beth jednak różniła się od innych kobiet, a i w uczuciach Nicka nie było tym razem cienia kalkulacji. Właściwie sam dobrze nie wiedział, co czuje do tej dziewczyny.

- Dziękuję. - Przyjęła z wdziękiem kwiaty. - Są piękne. Ich kolor też świetnie pasuje do świątecznej pory. Kupiliśmy śhczne ozdoby choinkowe, czerwone i złote - dodała, widząc pytające spojrzenie Nicka.

Ach, tak! Przecież była Wigilia! Nick tak bardzo skoncentrował się na wpatrywaniu się w Beth, że zupełnie o tym zapomniał.

- Przywiozłem upominki dla dzieci - powiedział szybko. Nie chciał znowu myśleć o tym, jak czuł się, gdy wszedł do domu, w którym Sam mieszkała teraz z Robertem, co myślał w ich sypialni czy w osobistej garderobie Sam, gdzie leżały ukryte prezenty. To było zbyt bolesne doświadczenie i pragnął o nim jak najprędzej zapomnieć. - Są na dole, w samochodzie. Przyniesiemy je później, kiedy dzieci

GWIAZDKA MIŁOŚCI

pójdą spać, zgoda? A skoro mowa o dzieciach, to gdzie one właściwie są?

- W swoich pokojach - uśmiechnęła się Beth. - Pakują prezenty dla ciebie.

- Dla mnie?

- Owszem - skinęła głową. - Najwyraźniej ich mama miała zwyczaj chodzić z nimi w Wigilię po prezenty dla ciebie.

W tym roku Sam nie mogła tego zrobić, więc to Beth zabrała je na zakupy.

Mimo nawału obowiązków nie zapomniała także i o tym. Czy dobroć tej kobiety nie miała końca? Pewnie nie - ciepło i sympatia dla innych ludzi zdawała się w jej przypadku czymś łatwym i zupełnie naturalnym.

Przypomniał sobie, jak to pocałował ją ostatniego wieczoru. Teraz miał ochotę się z nią kochać...

- Beth... - zbliżył się do niej.

- Tatuś Nick! - Do pokoju wpadła Lucy i natychmiast rzuciła się w jego ramiona.

-Nick instynktownie przygarnął ją do siebie. Pachniała mydłem i czystą pościelą, a wyglądała wprost zachwycająco; Czy to możliwe, żeby mylił się przez te wszystkie lata? Czy Lucy jest jednak jego córką? Wczoraj wściekł się na Beth, gdy ta upierała się, że tak jest w istocie, tocz teraz, kiedy spojrzał na niewinną twarzą dziewczynki, kiedy ujrzał jej bezzębny uśmiech i lśniące błękitne oczy, coś w nim drgnęło. Czyżby to rozpuszczał się lód wokół jego serca?

Popatrzył na Beth znad złotowłosej główki dziecka i nagle poczuł, jak pod powiekami pieką go oczy. Lucy jest jego córką.

Czuł to teraz wyraźnie, tak jak czuł wielki ból z powodu wszystkich tych zmarnowanych lat, podczas których powinien być dla Lucy ojcem, a nie nieznajomym.

- Wystarczy, że będziesz mówiła „tatusiu”, skarbie - powiedział do córki i czule odgarnął włosy z jej czoła. - Po co to „tatusiu Nicku”?

- No właśnie, po co? - Pizytuliła się do niego mocno, bez najmniejszego zdziwienia reagując na tę nagłą przemianę. - Kocham cię, tatusiu

Nick czuł coraz silniejszy ucisk w gardle. Wiedział, że nie zasłużył na tak szybkie przebaczenie, ale przyjął je z wdzięcznością, pochłonięty przez falę miłości, jaka zalała go, gdy trzymał dziecko, wtulone ufnie w jego szyję.

- Ja też cię kocham, Lucy - szepnął cicho.

Kiedy jednak zerknął na kobietę, która w tak krótkim czasie zdołała zmiękczyć jego serce, ujrzał, że uśmiech na jej twarzy pełen jest żalu. Chciał ją zapytać o przyczynę owego żalu, lecz zaraz do pokoju wpadli chłopcy i trzeba było odłożyć pytanie na bardziej odpowiedni moment.

Nick wiedział jednak, że ją o to spyta. I spróbuje jej powiedzieć, co do niej czuje.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bethany zrozumiała, że jej zadanie dobiegło końca. Powinna się cieszyć, widząc to rodzinne pojednanie, lecz radość z odniesionego wreszcie sukcesu mieszała się w niej z głębokim smutkiem. Wiedziała, że będzie musiała opuścić ten dom i tego mężczyznę. I to szybko.

Nick Rafferty zdołał w końcu obudzić w sobie miłość do córeczki. Teraz musiał jedynie pogodzić się z byłą żoną, aby być gotowym na przyjęcie nowej miłości, prawdziwej miłości. To wszystko zaś oznaczało, że Bethany powinna odejść. Musiała to zrobić, gdyż go kochała. On także zdawał się czuć do niej więcej niż tylko wdzięczność, o czym świadczył choćby wzrok, jakim w tej chwili na nią spoglądał. Nic mogła dopuścić, by się w niej zakochał. Przyniosłoby mu to jedynie rozczarowanie i ból.

Z wysiłkiem otrząsnęła się ze smutku i przywołała uśmiech na twarz. Przecież jest Wigilia, Boże Narodzenie, czas radości i szczęścia...

I rzeczywiście wszyscy wydawali się szczęśliwi - dzieci zanosili się śmiechem, gdy ich ojciec wie-

szał nadmuchane przez nie balony, Nick wreszcie odprężył się, rozluźnił, nauczył cieszyć się wspólną zabawą. Jeszcze zabawniejsze okazało się ustawianie drzewka, gdyż każde z obecnych uważało, że choinka stoi krzywo, aż w końcu dzieci uznały, że nie ma to najmniejszego znaczenia, i przystąpiły do rozwieszania bombek na gałązkach.

- Masz we włosach kawałek anielskiego włosa

- zauważył w pewnej chwili Nick i zdjął z jej loków błyszcząca nitkę.

Bethany zaśmiała się cicho.

- Powinien więc być rudy jak marchewka.

- Twoje włosy nie są marchewkowe - zaprotestował. - Mają odcień... tycjanowski.

- Mhm, rozumiem, poetycka nazwa na określenie wściekle rudego. - Tym razem roześmiała się zupełnie otwarcie.

Nick potrząsnął głową, wciąż nie spuszczać wzroku z jej włosów.

- W pewnym oświetleniu wyglądają niemal na złote... Beth, ja... chciałem ci powiedzieć...

- Gotowe! Czas umieścić anioła na wierzchołku!

- oznajmił głośno Josh.

- Beth jest za duża, żeby wleźć na czubek choinki! - zaśmiała się Lucy,

- Ale ty jesteś w sam raz! - ostrzegł ją Nick, po czym przy akompaniamencie pełnych zachwyty pisków podniósł ją i okręcił pod sufitem.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Bethany z rozczeniem przyglądała się tym zabawom.

- To Beth powinna umieścić anioła na wierzchołku - stwierdził stanowczo Josh

- bo to ona wszystko przygotowała.

- Masz rację, synu. - Nick zmierzwił włosy chłopca i popatrzył na Bethany. -

Będziesz mistrzem ceremonii, zgoda?

Bethany pośpiesznie odwróciła wzrok, speszona wyrazem jego oczu.

- Zgoda - odparła. - Pamiętaj tylko, żeby w tym samym momencie włączyć światełka. Będzie lepszy efekt. A wy, dzieci, pamiętajcie, żeby wypowiedzieć życzenie, kiedy anioł znajdzie się już na czubku.

I oto pokój w domu Nicka rozblysnął po chwili świątecznym blaskiem.

Wszyscy bez wyjątku wstrzymali dech z wrażenia i stali w całkowitej ciszy, delektując się tym cudownym, jedynym w swoim rodzaju widokiem - choinka, lampki, bombki odbijające kolorowe światełka żarówek, pobłyskujące snbrzyście łańcuchy. I anioł górujący nad całym tym przepychem.

- Tatusiu, życzyłam sobie...

- Ciii... Nie wolno tego mówić na głos, Lucy - Bethany przerwała łagodnie dziewczynce. - Twoje życzenie mogłoby się nie spełnić.

- Przypuszczam, że Lucy życzyła sobie tego samego, co ja - powiedział później Nick, gdy razem przygotowywali wigilijną kolację.

Bethany popatrzyła na niego zatroskanym wzrokiem. Z łatwością odczytywała uczucia kłębiące się w tych szarych oczach i domyślała się, jakie mogło być owo życzenie.

A jednak nie mogła tu zostać, nie Wolno jej było.

Dziwne, że dotąd jeszcze jej nie odesłano.

Dzieci były tak rozentuzjasmowane, że Nick i Bethany nie mogli zagonić ich do łóżek. W końcu zdołali tego dokonać, choć wiedzieli oboje, że minie jeszcze sporo czasu, zanim maluchy zdołają zasnąć - i zanim Święty Mikołaj rozłoży ich prezenty pod choinką;

- Pójdę przynieść rzeczy z samochodu - powiedział Nick, kiedy wreszcie ucichły hałasy dochodzące z dziecięcych sypialni. - Mam też dla nich prezenty od siebie, w swoim pokoju. - Tuż przed drzwiami zatrzymał się i zmarszczył

brwi. - Jediną osobą, której nic nie kupiłem, jesteś ty. Cholera, nie sądziłem...

- Ja naprawdę niczego nie chcę - zapewniła go Bethany. - Zresztą dałeś mi już prezent, jakiego pragnęłam.

- O czym ty znowu...?

- To twoja miłość do Lucy - wyjaśniła na widok jego zdumionego spojrzenia.

- Och, ona jest wspaniała - rozmarzył się przez

GWIAZDKA MIŁOŚCI

chwile, zaraz jednak znów spochmurniał. - Byłem taki głupi! Jak mogłem nie wierzyć, że Lucy jest moja?

- Nie ufałeś Samanthcie.

- Nie. Choć w trakcie naszego małżeństwa Sam nigdy mnie nie okłamała, nawet wtedy, gdy pokochała Roberta. Kiedy uznała, że jej uczucia do niego są zbyt silne, by nasze małżeństwo mogło przetrwać, powiedziała mi o tym wprost, choć była już wtedy w ciąży. To głupia duma kazała mi myśleć, że Lucy nie jest moją córką.

- Lucy już ci przebaczyła - szepnęła Bethany.

- Ale co z Sam? Na jej miejscu nie przebaczyłbym sobie.

- Gna też ci wybaczy.

- A ten wypadek pięć lat temu? Czy to także mi przebaczy? Gdybym wtedy nie opuścił domu w takiej złości...

- Byłeś bardzo wzburzony.

- Bo Sam chciała zatrudnić opiekunkę do dzieci! Gdybym się nie wściekł, pies nie wybiegłby za mną, a ta dziewczyna nie usiłowałaby uchronić go przed przejechaniem przez samochód! - Westchnął ciężko. - Nie wiedziałem nawet, że to się stało. Kiedy wróciłem do domu z podróży służbowej, okazało się, że dziewczyna, i pies nie żyją - a Sam mnie nienawidzi.

Bethany lekko ścisnęła jego ramię.

201

- Jestem pewna, że gdy porozmawiasz z nią o tym, to cię zrozumie.

- Tak myślisz? - Spojrzał na nią udreńczonym wzrokiem. - A co z tą młodą kobietą, która tak bezsensownie zginęła?

- Nic. Nie można zmienić przeszłości, Nick - westchnęła. - Trzeba nauczyć się z nią żyć. Teraz Samantha oczekuje kolejnego dziecka. Jestem pewna, że chętnie pogodzi się z tobą przed jego narodzinami.

- Mam nadzieję.

- Naprawdę?

- Nie wiem, co mi się stało - wzruszył ramionami - ale nagle zapragnąłem skończyć z całym tym bólem i cierpieniem. A wiesz, czyja to zasługa? - zapytał wymownie i przysunął się do niej bliżej.

- Idź już do samochodu, po prezenty dla dzieci - szepnęła, zmieniając temat i unikając jego spojrzenia. - Robi się późno.

Nick zawahał się, po czym odwrócił się na pięcie

i wyszedł z mieszkania. Beth westchnęła z rezygnacją. Gdyby pozwoliła mu powiedzieć więcej...

Nie, nie wolno. Co miałyby odpowiedzieć, gdyby oznajmił, że ją kocha? Że bardzo jej przykro, ale jest aniołem?

W trakcie układania prezentów pod choinką miała ochotę wybuchnąć płaczem.

Była szczęśliwa, czuła się tak, jakby robili to już wiele razy wcześniej. A jedno-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

częście rozdzierało ją nieszczęście, gdyż wiedziała, że tak z pewnością nigdy nie było i nigdy nie będzie.

- To moje najlepsze święta - oznajmił Nick, kiedy skończyli i usiedli na kanapie przed choinką.

Bethany uśmiechnęła się do niego.

- Tak, dzieci mają zadziwiający wpływ,,.

- Nie chodzi tylko o dzieci, Beth - przerwał jej Nick. - To właśnie ty sprawiłaś, że ta Gwiazdka jest tak cudowna. A przecież jeszcze się nie skończyła.

Uśmiechnął się do niej czule. W niczym teraz nie przypominał surowego mężczyzny, który wczoraj otworzył jej drzwi.

- Kocham cię, Beth...

- Nie!

- Kocham.

- Nie wolno ci...

- Ale to prawda. - Roześmiał się cicho, po czym wziął ją w ramiona. -

Zakochałem się w tobie, mój aniołku.

Wiedziała, że powinna go powstrzymać. Wiedziała, że nie może mu pozwolić na pocałunki. Gdy jednak usta Nicka dotknęły jej warg, zdała sobie sprawę, że wobec takiej namiętności i takiej pasji jest **bezbronna**. Postanowiła odpowiedzieć na pieszczoty, odwzajemnić jego miłość. Uświadomiła sobie, że **niezależnie od** wszystkiego będzie go odtąd kochać przez całą wieczność.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nick poruszył się sennie i uśmiechnął sam do siebie na wspomnienie minionej nocy. Beth w jego objęciach. Beth całująca go, naga, drżąca, spragniona pieśczoć. Wykrzykująca jego imię w chwili rozkoszy. Zwinięta w jego ramionach, gdy było już po wszystkim. Zasypiająca u jego boku i obejmująca go przez sen...

Kochał tę kobietę. Nie wiedział wcześniej, że można kochać tak mocno. Poczł na swoim ciele jej słodki zapach i krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Zapragnał nagle znów się z nią kochać, lecz gdy przewrócił się na drugi bok, ujrzał, że miejsce obok niego jest puste, choć wciąż jeszcze ciepłe od ciała Beth.

No tak, jest przecież pierwszy dzień świąt. Pewnie poszła sprawdzić, co z dziećmi. On też powinien wstać. Oby tylko nie spóźnił się na ceremonię odpakowywania prezentów.

Wyśliznął się z łóżka, włożył na siebie szlafrok i wtedy zauważył kartkę, która sfrunęła z łóżka na podłogę. Popatrzył na nią ze zdziwieniem, po czym

GWIAZDKA MIŁOŚCI

podniósł przed oczy oderwany z jakiegoś zeszytu świstek. Na dole spostrzegł podpis - Bethany. Zastanawiał się wcześniej, od jakiego imienia pochodzi Beth. Myślał, że od Elizabeth, ale teraz uznał, że Bethany pasuje znacznie lepiej.

Przeczytał szybko liścik i pobladł, gdy skończył.

Beth odeszła.

Napisała, że nie może zostać, i życzyła mu wszystkiego najlepszego.

Wszystkiego najlepszego! Czyżby naprawdę sądziła, że będzie mu dobrze bez niej?

Zaczął chodzić nerwowo po mieszkaniu, szukać jej wszędzie, licząc na to, że to może żart. Głupi żart, ale tylko żart. Niestety, po kilku minutach dotarło do niego, że Beth naprawdę zniknęła, a wraz z nią wszystkie rzeczy, które ze sobą przyniosła. Zupełnie, jak gdyby nigdy nie istniała....

Ale przecież istniała, zdołała zaistnieć w jego sercu. Sercu, które tak bardzo mu ciążyło, gdy zasiadł wraz dziećmi przed choinką, by otworzyć prezenty i wyjaśnić zmartwionym maluchom, że Bethany pojechała rankiem do własnej rodziny i nie wiadomo, kiedy wróci.

Ha, gdyby tylko wiedział, czy Bethany ma w ogóle jakąś rodzinę, mógłby spróbować ją odszukać. Rzecz w tym, że nie miał pojęcia, ani gdzie Beth mieszka, ani ile ma lat, ani jak naprawdę się nazywa. Zadzwoił oczywiście do agencji Niebiańskie Anio-

ły, lecz odpowiadała mu niezmiennie automatyczna sekretarka. Nie dziwił się temu zbytnio - w końcu był pierwszy dzień świąt. Postanowił, że gdy tylko skończy się Gwiazdka, pójdzie do biura agencji i zażąda szczegółowych informacji na temat jednej z pracownic o imieniu Bethany i złocistorudych włosach. Oczywiście, jeśli Beth wcześniej nie wróci, na co - szczerze mówiąc - liczył najbardziej.

Teraz jednak musiał sprawić, by Boże Narodzenie było dla jego dzieci naprawdę radosne. Kiedy więc maluchy otworzyły już, wszystkie prezenty i zjadły śniadanie, cała czwórka przygotowała indyka i włożyła go do piekarnika. Następnie pojechali do szpitala, by zobaczyć się z Samanthą. On także chciał się spotkać z byłą żoną. A czy istniał lepszy dzień na próbę pojednania niż pierwszy dzień świąt?

- Witaj, Robercie! - Ruszył szpitalnym korytarzem i wyciągnął dłoń, by powitać mężczyznę, który niegdyś był jego przyjacielem.

- Nick? - Robert spojrzał nań z rezerwą, choć przyjął wyciągniętą dłoń.

- Wesołych Świąt - dodał Nick i uśmiechnął się do swoich wyraźnie zniecierpliwionych dzieci. - Jeśli natychmiast nie wręczą mamie prezentów, pękną z niecierpliwości. A kiedy już to zrobią, chciałbym pogadać z Samanthą sam na sam. Nie masz nic przeciwko temu?

GWIAZDKA M&OŚCI

Robert popatrzył na niego chłodnym wzrokiem.

- Pod warunkiem, że jej nie zdenerwujesz. Nick nie czuł się urażony. Wiedział, że zasłużył

sobie na te podejrzenia. Przecież w ciągu tych pięciu lat wielokrotnie denerwował Samanthę.

- Mam nadzieję, że będzie wręcz przeciwnie - odparł i ścisnął lekko ramię byłego przyjaciela. - Wiesz, stary, to wszystko jest cholernie trudne. Zwłaszcza dla takiego aroganckiego gościa jak ja.

- Co jest trudne?

Przyznanie, że było się w błędzie i że bardzo się tego żałuje. Nie jestem przyzwyczajony do wyznawania własnych win. - Skrzywił się gorzko. - Ale jestem wam winien moje najszczerze.

- Tatusiu, możemy już iść do mamy? - Lucy złapała go za rękaw, zniecierpliwiona przedłużającym się oczekiwaniem.

- Oczywiście, skarbie. - Nick z czułością pogłaskał ją po głowie. - Jeśli tylko Robert się zgodzi.

Robert popatrzył ze zdumieniem na ojca i córkę. Zauważył, że relacja między Nickiem i Lucy wyraźnie się zmieniła i nie próbował nawet kryć swego zaskoczenia.

- Oczywiście, idźcie - zgodził się szybko. - Mamusia bardzo się ucieszy.

- Dzięki za wszystko, Robert. - Nick położył rękę na jego ramieniu. - Za to, że opiekowałeś się Lucy i chłopcami... No i przepraszam. Też za wszystko.

Robert zawahał się przez moment, po czym klepnął Nicka w plecy i przygarnął go do siebie.

- Dobrze, że znów tu jesteś, Nick - uśmiechnął się. - Poważnie.

Samanthę również zdumiał jego widok, a jeszcze bardziej bliskość, która narodziła się między nim a Lucy. Przez pięć lat Nick nie uznawał istnienia swojej córki. Znowu pomyślał, że chyba jednak nie zasłużył na wybaczenie.

- Dzieci wydają się szczęśliwie - powiedziała niezręcznie Sam, gdy zostali tylko we dwójkę.

- Nadszedł czas, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi - odparł. - Byłem głupcem, Sam. Cholernym egoistą. Musiałem kogoś pokochać, żeby wreszcie zrozumieć, jak ważna jest miłość. Bez niej nie można mieć niczego.

Samantha popatrzyła na niego z przekornym błyskiem w oku.

- Czy to, co mówisz, ma coś wspólnego z tą młodą osobą, która przyprowadziła wczoraj dzieci do szpitala? - zapytała. - Chyba nazywa się Beth, prawda?

- Oczywiście, wiele wspólnego! - potwierdził. - Kocham ją, Sam. Tak bardzo ją kocham, tak całkowicie... A ona... - przerwał i popatrzył na kobietę, która niegdyś była jego żoną. - Ciebie też kochałem.

- Nie w taki sposób - uśmiechnęła się z ledwo dostrzegalnym żalem. - i nie tak, jak ja kocham Roberta, Gdyby tak było, wciąż bylibyśmy razem.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- To prawda - przyznał. - Ale dopiero teraz to zrozumiałem. Teraz, kiedy sam poznałem taką miłość. Choć chwilowo mam wrażenie, że zniknęła i nigdy nie wróci - dodał i blask zgasł nagle w jego oczach. - W każdym razie do końca życia będę wdzięczny Robertowi, że ją wynajął.

- Ależ Robert jej wcale nie wynajął - zdziwiła się Samantha.

- Wynajął. Z agencji. - Nick uśmiechnął się pobłaźliwie. - Może ci nie mówił, ale...

- Powiedział mi, że to twoja przyjaciółka. Że pomaga ci w krytycznym momencie. Nie miał pojęcia o jej istnieniu, dopóki nie powiedziałeś, że jest u ciebie i zajmuje się dziećmi.

Tym razem to Nick się zaniepokoił.

- Ale przecież... - wzruszył ramionami - Niebiańskie Anioły... Bethany mówiła, że przysłała ją Pani Niebieska...

- Niebiańskie Anioły? - Samantha popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Wiem, strasznie głupia nazwa jak na agencję opiekunek przyznał zniecierpliwiony. - Sam bytem zdziwiony. Z czasem jednak uznałem, że całkiem dobrze pasuje. Zwłaszcza że Bethany wciąż mówiła o aniołach i była dobra jak anioł.

- Bethany... - powtórzyła w zamyśleniu Samantha, -Wiedziałam, że ona kogoś mi przypomina. Och, Boże... - Zbladła nagle i oparła się o poduszki.

209

- Sam! Co się stało? - zaniepokoił się Nick. -Sam, co ci jest? Wezwać lekarza?

No, powiedz coś do mnie!

Samantha wypuściła powoli powietrze z płuc i popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Nie wiem, jak to powiedzieć... nie wiem, jak to się stało... ale...

- Proszę cie Sam...

- Ona naprawdę jest aniołem!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Widzisz, Bethany, czasem popełniamy błędy. Rzadko i całkowicie przypadkowo... - dodała pośpiesznie Pani Niebieska, a na jej twarzy pojawił się wyraz szczerzej troski. - Niemniej czasem i nam się zdarzają.
- Och, wiem, że nie powinnam była zostawiać Nickowi tego listu - przyznała Beth, siedząc naprzeciwko pracodawczyni w jej „gabiniecie”. - Ale ja naprawdę nie mogłam opuścić go bez słowa. Miałam wyjść jak... jak jakiś włamywacz? - spytała i pociągnęła żałośnie nosem. Mimo że od jej przybycia minęły dwie godziny, wciąż nie mogła opanować łez.
- Nie miałam na myśli listu, moja droga. - Na anielskim obliczu Pani Niebieskiej pojawiło się współczucie. - Wcale nie. Czasami, podkreślam, tylko czasami, popełniamy jakiś drobny błąd i wtedy...
- Co wtedy? - spytała Beth, spodziewając się najgorszego.
- I wtedy staramy się go naprawić. Nie zawsze od razu się to udaje.
- Ale przecież się starałam - zaprotestowała Beth-

hany. - I tym razem wyjątkowo dobrze sobie poradziłam: Nick pokochał swoją córkę, pogodził się z byłą żoną, z przyjacielem, a poza tym...

- Nie to miałam na myśli, moja droga. - Pani Niebieska wręczyła jej kolejną chusteczkę. - Chyba nie słuchałaś uważnie - dodała i potrząsnęła głową z łagodną reprimendą.

- Rozumiem. Niektóre sprawy naprawiłam, inne skomplikowałam jeszcze bardziej. Życie Nicka wcale się nie wyprostowało.

- Obawiam się, że nie.

- Ale nic mu nie będzie, prawda?

- On cię kocha, moja droga - westchnęła Pani Niebieska. - Dzwonił już kilka razy do agencji i za każdym razem zostawiał wiadomość na automatycznej sekretarce. W ostatniej błagał mnie, żebym go zawiadomiła, gdzie może cię znaleźć.

Bethany słuchała tych słów z rozdartym sercem. Powinna była odejść od razu, kiedy tylko domyśliła się, czym grozi dalszy pobyt w domu Nicka Rafferty'ego.

- Oczywiście wiedzieliśmy, że popełniony został błąd - ciągnęła tymczasem Pani Niebieska. - Dopiero jednak kiedy zorientowaliśmy się, że Nicholas zamierza poślubić tę kobietę, Lisę, postanowiliśmy wkroczyć do akcji. - Pokręciła głową ze współczuciem. - Biedny człowiek. Od pięciu lat znajdował się w strasznym stanie.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Tak, rozwód z Samantha go dobił.

- Ależ nie, kochanie. - Pani Niebieska wydawała się zaskoczona tym stwierdzeniem. - Jego nieszczęście nie miało aż tak wiele wspólnego z tamtym rozwodem. Może trochę, ale nie bezpośrednio.

- Więc dlaczego był nieszczęśliwy?

- Nicholas nie kochał Samantha tak, jak powinien. Uświadomiła to sobie i postanowiła odejść do człowieka, którego kochała i który kochał ją. Nie mówimy jednak o niej, lecz o nim; Otóż życie Nicholasa znalazło się w rozsypce z zupełnie innego powodu - on nie mógł być z kobietą, która była mu przeznaczona i która miała go pokochać.

- To znaczy, że Nick kochał kogoś innego? Zdradzał żonę? - Bethany przełknęła ślinę z wrażenia. Skoro życzyła Nickowi wszystkiego najlepszego, nie powinna była być o niego zazdrosna. A jednak ukłuto ją serce.

- Nie wiem, kochanie, czy to moja wina, czy też twoje przygnębienie nie pozwala ci słuchać tego, co mam do powiedzenia - zniecierpliwiła się Pani Niebieska. - Oczywiście, że Nick nie kochał nikogo innego. Za kogo go uważasz?

- Co więc się stało? - spytała Beth, całkiem już zdezorientowana.

- No coż, pięć lat temu ktoś odszedł z tego świata. Wtedy postanowiono pozostawić sprawy własnemu biegowi i obserwować, co się będzie działo. Nie-

stety, ostatnie wydarzenia w życiu Nicholasa uświadomiły nam, że nie dzieje się dobrze. Nicholas Rafferty zbłądził, stał się zgorzkniały i cyniczny. Niemal zaplątał się w drugie małżeństwo, które miałoby jeszcze bardziej opłakane skutki niż to pierwsze.

- Też tak uważam - przyznała skwapliwie Bethany.

- Jak już mówiłam, wszystko zaczęło się od naszego błędu. Zwykła pomyłka nowicjusza. Wobec tego uznaliśmy, że powinniśmy sprawdzić, co by się wydarzyło, gdyby Nicholas spotkał jednak tę kobietę, w której miał się zakochać pięć lat temu.

Bethany z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Niby jak?

- Zwyczajnie. Przysłaliśmy cię z powrotem. Wysłaliśmy cię do Nicholasa, a on zakochał się w tobie, tak jak powinien to być uczynić pięć lat wcześniej.

- Wysłaliście mnie z powrotem? - wykrztusiła Bethany. - Z powrotem dokąd?

- Przecież mówię, że do Nicholasa, moja droga. - Pani Niebieska pochyliła się i pogłaskała Bethany po dłoni. - Pięć lat temu to właśnie ty byłaś tą opiekunką, którą Samantha chciała zatrudnić do swoich synów. Zrobiła to i wtedy.

I wtedy właśnie Bethany zginęła w zupełnie bezsensownym wypadku. Zginęła i ich ścieżki nigdy się nie przecięły. Nic dziwnego, że Samantha Fairfax uważała, że muszą się skądś znać. Prawdopodobnie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

rozpoznała w niej nianię, którą miała zatrudnić kilka lat wcześniej.

Lecz gdyby Bethany żyła, ona i Nick zakochaliby się w sobie, pobrali, pewnie mieliby już własne dzieci. Cóż więc poszło nie tak, jak powinno? Jak to się stało, że nawet nie zdołali się poznać? I co miało wydarzyć się teraz, kiedy mimo wszystkich przeciwności zetknęli się jednak i zapalili do siebie gorącym uczuciem? Czyba nie zostaną rozdzieleni po raz drugi?

- Pani Niebieska! - Bethany popatrzyła na nią z rozpaczą. - Nie róbcie mu tego więcej, nie zsyłajcie na niego nowych nieszczęść! - wyszeptała, czując, jak do jej oczu ponownie napływają gorzkie łzy.

Rysy rozmówczyni wyraźnie zmiękły. Pani Niebieska spojrzała na dziewczynę ze współczuciem i odparła:

- Masz dobre serce, Bethany. Wiem, że nie myślisz tylko o sobie, lecz przede wszystkim o Nicholasie. Dostrzegł w tobie tę dobroć i ją pokochał najbardziej. Zmieniłaś go.

- Wiec już nie będzie taki, jak przez ostatnie pięć lat?

- Oczywiście, że nie, moja droga. - Pani Niebieska wydawała się urażona takim przypuszczeniem. - Czy naprawdę sądzisz, że jesteśmy aż tak niewrażliwi i okrutni? Zaplanowaliśmy to wszystko całkiem inaczej. Wcale nie miałaś wtedy umrzeć, droga Bethany. Ale - znów westchnęła - zdarzyła

się pomyłka, pomyłka nowicjusza, który zabrał cię na początku twojej ziemskiej drogi. Teraz tam wrócisz, moje dziecko.

- Ale... jak?

- To będzie całkiem inna historia. Inna choć wciąż ta sama - uśmiechnęła się tajemniczo. - Z początku oboje nie będziecie się znali, gdyż przecież wcześniej się nie spotkaliście.

- Jak to wcześniej?

- No, przed wypadkiem i przed rozwodem.

- Więc mam zaczynać wszystko od nowa?

- Powiedziałam, że to będzie całkiem inna historia. Nicholas skłóci się z Samanthą, lecz wkrótce, pod twoim wpływem, uzna, że Lucy to jego córka. Pokocha ciebie i pogodzi się z byłą żoną oraz najlepszym przyjacielem. Tak będzie najlepiej dla was wszystkich.

- Ale gdzie się spotkamy? - zapytała Bethany. - I jak zdołamy...? - urwała, gdyż wszystko wokół niej zaczęło nagle wirować.

- Zobaczysz, moje dziecko. Zaufaj mi. Życzę ci szczęśliwego życia z Nicholasem - dobiegł ją z oddali głos Pani Niebieskiej, a potem całkiem straciła ją z oczu

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Bethany siedziała na dywanie przed choinką, przyglądając się, jak Nick wiruje z małą, uroczą istotką w ramionach. Dziewczynka chichotała głośno, a jej loczki fruwały wokół roześmianej buzi. Dwaj chłopcy ubierali z przejęciem świąteczne drzewko. Jak zawsze wieszali za dużo ozdób, zaś niektóre bombki wyglądały tak, jak gdyby lada chwila miały spaść. Bethany była jednak pewna, że końcowy efekt będzie oszałamiający.

- Czy ciocia Sam i wujek Robert są już w drodze? - starszy chłopiec po raz kolejny zadał to samo pytanie, które zadawał od godziny co najmniej raz na pięć minut.

- Zaraz przyjdą, skarbie - odparła Bethany z uśmiechem i odgarnęła ciemne włosy z jego czoła. **Richard** miał dopiero cztery lata, lecz był nad wiek poważny, a wyglądał jak wierna kopia swojego ojca.

- Będzie też Jamie, Josh i Lucy! - wykrzyknął radośnie trzyletni Peter.

- **O** tak, w tym roku nasz dom będzie pełen gości

- westchnął Nick i podszedł do nich z dwuletnią Beth w ramionach.

- Tak jak zwykle.

Bethany uśmiechnęła się do niego i wstała. Zawsze w takich momentach miała ochotę uszczyplnąć swego męża, *by* przekonać się, że nie śni. Któż by bowiem uwierzył pięć lat temu, że ona, niania zatrudniona przez Samanthę Rafferty do jej synów, zostanie kiedyś żoną Nicka Rafferty'ego? Na dodatek wszystko stało się w wyjątkowo dramatyczny sposób

- Nick dosłownie wydarł ją z rąk śmierci, gdy rzuciła się na jezdnię, aby ratować jego ukochanego psa przed przejechaniem.

Oczywiście nie chodziło tylko o psa. Ani nawet o dzieci, którymi zajęła się z oddaniem i które do dziś ją uwielbiały. Ona i Nick byli sobie po prostu pisani. Niemal od początku było to dla nich jasne.

Spędzili razem cudowne pięć lat, w trakcie których Bethany z każdym dniem kochała męża coraz bardziej. Ich dom na angielskiej wsi pełen był radości, miłości i ciepła.

- Czas na anioła, mamusiu - przypomniał jej Richard i aż podskoczył z radości, wręczając jej ulubionego aniołka, który miał właśnie zawisnąć na czubku choinki.

Bethany nie bardzo pamiętała, skąd się wziął ten rodzinny zwyczaj, ale każdego roku było tak samo

- Nick i dzieci zawsze upierali się, żeby to właśnie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ona umieszczała złotowłosego anioła na czubku świątecznego drzewka.

- Może poczekamy, aż przyjdzie reszta dzieci? - zaproponowała.

Obie rodźmy - była żona Nicka, jego trójka dzieci oraz Robert, wspólnik Nicka w interesach - zawsze razem spędzały święta. W tym roku to Nick i Bem mieli pełnić obowiązki gospodarzy.

- Ale... - Peter urwał swój protest w pół słowa, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka. - Już są! Przyszli! Przyszli!

Nick postawił dziewczynkę na ziemi i oboje patrzyli, jak trójka ich pociech pędzi do holu, by powitać wujostwo oraz przyrodnie rodzeństwo.

- Czy już pani dziś mówiłem, jak bardzo panią kocham? -zapytał i delikatnie pocałował ją w szyję.

- Chyba tak. - Uśmiechnęła się na wspomnienie Wspólnie spędzonej nocy i cudownego poranka. -Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby pan to powtórzył.

- Bardzo cię kocham, Bethany Anne Rafferty -mruknął cicho, patrząc prosto w jej zielone oczy.

- Ja też cię kocham, Nick - odpowiedziała.

- Mam dziwne wrażenie, że to będzie nasza najpiękniejsza Gwiazdka.

- Mówisz tak co roku! - roześmiała się głośno. - I co, nie mam racji?

- Oczywiście, że masz. - Skinęła głową, z tru-

dem ukrywając rozbawienie. - Ale ten wieczór będzie rzeczywiście wyjątkowy. Sam i Robert mają nam coś ważnego do zakomunikowania.

- Coś ważnego? - zmarszczył brwi Nick. - Chyba nic w związku z interesami, prawda? Robert i ja wciąż jesteśmy...

- Chodzi o Sam - przerwała mu cicho Bethany. - Sam jest w ciąży - dodała, po czym zerknęła uważnie na męża, niezbyt pewna, jak zareaguje na tę wiadomość.

- To wspaniale - powiedział po chwili namysłu, a ona wiedziała, że mówi szczerze. - Oboje od lat pragnęli dziecka. Niepokoi mnie tylko wiek Saman-thy. Ma już trzydzieści dziewięć lat i...

- Nie martw się. Sam i dziecku nic nie będzie -zapewniła go Bethany i nagle poczuła się tak, jak gdyby już kiedyś, znacznie wcześniej, mówiła te słowa. Cóż, zdarzały jej się czasem i inne niezwykle uczucia. Niekiedy miała wrażenie, że stoi obok niej jakiś niewidzialny anioł i szeptem do ucha, co się może wydarzyć, a czym w ogóle nie należy się martwić. Nie umiałyby wytłumaczyć, skąd bierze się w niej ta pewność, ale zazwyczaj rzeczywiście trafnie przewidywała rozwój sytuacji. Jednego zaś była absolutnie pewna - że jej miłość do Nicka będzie trwać wiecznie, podobnie jak jego miłość do niej.

- Czas na anioła, mamusiu! - zażądał stanowczo Peter, kiedy kilka minut później wszyscy zgromadzili

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się wokół drzewka i ponaglani niecierpliwymi okrzykami dzieci pośpiesznie złożyli sobie życzenia.

Bethany sięgnęła do czubka drzewka i ostrożnie umieściła złotowłosego anioła na najwyższej gałęzi.

- Nie wiem, czy mi się zdaje, czy w tym roku ten anioł naprawdę świeci jaśniej

- mruknął Nick, przytulając ją do siebie. - Przez chwilę wydawało mi się

również, że ma rude włosy, zupełnie jak ty, kochanie.

Beth odniosła podobne wrażenie. Przez ułamek sekundy anioł rzeczywiście wyglądał tak jak ona. Zaraz jednak wszystko wróciło do normy - to był ten sam anioł, którego kupili razem w sklepie cztery lata wcześniej.

- A teraz wszyscy pomyślcie sobie jakieś życzenie! - powiedziała do dzieci z tajemniczym uśmiechem. Ona jak zwykle życzyła sobie, aby zawsze była szczęśliwa u boku męża i dzieci.

Znów zerknęła na anioła na czubku drzewa. Tym razem gotowa byłaby przysiąc, że uśmiechnął się do niej ukradkiem.

Rebecca Winters

Tato pod choinkę

Maly Kip wychowywal sie bez ojca, a matka nie byla idealem. Chlopiec z calego serca kocha swoja nauczycielke i to wlasnie z Jill spedza najwiecej czasu. Gdy matka Kipa ponownie wychodzi za maz, zostawia syna pod opieka Jill, ta zas postanawia znalezc jego ojca...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jilly, gdzie jest mój tatuś?

Dobre pytanie. Jill Barton sama chciałaby to wiedzieć.

- Nie wiem, ale na pewno go znajdziemy - zapewniła pięciolatka, siedzącego obok pilota.

Nigdy nie widziała ojca Kipa i nigdy wcześniej nie była w Kaslit Bay. Tymczasem samolot powoli zbliżał się do opustoszałego molo.

Mające w oddali budynki skupione u wybrzeża zdawały się być zupełnie wyludnione. Wokół nie było żadnych śladów ludzkiej działalności. Wyglądało na to, że cała okolica pogrążona jest we śnie zimowym, a warstwa śniegu pokrywająca ziemię i suche gałęzie drzew jeszcze potęgowała to wrażenie.

Tę senną atmosferę zakłóciło po chwili pojawienie się ciężarówki, która jechała wzdłuż drogi, prowadzącej z lasu w stronę osiedla. Kiedy samolot prawie dotykał ziemi, Jill zdołała dojrzeć mężczyznę w czerwonej kurtce i czapeczce baseballowej, który machał rękami w ich kierunku. Był to prawdopodobnie właściciel sklepu, o którym opowiadała Ma-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

rienne, matka Kipa. Po chwili z ciężarówki wyszedł drugi mężczyzna. Jill poczuła, jak serce bije jej szybciej. Miała nadzieję, że to właśnie jest ojciec chłopca.

Z ulgą odpięła swój pas, po czym pomogła Kipowi wyswobodzić się z fotela. Zasunęła mu kurtkę, naciągnęła na głowę kaptur i lekko pchnęła go w kierunku wyjścia.

- Dzień dobry - przywitał ich mężczyzna w baseballowej czapce, pomagając im wyjść z samolotu. - Nazywam się R.J. Ross, jestem właścicielem tutejszego sklepu. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chciałbym wydać się pani niegościnnie, ale nie rozumiem, po co pani tu przyjechała. Prawie wszyscy stąd wyjechali i wrócą dopiero wiosną. Jill, przyzwyczajona do mrozów panujących na Alasce o tej porze roku, odczuła jednak gwałtowny spadek temperatury. Nasunęła kaptur, który zakrył jej krótkie jasne włosy, i szczelniej owinęła szalik wokół szyi Kipa.

- Przywiozłam chłopca. Ma spędzić z ojcem święta - wyjaśniła, spoglądając przez ramię RJ. Drugi mężczyzna, wyglądający na trzydzieści kilka lat, zbliżał się do nich szybkim krokiem.

Jill przyjrzała mu się uważnie. Ciemny blondyn. Około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Jego kurtka opinała szeroki tors i umięśnione ramiona. Niewątpliwie był bardzo silny. Uwagę Jill przykuły jednak jego oczy - duże, błękitne. Wydawało się, że odbija się w nich tafla wody.

Kiedyś Jill opowiadała swojej klasie historię Paula Bunyana, jednego z bohaterów ludowych. Ta opowieść niezwykle podziałała na wyobraźnię dzieci, a Kip był najbardziej nią przejęty. Stwierdził wówczas, że jego ojciec - również drwal - wygląda zupełnie tak jak Paul Bunyan.

Rzeczywiście, pomyślała teraz Jill. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że ojciec Kipa nie miał czarnych włosów.

On tymczasem omiół wzrokiem jej twarz i sylwetkę ukrytą pod ciepłą kurtką, sprawiając, że doznała dziwnego uczucia zakłopotania. Wtedy spojrzał na chłopca, po czym skinął głową w kierunku R.J. i podszedł do pilota.

Jill zdziwiła się. Nie było czułego powitania. Chłopiec nie wybiegł ojcu naprzeciw, a ten nie wziął syna w ramiona, tak jak się spodziewała.

Obydwaj zachowali się, jak gdyby byli obcymi sobie ludźmi.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy chłopiec nie widział ojca aż tak długo, aby zapomnieć, jakiego koloru są jego włosy? Zane Doyle również powinien rozpoznać syna, nawet jeśli ten na głowie miał czapkę, a jego twarz była osłonięta szalikiem.

Drżąc z zimna, objęła chłopca i delikatnie obróciła go w swoim kierunku.

- Musisz mi coś powiedzieć, kochanie. To bardzo ważne - zaczęła. - Czy ty w ogóle znasz tatusia? Spotkałeś się z nim wcześniej?

Kip nie musiał nic mówić. Spojrzał na nią ze

GWIAZDKA MIŁOŚCI

smutkiem i pokręcił głową, po czym odwrócił się wolno i odszedł na bok. A więc Kip nie zna swojego ojca, pomyślała z przerażeniem. Po chwili zastanowiło ją jednak coś jeszcze - czy to możliwe, aby Zane Doyle nie wiedział o istnieniu swojego syna? Cóż, po Marianne Mongrief, matce Kipa, można było spodziewać się wszystkiego.

Jill poczuła się tak, jakby ktoś ścisnął jej serce imadłem. Pomyślała, że należałoby jak najszybciej zabrać stąd chłopca. Niestety, było już na to za późno. Przystojny Zane Doyle szedł właśnie w ich stronę.

- Ja rozumiem, że szuka pani ojca tego chłopca

- odezwał się nieco zakłopotanym tonem - ale to jakaś pomyłka. Ja i moja żona byliśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem. Niestety, dziesięć lat temu zginęła w katastrofie lotniczej. Dzieci nie mieliśmy. Przykro mi, że przebyła pani taki szmat drogi na darmo.

Uwierzyła mu. Podświadomie czuła, że ten mężczyzna mówi prawdę. Ale wiedziała też coś jeszcze

- odnalazła właściwego człowieka, choć ten był przekonany, że jest inaczej. Podobieństwo chłopca do Zane'a było uderzające, zbyt wielkie, by mogła być mowa o nieporozumieniu.

Kilka lat temu Marianne poznała zabójczo przystojnego faceta.

Prawdopodobnie wtedy, kiedy ten próbował dojść do siebie po stracie żony. W jednej

chwili wszystko, czego Mariannę nie powiedziała, sprawy, których nie wyjaśniła do końca, stały się dla Jill oczywiste.

Zadrżała, czując, że coraz bardziej daje jej się we znaki wysoka gorączka. Próbowwała wziąć się w garść, lecz wówczas zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zachwiała się i pewnie byłaby upadła, gdy przed upadkiem uchroniły ją silne ręce Zane'a.

- Jest pani bardzo blada. Co się dzieje? - zapytał ze szczerą troską.

- Nic - skłamała. - Po prostu strasznie boję się o Kipa - szepnęła, odważnie patrząc mu w oczy. - Tak bardzo cieszył się na spotkanie z ojcem. Będę musiała mu powiedzieć, że to pomyłka. Prawdopodobnie skierowano nas na niewłaściwą wyspę. - Nerwowo zwilżyła językiem wargi. - Ich nazwy brzmią prawie identycznie...

- Jest pani krewną chłopca? - spytał.

- Nie - odparła. Nagle zapragnęła znaleźć się gdzie indziej, jak najdalej od tego miejsca. - Jestem jego wychowawczynią, w przedszkolu. Nazywam się Jill Barton.

Jego ręce spoczęły na jej ramionach. Przez gruby materiał kurtki czuła bijące od nich ciepło.

- Dlaczego więc to pani go tu przywiozła? Gdzie jest jego matka?

Jill spuściła głowę.

- W tej sytuacji to naprawdę nie ma znaczenia.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jilly, zimno mi! - poskarżył się płacząco Kip. - Kiedy przyjdzie tatuś?
- Poczekaj chwilę! - krzyknęła, odwracając się w jego kierunku, po czym powiedziała cicho: - Muszę już iść. Pilot czeka.

- Nie polecicie teraz - odparł Zane tonem nie znośnym sprzeciwu; -
Wiatr staje się coraz bardziej gwałtowny. Nie możecie ryzykować. Tym bardziej nie radziłbym zabierać w taką podróż małego.

- Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw, obawiam się jednak, że nie ma innego wyjścia. Przecież nie mamy nawet gdzie przenocować.

- Możecie zostać u mnie, dopóki pogoda się nie poprawi - zaproponował.

- Polecicie następnym samolotem.

Jfil stanowczo potrząsnęła głową. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby zostać skazana na towarzystwo Za-ne'a, który nie miał pojęcia o tym, że jest ojcem Kipa.

- Damy sobie radę - powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na złowrogie, zaśnieżone kry sunące po wodach zatoki.

- To samo powiedziała moja żona, zanim zniknęła we wnętrzu samolotu - rzekł ze smutkiem.

Popatrzyła na jego sztywną od mrozu, zaciętą twarz i zrozumiała, że do tej pory nie pogodził się z tamtą śmiercią.

- Jeśli mieszka pani w Ketchikan, to powinna pani wiedzieć, że na Alasce każdy dom jest otwarty

dla rwdróżnych, szczególnie podczas burzy śnieżnej. Czy pani, nauczycielka, zaryzykuje życie cudzego dziecka tylko dlatego, że boi się pani skorzystać z zaproszenia nieznajomego?

Do oczu Jill napływały niechciane łzy.

- Nigdy nie naraziłabym Kipa na niebezpieczeństwo - odparła, z zażenowaniem wycierając policzki grubą rękawiczką.

- W takim razie o co chodzi? - zapytał łagodnie. O co chodzi? O Mariannę Mongrief, panie Doyle,

odpowiedziała mu w myślach. Jest pan biologicznym ojcem Kipa, ale to ona będzie musiała panu

o tym powiedzieć, nie ja.

- Hej! Idzie już pani? - Głos pilota wyrwał ją z zadumy. - Musimy się pośpieszyć!

Ostrożnie wyswobodziła się z ramion Zane'a i podeszła do Kipa.

- Twojego taty tu nie ma, ale nie będziemy dziś wracać, bo zanosi się na burzę śnieżną. Pan Doyle był tak miły, że zgodził się, abyśmy przenocowali u niego i poczekali, dopóki pogoda się nie poprawi. Chcesz tu jeszcze zostać?

- Jak ty chcesz - powiedział cicho chłopiec.

Uczucie zawodu zawładnęło nim całkowicie, pozbawiając go radosnego podekscytowania, które towarzyszyło oczekiwaniu na ojca. Jill miałyby teraz ochotę udusić Mariannę za to, że całą ich trójkę postawiła w tej niezręcznej sytuacji.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Chyba najlepiej będzie, jeśli przeczekamy tu burzę - zwróciła się do pilota.

- Słuszna decyzja - odparł, uśmiechając się do Kipa.

R. J. otworzył drzwi swojego samochodu.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę przyjść do sklepu.

Trzymajcie się! - zawołał, pomachał im ręką i odjechał.

Zane natychmiast przejął dowodzenie.

- Kip, zanieś ten karton do samochodu, dobrze? - zwrócił się do chłopca. -

Na pewno sobie poradzisz. Im prędzej stąd wyjedziemy, tym szybciej znajdziemy się w ciepłym domu.

- Mogę unieść nawet więcej! - Kip postanowił zmierzyć się z wyzwaniem i ochoczo ruszył w stronę auta.

Jill była zdumiona reakcją chłopca, który zwykle stronił od dorosłych.

Sięgnęła po swoją walizkę i ruszyła za Doylem i jego synem. Patrząc na malca, odkryła, że porusza się w dokładnie taki sam sposób, jak Zane.

Nagle znowu przepełniło ją uczucie złości w stosunku do Mariannę. Nie zważając na uczucia innych, a szczególnie własnego dziecka, wmieszała

Jill w delikatną i nazbyt osobistą sprawę, którą sama powinna była się zająć.

Po chwili ładowali już bagaże do samochodu. Ku swojemu przerażeniu Jill spostrzegła, że para prze-

nikliwych niebieskich oczu wciąż przygląda jej się badawczo.

- Spokojnie, pani Barton - odezwał się Zane. - Niech się pani nie denerwuje. Nie jest pani na takim strasznym odludziu.

Odetchnęła z ulgą, że nie wyczytał z jej twarzy prawdziwego powodu zmartwienia.

- Nie denerwuję się. Bywałam w gorszych miejscach niż całkowite pustkowia - odparła.

Uśmiechnął się nieoczekiwanie, a potem otworzył drzwi masywnej półciężarówki.

- Kip, siadaj koło mnie. - Kiwnął ręką na chłopca. - Będziesz więcej widział.

- A co będzie widać? - Kip skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Wdrapał się do środka i przysunął do Zane'a, chcąc zrobić miejsce dla Jill.

- No, renifery, jastrzębie...

- Jilly mówi, że jest ich coraz mniej.

- Ma rację. Te ptaki muszą być chronione. Dlatego moja firma znajduje się wiele kilometrów od ich gniazd.

Jill spodobało się to, co powiedział.

- Ma pan swoją firmę? - spytał tymczasem Kip.

- Mhm - odparł Zane, uruchamiając silnik.

- A jak się nazywa?

Jill patrzyła na chłopca z niedowierzaniem. Zadziwiająco, jak swobodnie zachowywał się w towarzystwie tego nie znanego mu wcześniej mężczyzny.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Był ożywiony i wyglądało na to, że zamierza zasypać Zane'a mnóstwem kolejnych pytań.

- Nazywa się Bellingham-Waks Pulp and Lumber - Zane nie uchylał się od odpowiedzi. - Podoba ci się?

- Jilly, słyszałaś o takiej firmie?

Owszem, dyszała. Prawdę mówiąc, nie zdziwiło jej, iż Zane Doyle przeobraził się nagle z drwała we właściciela świetnie prosperującego koncernu zajmującego się przemysłem drzewnym. Nie wyglądał na prostego robotnika leśnego.

Ich spojrzenia znowu się skrzyżowały.

- A więc? Słyszała pani? - zapytał Zane. - Słuchamy z zapartym tchem.

- Dlaczego tak panu zależy na odpowiedzi?

- Mi nie - odpowiedział - ale chłopcu. Widzę, że jest pani dla niego prawdziwą wyrocznią.

- Co to jest wrocznia, Jilly?

Wybuch tubalnego śmiechu Zane'a sprawił, że Jill również nie zdołała utrzymać powagi. Przyciągnęła chłopca do siebie i usadziła na kolanach.

- To znaczy, że twoja nauczycielka jest nieomylna - odpowiedział za nią Zane, a w jego głosie zabraniała lekka ironia.

- A co to znaczy nieomylna, Jilly? Jill czuła, że płoną jej policzki.

- Pan Doyle lubi mi dokuczać - uśmiechnęła się. - Chciał powiedzieć, że jeśli jestem twoją nauczy-

cielką, to muszę znać odpowiedzi na wszystkie twoje pytania.

- Przecież znasz! - obruszył się chłopiec. - Robbie mówi, że jesteś mądrzejsza niż jego tata.

- To był komplement ogromnej wagi - bezlitośnie kpił Zane. - Ciekaw jestem, co na to pan Barton?

Kip zareagował natychmiast:

- Jilly nie ma męża! Ale mamusia mówi, że mnóstwo różnych panów chce się z nią ożenić, tylko że ona czeka na księcia z bajki.

- Kip... - jęknęła Jill.

- Obawiam się, że na Alasce nie ma zbyt dużo... panów - roześmiał się Doyłe.

- A pan ma żonę? - z ust dziecka padło następne niedyskretne pytanie.

- Miałem, kiedyś.

- I co się stało?

- Moja żona umarła.

- Szkoda. A gdzie są pana dzieci?

- Nie mam dzieci.

- To okropne. Każdy powinien mieć dzieci. Dobrze, że mój tatuś ma mnie. Zna go pan?

- Odpowiem ci, jeśli powiesz mi jak się nazywasz.

- Mongrief, proszę pana.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Nie, nie sądzę, żebym go znał - odpowiedział Zane po chwili milczenia, które zdaniem Jill trwało podejrzanie długo.

Przycisnęła chłopca mocniej do siebie. Czuła, jak po jej skroni spływają krople potu. Dziwne zaniepokojenie w głosie mężczyzny świadczyło o tym, że nazwisko Mongrief nie jest mu obce.

Jak twierdziła Mariannę, miało ono szkocki rodowód. Po śmierci ojca, wraz z matką przeprowadziła się do Północnego Idaho, gdzie mieszkali jej krewni. Wszyscy oni z czasem uzyskali amerykańskie obywatelstwo, ale mimo to ich ciężkie warunki materialne wcale się nie poprawiły.

Mariannę potrzebowała pieniędzy, więc wkrótce wyjechała na Alaskę w poszukiwaniu pracy. Prawdopodobnie właśnie wtedy poznała Zane'a Doyle'a. Jill była **święcie** przekonana, że w całym stanie nie znaj**dzie się** nikt o takim nazwisku.

- Patrz, Kip! - W panice próbowała odwrócić uwagę chłopca. - Przyjrzyj się. Widzisz ruch między drzwiami?

- Gdzie?

- Tam, przed nami. - Drżącym palcem wskazała gęste skupisko sosen, porastających niewielkie wzniesienie.

- Jelenie! Widzi pan? - wykrzyknął zaaferowany malec, odwracając się w stronę kierowcy.

- Mów mi Zane, chłopcze. Masz dobry wzrok.

- Ale to Jill zauważyła je pierwsza! - przyznał Kip z rozbijającą szczerością. - Tata Robbie'ego mówi, że ona ma oczy z tyłu głowy. -

Przysunął się jeszcze bliżej kierowcy i zapytał: - Zane, czy ty mieszkasz w przyczepie?

- Nie. Ale bądź cierpliwy, za chwilę zobaczysz mój dom.

Jill z niechęcią przyznała się sama przed sobą, że tak samo jak Kip nie może się doczekać, kiedy będą na miejscu. Ciekawa była, czy na zaśnieżonym pustkowiu pojawią się wreszcie jakiekolwiek ślady cywilizacji.

Tymczasem Zane skręcił w drogę wiodącą stromym górskim zboczem.

Po kilku minutach mozolnej wspinaczki samochód znalazł się po drugiej stronie wzniesienia i wtedy...

- Och! - Ten okrzyk wyrwał się jednocześnie Kipowi i Jill, kiedy ich oczom ukazał się nowoczesny dwupiętrowy dom.

Był to jedyny budynek w okolicy. Stał na polanie, z której rozpościerał się widok na całą zatokę. Jill

natychmiast pomyślała o tym, jak wspaniale to miejsce musi wyglądać w lecie, kiedy kwiaty zmieniają górski krajobraz w różnobarwny kobierzec.

- Fantastyczny widok! - wykrzyknęła zachwycona.

- Dokładnie to samo powiedziałem, kiedy znalazłem się tu po raz pierwszy.

- Kiedy to było? - Zadając to pytanie, poczuła się jak ciekawski Kip.

- Dwadzieścia lat temu, gdy ta część wyspy była jeszcze zupełnie dziewicza.

- Mieszkaś tu sam? - Teraz odezwał się chłopiec.

- Nie. Z przyjacielem. Wabi się Bestia.

- Jilly, jak myślisz, czy to jest prawdziwa bestia?

- No, nie wiem... Wydaje mi się, że to może być mieszaniec.

Zane spojrzał na nią spod oka i mrucząc coś na temat ojca Robbie'ego, skręcił w wąską drogę prowadzącą pod sam dom.

Kiedy znaleźli się bliżej, Jill zauważyła, że przy bocznej ścianie budynku stoi okazała sterta desek.

- Zewnętrzna część domu została wykończona dwa lata temu - wyjaśnił, widząc jej zaciekawione spojrzenie. - Ostatnio zabrałem się za urządzenie wnętrza. No dobrze, teraz proponuję, żeby poszła pani przywitać się z moim - tu zawahał się chwilę - mieszańcem. Kip i ja wyjmemy tymczasem bagaże.

- Nie - zaprotestowała, z trudem zbierając w sobie odwagę. - Wydaje mi się, że jako nie zapowiedziany gość powinnam najpierw zabrać się do pracy. Dopiero potem przyjemność.

Zane uśmiechnął się z przekąsem.

- Nie chciałbym, żeby była moją nauczycielką - szepnął do ucha Kipowi, wystarczająco głośno, by Jill mogła to usłyszeć. - Jest zbyt bystra, to mnie przeraża.

- A nie mówiłem! - wykrzyknął chłopiec z przejęciem.

Jill patrzyła z uśmiechem, jak Zane i Kip szepczą na boku, i nie mogła oprzeć się myśli, że w innych okolicznościach ten człowiek nie zaprosiłby ich zapewne do swojego domu. Nie byłoby ich tu, gdyby pilot stwierdził, że warunki atmosferyczne są dostatecznie dobre, aby wrócić do Ketchikan.

Zwykły zbieg okoliczności?

Niekoniecznie. Zane Doyle nie przypadkiem był szefem wielkiej korporacji. Na długo zanim usłyszał nazwisko Mongrief, szósty zmysł z pewnością podpowiadał mu, że z przybyciem tej dwójki wiąże się jakaś zagadka. Zdecydowany rozwiązać ją za wszelką cenę, nie tylko wykorzystał śmierć żony jako sposób na wybrnięcie z kłopotliwej sytuacji, ale także pozwolił im wtargnąć do swojej samotni, do której nikt inny nie miał wcześniej wstępu.

Być może znał całą prawdę od chwili, gdy wy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

siedli z samolotu. Być może przyszło mu do głowy, że Jill ma do odegrania pewną rolę w wyrachowanym planie Mariannę. Angażując do tej sprawy Jill, wybrała ona jeden z najokrutniejszych sposobów na to, aby poinformować swojego byłego kochanka o tym, że ma on kilkuletniego syna. Chociaż może „okrutny” to nie było odpowiednie słowo. Może Mariannę nie była zdolna do tego, aby umyślnie być okrutną.

Jedno wszelako było pewne: cenę za to, co zrobiła, zapłaciła aż trzy osoby. Oby tylko w całej tej sprawie nie ucierpiało Bogu ducha winne dziecko.

- Co to takiego? - Z zamyślenia wyrwał ją głos chłopca.

Po chwili do jej uszu doszło głośnie ujadanie, które odbijając się echem, brzmiało jak przerażające wycie wilka. Jill pochyliła się i objęła Kipa ramieniem

- To właśnie Bestia - uspokoił ich Zane. - Spokojnie, polubicie go. Właśnie w ten sposób nas wita.

- A gdzie on jest? - dopytywał się Kip, podskakując niecierpliwie.

- Za wami.

Odwrócili się natychmiast. Prosto w ich kierunku biegł ogromny, biało-czarny pies. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak najprawdziwszy husky, ale Jill była pewna, że w jego żyłach płynęła wilcza krew.

- Jaki wielki! - zawołał Kip z zachwytem.

- Zdejmij rękawiczkę i ostrożnie wystaw rękę, żeby mógł cię powąchać.

Kip bez wahania zrobił to, co polecił Zane. Zdumiewające było jego bezgraniczne zaufanie do tego człowieka.

- O, właśnie tak... Teraz pogłaszcz go po głowie. Chłopiec wspiął się na palce, z trudem próbując dosięgnąć ucha Bestii. Mądry pies zdawał się dostrzegać zmagania chłopca, bo zbliżył się do niego, pochylając głowę. Kip nie posiadał się z radości.

Zane przyglądał się tej scenie z tkliwością. Jill była jednak pewna, że rzadko pozwala sobie na ujawnianie swoich uczuć. Korzystając z tego, że stoi z boku, przyjrzała mu się uważniej i wydał jej się najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

Marianne widocznie wydawało się to samo.

- Pani Barton, teraz pani musi przywitać się z Bestią.

- Nie bój się, Jilly, nic ci nie zrobi. - Kip chwycił ją za rękę i po chwili jej dłoń zanurzyła się w miękkiej sierści.

Pies wydał pomruk zadowolenia.

- Jak tak dalej pójdzie, to zapomni, kto naprawdę jest jego panem - roześmiał się Zane. - Proponuję, żebyśmy poszli do domu, póki jeszcze mam jakąkolwiek władzę nad własnym psem. Prowadź, Kip. Prosto, przez tylne drzwi.

W korytarzu ogarnęło ich przyjemne ciepło. Jill zdjęła kurtkę, a gospodarz zabrał się do odwiązania-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wania sznureczków przy kapturze chłopca. Nagle Kip odwrócił głowę i...
- Boże! - jęknęła cicho Jill.

Tuż przed nią stało lustrzane odbicie Zane'a Doyle a. Teraz w żaden sposób nie mógłby on wyprzeć się ojcostwa. Zgadzało się wszystko: kształt twarzy regularna linia brwi, mocny podbródek. Nawet ciemnoblonde kosmyki włosów u obu opadały na czoło w identyczny sposób.

A jednak jabłko pada niedaleko od jabłoni.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Chodźmy do kuchni przygotować coś do jedzenia - rzucił Zane. - Nie wiem, jak wy, ale ja umieram z głodu.

Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, jak gdyby niczego niezwykłego nie zauważył. Jednak Jill niełatwo było oszukać.

Zauważyła, że wciąż nie może ochłonać po tym, co zobaczył.

- Będziemy jeść tuńczyka? - spytał Kip.

- W żadnym wypadku. Nie znoszę tuńczyka.

- Ja też, ale Jill mówi, że powinienem jeść ryby, bo wtedy będę mądry.

- Moja mama mówiła to samo. Wiesz, co wtedy robiłem? Kiedy przychodziłem do szkoły, wymieniałem swoje kanapki z kolegą, który nie lubił masła orzechowego.

- Ja będę robił to samo, kiedy pójdę do szkoły!

- Słusznie. A teraz marsz do łazienki. Wiesz, po co?

- Jasne. Umyć ręce przed jedzeniem. Jilly mnie nauczyła. A po jedzeniu zawsze każe mi myć zęby, żeby nic nie stało się moim perełkom.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Perełkom? - prychnął Zane.
 - Tak. Ona na wszystko ma takie śmieszne nazwy. I wszystkie dzieci się z nich śmieją.
 - Ona naprawdę jest niebezpieczna.
 - Wcale nie! - zaperzył się chłopiec. - Kocham ją najbardziej na świecie!
 - Kip... - Jill była zmieszana tym spontanicznym wybuchem chłopięcych uczuć.
 - No, no... Ciekawe, czy umie też gotować?
 - Mowa! Piecze najlepsze ciasteczka w całym Ketchikan!
 - Naprawdę? W takim razie najlepiej będzie, jeśli zostawimy ją w kuchni, a sami pójdziemy po drzewo.
 - A nie możemy iść po obiedzie?
 - Właściwie to wszystko jedno. - Zane wzruszył ramionami. - Dobra, leć do łazienki. Będę w kuchni z panią Barton.
- Kip pobiegł do łazienki i wówczas zapadła niezręczna cisza. Jill struchlała z przerażenia, kiedy Zane ruszył w jej kierunku. Nie był już tym samym czułym ojcem. Jego twarz przybrała surowy, zacięty wyraz.
- Chcę wiedzieć tylko jedno - powiedział szorstko. - Odzie jest Mariannę? Jill na chwilę głos uwiązał w gardle.
 - Prawdę mówiąc... nie wiem.
 - Nie rozumiem - zachnął się. - Niespodziewa-

nie przywozi mi pani syna, o którego istnieniu nie miałem dotąd pojęcia i jeszcze ma pani czelność mówić, że nie wie nic o jego matce?

Jill bała się odezwać. On tymczasem patrzył na nią wyczekująco, ze zdenerwowania zaciskając usta.

- Wyjechała - wyjąkała wreszcie nieśmiało. - Wychodzi za męża... Nie znam szczegółów.

Zdecydowanym ruchem ujął ją za podbródek, tak aby nie mogła unikać jego wzroku.

- To nie jest odpowiedź, pani Barton - wycedził.

- Zgadza się i jest mi bardzo przykro - szepnęła drżącym głosem, sięgając po torebkę. - Proszę. .. - Podała mu list, który zostawiła jej Mariannę. Znalazła go na kuchennej szafce, kiedy przyprowadziła chłopca z przedszkola. - Proszę to najpierw przeczytać, a potem powiem panu wszystko, co wiem.

Patrzył na nią z wściekłością, powoli przenosząc wzrok na kopertę. To była chyba najgorsza chwila w jej życiu. Widziała, jak bardzo jest rozdarty, jak bardzo bezradny. Ona sama czuła się podobnie. Mariannę, jak mogłaś mu to zrobić?

- Jilly? Czy wy się całujecie? - Po chwili Kip był już z powrotem.

- Niezupełnie, kolego - odpowiedział Zane. Jill nie była w stanie wydusić ani słowa.

Zane niechętnie zwolnił uścisk i wyjął kopertę z jej palców. Jill pomyślała, że nigdy nie zapomni

GWIAZDKA MIŁOŚCI

dotyku jego silnej dłoni. Pomyślała też, że gdyby Kip nie zjawił się w porę, Zane pokazałby jej, co potrafi, kiedy wyprowadzi się go z równowagi.

Najwidoczniej sądził, że jest kobietą pokroju Marianne. Bała się, że będzie ją oskarżał o współudział w spisku, a ona nie będzie w stanie dowieść, że jest inaczej.

Boże! Co za ironia losu! I to właśnie teraz, kiedy Zane Doyle zaczynał znaczyć dla niej więcej niż Harris Walker czy jakikolwiek inny mężczyzna. A знаła go przecież dopiero od dwóch godzin.

- Pomyślałem, że twoja nauczycielka miałaby ochotę odświeżyć się przed obiadem.

Kip nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje, ale Jill domyśliła się, że Zane daje jej do zrozumienia, że nie ma ochoty jej oglądać. Poza tym chciał chyba zostać sam na sam z synem, przyzwyczaić się do zaistniałej sytuacji.

Rozumiała go doskonale i dlatego wyszła z łazienki dopiero wtedy, kiedy Kip zawołał, że obiad gotowy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Pomóż Jilly pozmywać, a ja pójdę na górę się przebrać. Potem pójdziemy po drewno, zgoda?

- Zgoda! - zawołał chłopiec ochoczo. - Tylko się pospiesz.

Na szczęście podczas obiadu Kipowi nie zamykały się usta. Jill przez cały czas była spięta. Męczyła ją świadomość, że list Mariannę wciąż tkwi w kieszeni Zane'a.

Od czasu kiedy zjawił się w oczekiwaniu na samolot, jego życie zostało przewrócone do góry nogami. W jednej chwili stał się ojcem wrażliwego, niezwykle absorbującego pięciolatka, który błyskawicznie zdobył jego serce. W jakiś tajemniczy sposób połączyła ich ta sama silna więź, która pojawiła się między chłopcem a nią samą, kiedy po raz pierwszy Kip zjawił się w przedszkolu.

Podświadomie wiedziała, że Zane Doyle nie należy do mężczyzn, którzy uchylają się od odpowiedzialności, nawet jeśli w ich życiu byłaby inna kobieta. Bez względu na to, w jak trudnej znalazł się sytuacji i w jaki sposób miała się ona odbić na

GWIAZDKA MIŁOŚCI

jego relacjach z innymi ludźmi, jedno wydawało się pewne - los jego syna będzie dla niego najważniejszy.

Sądząc po jego stosunku do chłopca, wiedziała, że jest wspaniałym człowiekiem. Dlaczego więc Mariannę nie zatrzymała go przy sobie? Postanowiła nie zaprzętać sobie głowy pytaniami, na które nie mogła znać odpowiedzi i zabrała się do zmywania. W innych okolicznościach praca w tak nowoczesnej kuchni sprawiłaby jej prawdziwą przyjemność - jasne ściany i mnóstwo światła czyniło to pomieszczenie ciepłym i przestronnym nawet w długie, przygnębiające zimowe wieczory. Trudno by jednak było powiedzieć, że Jill znajduje przyjemność w przebywaniu w tym niewątpliwie atrakcyjnym wnętrzu. Musiałaby pozbyć się stresów, żeby rzeczywiście móc je docenić.

A jednak nie mogła sobie odmówić, myślenia o tym, jak też wyglądają pozostałe pomieszczenia tego dużego domu. Z rozmowy Zane'a z Kipem wywnioskowała, że prócz domu ten pierwszy ma również mieszkanie w Bellingham, gdzie mieści się zarząd firmy, oraz drugie, w Thorne Bay, około pięćdziesięciu kilometrów od Kaslit Bay. Czy one również urządzone są z takim smakiem? I czy Zane zamierza tu samotnie spędzić święta, od których dzieliły ich zaledwie dwa dni, czy też wybiera się do Bellingham? Wprawdzie kilka razy wspomniał o swojej

matce, ale nie powiedział jasno, czy jego rodzice żyją i czy ma rodzeństwo.

- Jilly? Wychodzimy! - usłyszała z korytarza krzyk Kipa.

Podniosła wzrok znad szafki, w której ustawiała szklanki, i omal nie upuściła jednej, kiedy do kuchni wszedł Zane. W rozpiętej kurtce i z rozwianym włosom wyglądał stanowczo zbyt pociągająco. Omiótł wzrokiem jej sylwetkę, taksując przez chwilę ponętne krągłości rysujące się pod granatowym swetrem, zaraz jednak odwrócił twarz. Ta pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, więc Jill nie mogła rozszyfrować, co Zane myśli o liście Marianne, nie mówiąc już o jej własnym udziale w całym spisku.

Czując, że serce bije jej jak szalone, zawołała w kierunku Kipa:

- Chodź do mnie, kochanie. Sprawdź, czy dobrze się ubrałeś.

Po chwili drżącymi rękami nasunęła mu na głowę kaptur.

- Co będziesz robić, kiedy pójdziemy po drewno? - spytał chłopiec.

Jill cmoknęła go w czubek nosa.

- To tajemnica. - Uśmiechnęła się, ale natychmiast spoważniała, gdy tylko przelotnie spojrzała na Zane'a.

Ten zaś położył rękę na ramieniu Kipa gestem tak poufałym i tak naturalnym, że mogłoby się wydawać, iż Zane wykonuje go od lat.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jak już pani powiedziałem, kuchnia jest do pani dyspozycji, dopóki pani tu jest - rzucił, zanim wyszedł.

Dopóki pani tu jest...

Te słowa długo dźwięczały jej w głowie. Tak bardzo zależało jej na tym, aby Kip zbliżył się do ojca, że ani przez chwilę nie pomyślała **b** tym, że chłopiec może więcej nie pojawić się w przedszkolu. Jeśli tylko Marianne osiągnie swój cel i Zane zdecyduje się zatrzymać syna przy sobie, Jill prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy swojego ulubionego wychowanka.

Od września była współlokatorką Marianne i w ciągu czterech miesięcy stała się dla Kipa drugą matką, co zresztą było Marianne na rękę. Jill kochała tego chłopca i sama myśl o rozstaniu z nim przerażała ją. Jej rodzice powiedzieli ostatnio:

- Harris nie będzie czekał na odpowiedź przez całe życie. Gdybyś tylko chciała, mogłabyś być mężatką i mieć własne dziecko, zamiast poświęcać się Kipowi.

Jednak w jej związku z Harrisem brakowało czegoś istotnego. Był przystojny, inteligentny i troskliwy, lecz mimo to czuła, że nie jest przygotowana na to, aby za niego wyjść i urodzić mu dziecko. Nie zrobiłaby tego zresztą dla żadnego- mężczyzny. Aż do dzisiaj...

Mój Boże, co się ze mną dzieje, przeraziła się. Jej myśli zaczynały krążyć wokół mężczyzny, z któ-

rym Mariannę miała kiedyś romans i który być może teraz związany jest z inną kobietą.

Podczas obiadu Kip zapytał go, czy ma nową żonę. Zane zaprzeczył. To jednak wcale nie znaczy, że nie spotyka się z kimś od czasu do czasu. Tak intrygujący mężczyzna nie może narzekać na brak damskiego towarzystwa. Bo też która kobieta mogłaby mu się oprzeć?

Potrzebując ujścia dla rozsadzającej ją energii, zeszła do salonu z gigantycznymi oknami wyglądającymi na zatokę. Tuż obok salonu znajdował się gabinet. Oba pomieszczenia oddzielone były od siebie tylko do połowy, a ściana działowa od podłogi do sufitu zabudowana została półkami.

I salon, i gabinet urządzone były bardzo skromnie. W salonie znajdowała się kanapa, a w gabinecie kilka krzeseł i biurko. Parkiet z jasnego drewna doskonale pasował do tego surowego stylu, dlatego dywan byłby tutaj tylko zbędnym dodatkiem.

Jill zwiedziła całe piętro, łącznie ze spiżarnią, łazienką, w której spędziła wcześniej kilkanaście minut, i przedsionkiem, w którym mieścił się ogromny zamrażalnik, pralka oraz kilka różnego rodzaju suszarek.

Musiała przyznać, że Zane stworzył tu sobie istny raj na ziemi.

Będąc jedynaczką, Jill wszędzie towarzyszyła rodzicom. Zwiedzili Europę, Amerykę Południową i egzotyczne kraje Wschodu. Jednak dopiero kilka

GWIAZDKA MIŁOŚCI

lat temu wybrali się na Alaskę i wtedy po raz pierwszy Jill ujrzała przyrodę zupełnie nie tkniętą przez cywilizację. Błękitne, czyste niebo, strzeliste szczyty pokryte warstwą lśniącego lodu i kaskady kryształowo czystej wody tworzyły krajobraz, jakiego nie można by znaleźć w żadnym innym zakątku świata.

Po tej wycieczce zdecydowała, że przeniesie się na Alaskę, dlatego kiedy otrzymała posadę przedszkolanki w Ketchikan, nie wahała się ani przez chwilę. Teraz wiedziała, że była to pomyłka...

Gdyby tylko mogła cofnąć czas, nie przyjechałaby do Kaslit Bay. Z bólem serca przyznała, że wszystko, czego pragnęła, było właśnie tutaj. Wspaniały mężczyzna, cudowna okolica, no i chłopiec, którego kochała prawdziwie matczyną miłością.

Wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie. Teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko modlić się, żeby pogoda poprawiła się do rana i żeby mogła spokojnie wrócić do domu. Jednak na samą myśl o wyjeździe wzdragała się z niechęcią, a może nawet z bólem. Przerazona siłą swoich uczuć, czym prędzej wróciła do kuchni i zabrała się do pracy.

Kiedy wyjmowała z szafki mąkę na ulubione ciastka Kipa, usłyszała dochodzący z podwórza odgłos piły łańcuchowej. Kip jest pewnie w siódmym niebie, pomyślała z zadowoleniem.

Kilka tygodni wcześniej kupiła mu zabawkę -plastikową imitację piły. Dzięki temu chłopiec mógł

skompletować cały ekwipunek Paula Bunyana. Dziś jednak trzymał w ręce prawdziwą piłę i uczył się nią posługiwać pod czujnym okiem wytrawnego instruktora.

Nade wszystko pragnęła być teraz obok nich. Aby oprzeć się tej pokusie, z zapalem rzuciła się w wir pracy, od czasu do czasu zerkając tylko przez okno. Choć śnieg nie padał już tak jak wcześniej, wiatr zdawał się przybierać na sile.

Niespodziewany dźwięk telefonu uświadomił jej, że ten dom wcale nie jest pozbawiony kontaktu ze światem. Odebrać czy nie, zastanawiała się. Czy Za-ne nie miałby nic przeciwko temu?

Tymczasem telefon dzwonił natrętnie. Komuś musiało bardzo zależeć na skontaktowaniu się z Za-ne'em. Może to Mariannę? Kto wie, może dręczą ją wyrzuty sumienia, może zapragnęła dowiedzieć się, czy jej syn bezpiecznie dotarł na miejsce?

Jill chciała w to wierzyć. Kochała Kipa i trudno jej było pogodzić się z myślą, że jego matka mogła zostawić go w taki sposób. Nie wahając się ani chwili dłużej, sięgnęła po słuchawkę.

Damski głos pozbawiony był jednak śladu szkockiego akcentu.

- Czy to mieszkanie Zane'a Doyle'a? - zapytał, nieco zmieszany.

Jill mocniej ścisnęła słuchawkę.

- T-tak.

GWIAZDKA MŁOŚCI

Po drugiej stronie zaległa cisza.

- Przepraszam, z kim rozmawiam? - rozległo się po chwili.

- Jestem tu przejazdem. Zaskoczyła mnie burza śnieżna. - Jill była trochę speszona. - Czekam, aż pogoda się poprawi na tyle, żebym mogła bezpiecznie polecieć do domu. Pan Doyle jest przed domem. Czy mam go zawołać?

- Nie. - Kobieta zdawała się być zawiedziona. - Proszę go nie niepokoić. Już wczoraj miał być w Bel-lingham. Teraz nie wiadomo kiedy dotrze do domu. Proszę mu przekazać, że dzwoniła Brenda, dobrze?

- Oczywiście - zapewniła ją Jill, odkładając słuchawkę.

Chciała nawet zapytać, czy Zane ma jej numer telefonu, ale powstrzymała się w porę. Ctezywiste, że jeśli ta kobieta rozmawiała z nim wczoraj i była tak bardzo zawiedziona tym, że jeszcze nie wyjechał, to musi łączyć ją bliski związek z Zane'em Doyle'em.

Poczuła w sercu przeszywający ból - pierwsze ukłucie zazdrości w jej dwudaestosześcioletnim życiu.

Później odebrała jeszcze dwa służbowe telefony i zanotowała pilnie na kartce przekazane jej wiadomości.

Tymczasem do domu wrócili ojciec i syn. Chłopiec opowiadał coś z niezwykłym ożywieniem, a mężczyzna słuchał go z powagą. Gdy weszli do kuchni, Jill wyjmowała właśnie ciastka z piekarnika.

253

- O rany! Czekoladowe ciasteczka! - wykrzyknął Kip. - Zobaczysz, Zane, jakie one są pyszne!

- Mam nadzieję, że nie będzie pan rozczarowany - wtrąciła nieśmiało Jill.

- A dlaczego miałbym być?

Jill z zakłopotaniem potarła dłonią po karku.

- Były do pana trzy telefony i z tego powodu... ciastka trochę za długo leżały w piekarniku.

- Może to im tylko pomogło - odparł, a potem zwrócił się do Kipa: - Spróbujemy, kolego?

Chłopiec skinął głową, a Zane sięgnął po pierwsze ciastko, potem po drugie...

I zanim Jill doczekała się oceny, zniknęło w mgnieniu oka niemal pół półmiska. To wystarczyło za jakikolwiek komentarz.

Zane wyjął z lodówki mleko i rozlał je do dwóch szklanek.

- Nie powinna pani odbierać telefonu - rzucił, przechodząc obok Jill. Nie powiedział jednak tego ze złością. - Od poniedziałku jestem na urlopie

-dodał. - Włączyłem sekretarkę i nie zamierzam do nikogo oddzwaniać.

Jill zaczerpnęła tchu.

- Nawet do Brendy? - zapytała odważnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zane spokojnie odstawił szklanę do zlewu.

- Widzę, że moja kochana siostrzyczka chce ściągnąć na święta całą rodzinę. Cóż, obawiam się że jej się nie uda.

Jill niespodziewanie dla siebie poczuła ulgę.

- Odebrałam... bo myślałam, że to Mariannę Byłam pewna, że chce zapytać o Kipa.

Zgromił ją spojrzeniem i powiedział:

- Sama pani ni<* wierzy, że potrafiłaby pomyśleć o kimś innym niż tylko o sobie. Gdyby było inaczej przyjechałaby tutaj. Więc nie udawajmy, że spodziewamy się czegoś, co na pewno się nie zdarzy - wycedził powoli.

Wolała nie wiedzieć, dlaczego przemawia przez mego taka gorącz.

- Jilly, mogę jeszcze jedno ciastko?

- Może lepiej nie. Zjadłeś już dosyć. Zaraz będzie kolacja.

- Tak, lepiej idź do Bestii i powiedz jej, że może wejść do środka - zaproponował chłopcu Zane.

Jill odetchnęła. Było to niewątpliwie dyplomatyczne posunięcie.

- Musimy poważnie porozmawiać - zwrócił się do niej, kiedy za Kipem zamknęły się drzwi. - Wiem, że będzie to możliwe, dopiero kiedy mały pójdzie spać. I jeszcze coś: domyślam się, że nie zaśnie bez pani, dlatego proponuję, żebyście spali w salonie. Na górze jest tylko jedno łóżko - dodał tonem usprawiedliwienia.

- W porządku. Będzie zachwycony.

- Jasne. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jeśli pani jest przy nim... Powinno być wam wygodnie - zmienił ton na bardziej praktyczny. - Kip może spać na kanapie, a pani zajmie tapczan. Trzeba tylko pojechać do sklepu po pościel, zaraz to zrobię.

Jill poczuła się skrepowana, a jednocześnie szczęśliwa. Ku jej zadowoleniu niechęć wyszło na jaw, że zazwyczaj nikt u niego nie nocuje.

- Czy Kip mógłby się w tym czasie wykąpać? - zapytała.

- Oczywiście. Wanna na górze jest jeszcze niesprawną, dlatego proszę korzystać z tej na dole. A właśnie, muszę dokupić jeszcze kilka ręczników. Potrzebuje pani czegoś ze sklepu?

Potrząsnęła głową.

- Przywiozłam wszystko, czego mógłby potrzebować Kip na wypadek, gdyby... - urwała, szukając odpowiedniego słowa.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Dobrze, nie musi pani tłumaczyć - uciał ze zniecierpliwieniem. - Skąd miała pani wiedzieć, czy ojciec chłopca jest tak samo nieodpowiedzialny jak jego matka? Pytałem, czego potrzebuje pani, nie Kip.

Odwróciła wzrok. Prawda była taka, że wszystko co było jej potrzebne do szczęścia, miała pod tym dachem.

- Prawdę mówiąc, jest jedna rzecz... - zaczęła nieśmiało. - Myślałam, że zdążę wybrać się po prezent dla Kipa, ale kiedy znalazłam list Mariannę...

- Co to ma być? - uciał.

- Buty na grubej podeszwie. I kapelusz, najlepiej brązowy. On chciałby wyglądać tak jak pan.

Zane drgnął niespokojnie.

- Obawiam się, że mają w sklepie tylko żółte A jeśli chodzi o buty, R.J. musi je dopiero sprowadzić. Myślę, że da się to zrobić.

- W taką pogodę? - zdumiała się. - Myślałam, że taka burza może trwać nawet kilka dni.

Spojrzał na nią tak, że zmieszała się pod jego wzrokiem.

- Rzeczywiście, ale specjalne zamówienia przywożone są ciężarówką.

Mamy stąd świetne połączenie z Thorne Bay.

- Nie wiedziałam.

- Skąd mogła pani wiedzieć, jeśli jeszcze wczoraj me miała pani pojęcia o istnieniu Kaslit Bay?

mruknął. - Ale wciąż nie odpowiedziała pani na moje pytanie...

- Niczego nie potrzebuję, naprawdę. Zmarszczył brwi.

- Jeszcze nie spotkałem kobiety, która nie chciałaby niczego dla siebie i na dodatek tak poświęcała się dla cudzego dziecka.

To, co powiedział, zabolalo ją. Doskonale wiedział, że łączą ją z Kipem bardzo silne więzy. Czy tak jak jej rodzice nie pochwalal zbyt wielkiego przywiązania do chłopca, który nie jest jej synem? A może widzial w niej zdziwaczalą starą pannę? Boże, byle tylko nie zorientował się, jak wielkie wywarł na niej wrażenie...

- Nie musi się pan o mnie martwić - odparowała, próbując zachować spokój. - Może pan nie uwierzy, ale mam także własne życie. Teraz więc, kiedy Kip odnalazł ojca, mogę spokojnie wrócić do swoich spraw.

- Kłopot w tym, że nie wiadomo, czy nastąpi to tak szybko, jak by pani chciała.

Po tych słowach energicznie podniosła się z miejsca i szybkim krokiem wyszła z kuchni. Odprowadziło ją kpiące spojrzenie Zane'a.

Kip bawił się z Bestią w salonie. Kiedy wreszcie udało jej się namówić go na kąpiel, usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Od razu poczuła się swobodniej.

Zauważyła, że pluskanie się w ogromnej wannie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Zane'a sprawia małemu więcej radości niż kąpiel w domu. Może dlatego że wszędzie wokół znajdowało się mnóstwo męskich kosmetyków?

Bordowy szlafrok wiszący na drzwiach i leżące na półce przybory do golenia uparcie przywoływały jej na myśl ich szorstkiego właściciela, który wyraźnie dawał jej do zrozumienia, iż nie czuje do niej nic oprócz litości.

Sama wzięła kąpiel natychmiast, kiedy chłopiec wyszedł z wanny, po czym przebrała się w swoją starą czerwoną koszulę nocną z nieco wytartym kołnierzykiem i wysłużony szlafrok. Stroju dopełniły gigantyczne kapcie-króliki, które z każdym krokiem ruszały uszami. Identyczną parę miał na sobie Kip.

Kiedy wrócił gospodarz, oboje zajęci byli zabawą z Bestią. Pies z zapamiętaniem usiłował schwycić królicze ucho*

- Zane! - wykrzyknął zaaferowany chłopiec. -Bestia chce zjeść moje kapcie!

- Na jego miejscu chciałbym zrobić to samo. -Zane stanął w progu, z ojcowską dumą przypatrując się zabawie syna. Jill zdawało się nawet, że na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. - Hej, może przerwalibyście te harce i nakarmili głodnego człowieka, co? - odezwał się po chwili. - Jest prawie wpół do ósmej, już dawno powinienem być po kolacji.

Kip zerwał się z miejsca i podbiegł do ojca. W jednej chwili zapomniał o zabawie.

- Jilly wszystko przygotowała, a ja nakryłem do stołu!

Zane pochylił się i podniósł chłopca na rękę.

- Wszystko więc wskazuje na to, że ja będę musiał pozmywać.

- Pomogę ci - zaofiarował się Kip.

Potrafił być taki słodki. Jill zazdrościła jego ojcu prawa do takiej bliskości. Tak naprawdę zazdrościła im obu.

Podczas kolacji milczała, dając szansę Zane'owi i Kipowi poznać się jeszcze lepiej, a zaraz po tym, jak podała deser, wycofała się dyskretnie.

- Pójdę już do pokoju - powiedziała.

Zane doskonale wiedział, dlaczego tak się zachowała, i zdawał się być z tego zadowolony.

- Nowa pościel jest na werandzie - rzucił tylko obojętnym tonem.

Przez następne pół godziny obaj panowie zmywali naczynia, świetnie się przy tym bawiąc. Jill tymczasem musiało wystarczyć towarzystwo Bestii.

W salonie na parterze było ciepło i przytulnie, lecz na zewnątrz wciąż szalała wichura. Gdy Zane wziął prysznic, przekręcił klucz w zaniku i zgasił światła w całym domu, widać było wyraźnie, jak za oknem gną się drzewa i pędzą drobinki śniegu.

Kip wślizgnął się do łóżka, a tuż za nim pod kołdrę wsunął się pies i położył głowę na ramieniu chłopca. Ani Jill, ani Zane nie mieli serca go przeganiać.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Dobranoc, Zane - powiedział w ciemności Kip, wiedząc, że ten stoi wciąż na progu.
- Dobranoc. Śpij dobrze, Kip.
- Myślisz, że nasz samolot wkrótce przyleci?
- Nie wiem, ale nie myśl o tym teraz.
- Mam nadzieję, że nie przyleci.
- Dlaczego?
- Że nie przyleci nigdy i będziemy mogli zostać tu na zawsze!
- Naprawdę chciałbyś?
- Tak. Przed chwilą się o to pomodliłem. Jill wtuliła w poduszkę twarz mokrą od łez.
- W takim razie postanowione - powiedział Zane łagodnie. - Jutro nie przyleci.
- A co będziemy robić jutro? - dopytywał się chłopiec.
- Pojedziemy szukać choinki.
- Jilly, słyszysz? Musisz iść z nami!
- Ja chyba...
- Wszyscy pojedziemy - uciął krótko Zane, gasząc jej słaby sprzeciw.
- Zane, zostaniesz tu, dopóki nie zasnę? - znów odezwał się chłopiec.
- Chciałbyś? Właśnie zamierzałem to zrobić.
- Mógłbyś mi coś opowiedzieć?
- Pewnie. Słyszałeś historię o Kabloonie?
- Nie.
- Kabloona to był mały indiański chłopiec. Zgu-

261

bił się, kiedy załamał się pod nim lód. Wkrótce znalazł się na dalekiej Północy, gdzie zaprzyjaźnił się z niedźwiedziem polarnym. Był on tak ogromny, że Kabloona na początku pomylił go z górą lodową...

- Jilly widziała prawdziwą górę lodową, prawda, Jilly? - przerwał Kip. - I co było dalej?

Jill słuchała zafascynowana, czując, że mogłaby tak leżeć całą wieczność. Uspokajający ton głosu Zane wkrótce uspił chłopca, lecz na Jill podziałał wręcz odwrotnie. Z trudem powstrzymała się, aby nie poprosić o następną bajkę.

Nie zdążyłaby jednak tego zrobić, bowiem czar prysnął już w następnej chwili.

- Myślę, że wystarczy na dzisiaj bajek - powiedział Zane zmienionym głosem. - Możemy przejść do kuchni, pani Barton?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I oto nadeszła chwila, której obawiała się najbardziej. Wiedziała jednak, że tej rozmowy nie można dłużej odkładać. Czując, jak serce mocno łomocze w jej piersi, Jill podniosła się z łóżka, nałożyła szlafrok i kapcie, po czym podążyła pokornie za Zane'em.

Gdy znaleźli się w kuchni, zapalił górne światło i stanął przed nią w wyczekującej pozie. Na stole leżał list Mariannę. Jill doskonale rozumiała jego ból i rozgoryczenie, jednak cokolwiek by powiedziała, przedstawiłaby Mariannę w jeszcze gorszym świetle. List mówił bowiem sam za siebie.

Droga Jill!

Trudno jest mi o tym pisać, ale wczoraj w nocy Lyle poprosił mnie o rękę, a ja przyjąłam jego oświadczenia. Wiem, że stało się to bardzo szybko, jestem jednak pewna, że to mężczyzna, na którego czekałam. W związku z tym mam pewien kłopot. Otóż Lyle myśli, że Kip mieszka z ojcem. Nie mogę powiedzieć mu prawdy, bo wiem, że nie jest jeszcze przygoto-

wany na dziecko. Kiedy skończy się nasz miodowy miesiąc i wyjedziemy na stałe do Teksasu, spróbuję przekonać go, aby pozwolił Kipowi nas odwiedzić i wszystko się jakoś ułoży.

Wiem, nigdy nie rozmawiałam z tobą o jego prawdziwym ojcu. To moja wina. Prawda jest taka, że odkąd Kip się urodził, jego ojciec błaga mnie, abym pozwoliła mu na jakiś czas zabrać małego do siebie. Za każdym razem powtarzam mu, że głucha wieś na Alasce nie jest odpowiednim miejscem dla dziecka, więc jeśli chce się z nim widywać, musi przyjeżdżać-do Ketchikan.

Na szczęście w tym roku święta zbiegły się z naszymi małżeńskimi planami, a Kip jest na tyle duży, że dobrze zniesie pobyt z dala od domu, więc pozwoliłam, żeby ojciec zabrał go do siebie.

Niestety, Zane nie zadzwonił do mnie w sprawie dokładnej godziny przyjazdu, ale myślę, że będzie to około szóstej wieczorem. Jeśli się nie zjawi, to znaczy, że zatrzymała go pogoda. Wtedy z górnej szuflady w mojej szafce wyjmiesz dwa bilety na przelot do Kaslit Boy i wylecicie wcześniej rano.

Powiedz Kipowi, że musiałam wyjść do pracy, ale że Mikołaj przyniesie mu za to tatę pod choinkę. W Kaslit Bay na pewno będzie czekał Zane. Jeśli nie dotrze na czas, poproś właściciela sklepu, aby go zawiadomił. Potem możesz wracać do Ketchikan.

Chyba lepiej będzie, jeśli nie będzie mnie, kiedy

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Zane przyjdzie po Kipa, nie? Spakowałam jego rzeczy razem z prezentami. Są w dwóch dużych walizkach. W pierwszy dzień świąt zadzwonią do niego i powiem mu, że wyszłam za mąż. Kiedy będzie z ojcem, łatwiej przyjmie tę wiadomość, prawda?

Nie martw się o czynsz i jedzenie. Lyle zajął się wszystkim. Masz trzy miesiące na znalezienie nowej współlokatorki. Do końca stycznia postaram się zabrać resztę rzeczy.

Dzięki, Jill. Nieraz uratowałaś mi życie i teraz robisz to znowu. Dzięki tobie Kip nawet nie zauważy, że mnie nie ma.

Wesołych Świąt i baw się dobrze w Salem. Być może uznasz w końcu, że Harris jest twoim księciem z bajki

Twoja Marianne

- Przykro mi, że dowiedział się pan o istnieniu Kipa w taki sposób - wydusiła z siebie Jill. - Gdybym wiedziała o wszystkim wcześniej, nie dopuściłabym do tego, co się stało.

- Wiem - odparł. - Kiedy odkryła pani prawdę, nie chciała pani stawiać mnie w trudnej sytuacji. Była pani nawet gotowa ryzykować życie swoje i Kipa, decydując się na powrót. Ale ja postanowiłem nie wypuszczać was stąd, dopóki nie zaspokoje swojej ciekawości. Mówiłem już pani, że nie znam innego Zane'a Doyle'a w tej okolicy.

- Bez względu na wszystko, musiał to być dla pana szok.
- Nie mogę zaprzeczyć. Ale z drugiej strony, nawet cieszę się, że stało się to w ten sposób, Kip nie wie, kim jestem, więc zachowuje się wobec mnie naturalnie. Uniknęliśmy niezręcznych momentów, które zwykle towarzyszą takim sytuacjom. Co by nie mówić o Marianne, dała mi wspaniałego syna - wyszeptał wzruszony.
- Rzeczywiście, to kochany dzieciak... Jeszcze nie widział pan wszystkiego, co potrafi. - Uśmiechnęła się, ale natychmiast spoważniała.
- Dziwne jest jednak to, że pięcioletni chłopiec tylko raz wspomniał o swojej matce! - wybuchnął Zane. - Mam dwie siostrzenice i jestem święcie przekonany, że gdyby tu były, od godziny rozmawiałyby przez telefon z Brendą. Tymczasem mój syn łączy do każdego mężczyzny, który okaże mu odrobinę zainteresowania.
- Nie - zaprotestowała żywo - to nie tak. Zwykle jest bardzo nieśmiały, a szczególnie w stosunku do mężczyzn. Już pierwszego dnia w przedszkolu zorientowałam się, że nie ma przyjaciół i trudno jest mu nawiązać kontakt z rówieśnikami. Zaprzyjaźnił się z nim za to nasz dozorca. Pewnego dnia przyniósł do przedszkola swojego małego pieska i wyznaczył Kipa, aby się nim opiekował. To był świetny pomysł. Kip polubił swoje obowiązki, a inne dzieci nie od-

stępowwały go ani na krok. W ten sposób zaprzyjaźnił się z Robbie'em, choć na początku unikał jego ojca. Dopiero miesiąc temu pojechał z nimi do wioski indiańskiej obejrzeć wystawę totemów. Dzwonił do mnie stamtąd kilka razy. Twarz Zane'a stężała.

- A gdzie przez cały ten czas była Marianne?
- Pracowała.

W geście rezygnacji przejechał dłońmi po włosach.

- Zane, musi pan wiedzieć o czymś jeszcze - powiedziała Jill. - Marianne nigdy nie skrzywdziła Kipa. Myślę, że ona po prostu nie dorosła do roli matki, dlatego pozwoliła, aby jej obowiązki przejął ktoś inny.

Zane utkwiał w niej ciężki wzrok

- Dobrze chociaż, że miała pod ręką panią. Jill pospiesznie odwróciła wzrok.
- Dziękowałam Bogu, kiedy zobaczyłam pana przy samolocie. i
- A co by było, gdybym się nie zjawił?
- Już na początku postanowiłam, że wrócimy do Ketchikan, a ja zajmę się Kipem.

Z przejęciem potrząsnął głową.

- I pomyśleć, że od wczoraj powinienem być w Bellingham... W ostatniej chwili o jeden dzień przesunąłem wyjazd. Chyba też powinienem podziękować Bogu.
- Chyba tak. Opatrzność czuwała nad Kipem. Żeby pan wiedział, jaki był podekscytowany przed wyjazdem. Teraz obserwuję go i widzę, że od samego początku łączy go z panem jakaś dziwna więź.
- To rzeczywiście niesamowite. Ja też to odczuwam - przyznał pospiesznie. - Niech to licha, przez Marianne straciłem pięć lat z jego życia.

- Tak, wiem... - Nerwowo przygryzła wargę. - Ale teraz możecie nadrobić ten czas. Od tej pory będziecie już razem.

- To prawda... - Zamyślił się. - Jest jednak pewien problem: jeśli Kip zostanie ze mną, będzie musiał chodzić do przedszkola w Bellingham, a wtedy straci kontakt z panią. Nie wiem, czy będzie zachowywał się w stosunku do mnie tak samo, kiedy pani nie będzie w pobliżu.

Jill poczuła, jak coś ściska ją za gardło. Mimo wszystko zachowała całkowity spokój.

- To, co się dzieje między wami, nie ma nic wspólnego ze mną - odparła

- Nie byłbym tego taki pewien. On panią uwielbia.

- Ale to pan jest jego ojcem. Kiedy powie mu pan prawdę, po raz pierwszy w życiu poczuje się bezpiecznie. Ja jestem tylko jego nauczycielką.

- Nieprawda! Jest pani dla niego kimś o wiele więcej! Gdybym nie znał prawdy, pomyślałbym pewnie, że to pani jest jego matką.

- Ale nie jestem. Wie pan już, co powiedzieć, kiedy zadzwoni Marianne?

GWIAZDKA MŁOŚCI

Rzucił jej piorunujące spojrzenie.

- Nie mam ochoty z nią rozmawiać - powiedział dobitnie. - Mój adwokat się z nią skontaktuje. Przekáže jej, że zamierzam starać się o całkowitą opiekę nad Kipem. Ona otrzyma jedynie prawo do odwiedzin, o ile oczywiście będzie miała na to ochotę.

Jill zadrżała. Nie chciała by znaleźć się na miejscu osoby, która miałaby na własnej skórze doświadczyć wybuchu jego wściekłości.

- Jeśli już została pani wciągnięta w tę sprawę

- westchnął Zane - to powinna chyba pani znać prawdę o mnie i Mariannę.

- Nie musi pan niczego wyjaśniać.

- Wiem, że nie muszę. - Założył ręce na piersi.

- Myślę jednak, że powinienem. Tego, co nas łączyło, nie nazwałbym nawet romanssem. Poznałem ją w jaylriedy wraz z kilkoma przyjaciółmi i ich żonami wybraliśmy się na połowy łososia. Wynajęliśmy ją jako kucharkę. Wieczorami, kiedy byłem zmęczony grą w karty, przychodziła do mnie i opowiadała o swoich kłopotach. Była pierwszą kobietą od śmierci mojej żony, na którą zwróciłem uwagę. Podobała mi się. A może ujął mnie jej szkocki akcent?

Jill rozumiała go doskonale. Sama uwielbiała sposób, w jaki mówiła Mariannę.

- Pobyt na łódce nie sprzyja rozwojowi głębszych związków - ciągnął tymczasem Zane. - Spałem z nią jeden jedyny raz. Zabezpieczyliśmy się,

ale jak widać środki antykoncepcyjne czasem zawodzą. W tym przypadku na szczęście, bo inaczej nie byłoby Kipa - dodał z uśmiechem.

- Mariannę mieszkała wtedy w Craig. Zamierzałem polecieć do niej w następnym tygodniu, bo chciałem przekonać się, jak silne są moje uczucia, i pobyć z nią sam na sam, bez towarzystwa.

Jill doskonale wiedziała, że akurat w towarzystwie Mariannę czuje się jak ryba w wodzie, a bez niego usycha.

- Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że wyprowadziła się ze swojego mieszkania, nie zostawiając nowego adresu. Próbowałem ją odnaleźć, ale zniknęła bez śladu.

- Zupełnie tak samo jak wczoraj - szepnęła Jill. - Czy był pan już wtedy szefem swojej firmy?

- Nie. - Pokręcił głową. - Inaczej by nie zapomniała o mnie tak szybko. Teraz wiem, że szukała ustabilizowanego, bogatego faceta, który pomógłby jej wyrwać się z biedy. Nie byłem tym facetem. W każdym razie nie wtedy.

- Ale pan również o niej zapomniał...

- Odeszła niespodziewanie i bez jakiegokolwiek wyjaśnienia, więc moje uczucie umarło śmiercią naturalną. W sumie dobrze, że tak się stało, zanim zdążyłem poważnie się zaangażować. Właściwie nie pamiętałem o niej aż do dziś, kiedy Kip powiedział, że nazywa się Mongrief.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

A zatem Zane nie kochał Marianne. Kamień spadł z serca Jill. Wreszcie zdobyła się na odwagę, aby zadać mu najważniejsze pytanie:

- Kiedy więc zamierza pan powiedzieć Kipowi, że jest jego ojcem?

Nie doczekała się odpowiedzi, bo nagle oboje usłyszeli skrzypnięcie podłogi. Jill odwróciła głowę i zobaczyła stojącego w progu Kipa. Obok chłopca stał pies niczym najwierniejszy obrońca i towarzysz.

Kip podszedł do Jill i z ufnością wsunął w jej dłoń swoją małą rączkę.

- Czy Zane naprawdę jest moim tatusiem? - spytał, patrząc jej w oczy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jill w panice poszukała wzroku Zane'a, który skinął głową w ledwo zauważalny sposób. Uklękła, kładąc dłonie na ramionach dziecka.

- Jak długo tu stałeś? - spytała łagodnie.

- Nie wiem. Wiatr mnie obudził. To jak w końcu, czy Zane jest moim tatą?

- Tak - odparła drżącym głosem. - Cieszysz się? Zapadła cisza, którą przerywało jedynie wycie

wiatru za oknem. Twarz Zane'a stała się biała jak papier.

- Ale... on mnie chyba nie lubi, Jilly - szepnął chłopiec i wbił wzrok w podłogę.

Nerwowym gestem odgarnęła włosy z czoła. Była przekonana, że Zane usłyszał odpowiedź syna.

- Dlaczego tak uważasz, kochanie?

- Bo wczoraj powiedział, że nie ma dzieci.

- A czy pamiętasz, jak mówił, że jego żona umarła, zanim mogłaby urodzić mu dziecko?

- Tak.

- Widzisz, długo, długo po tym poznał twoją mamę... - urwała, przez chwilę zastanawiając się, co

wolno jej powiedzieć. - Pamiętasz opowieść o Kabloonie? Jak długo przebywał z dala od rodziny? To samo przydarzyło się tobie. Twój rodzice znali się bardzo krótko. Było to jeszcze przed tym, jak twoja mama przeprowadziła się do innego miasta. Nie wiedziała wtedy, że wkrótce przyjdiesz na świat. Tatuś szukał jej, ale nie mógł odnaleźć, tak jak tata Kabloona nie mógł odnaleźć swojego małego synka. Twój tata nie wiedział, gdzie jest twoja mama, nie wiedział nawet, że ty się urodziłeś. A potem mama dowiedziała się, gdzie mieszka twój tato i postanowiła wysłać cię do niego na święta.

Przerwała i popatrzyła na Kipa z miłością. Miała nadzieję, że to drobne kłamstwo będzie jej kiedyś wybaczone.

- Najciekawsze jest to, że Zane dopiero dzisiaj dowiedział się, że jest twoim ojcem - dokończyła z uśmiechem. - Nie powiedział ci o tym, bo bał się, że go nie polubisz.

- Przecież ja go kocham! - wykrzyknęło dziecko z rozbijającą szczerością.

- W takim razie pokaż, że tak jest naprawdę, synku

- odezwał się wzruszony Zane, rozkładając ramiona.

- Uwierz mi, że zawsze chciałem mieć takiego chłopca, jak ty - powiedział, kiedy Kip mocno objął go za szyję.

- Ja też cię kocham i nigdy się z tobą nie rozstanę. Jill dyskretnie wycofała się z kuchni. Uznała, że w takiej chwili ojciec i syn powinni zostać sami.

Wróciła do łóżka z przeświadczeniem, że Kip jest bezpieczny. Mariannę nie sprawdziła się w roli matki, ale teraz przy chłopcu był jego ojciec, gotów zawsze o niego walczyć. Ulga, która ją ogarnęła, była tak wielka, że Jill rozluźniła się wreszcie i wkrótce powieki zaczęły jej ciążyć.

Odwróciła się na bok i ułożyła wygodniej pod kołdrą. Jej myśli zaczęły teraz krążyć wokół matki chłopca. Mam nadzieję, Marianno, że zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś, westchnęła. Jeśli historia się powtórzy i obudzisz się z przekonaniem, że nie chcesz już być z Lylem, nie spodziewaj się, że będziesz mogła wrócić do syna. On nie jest już tym samym bezbronnym dzieckiem, które porzuciłaś...

- Jilly? Jilly? Śpisz?

- Cześć, maluchu - mruknęła zaspanym głosem, zerkając spod w półprzymkniętych powiek na zegarek.

Było dopiero w pół do siódmej, a wiatr za oknem był tak samo gwałtowny, jak w nocy. Pognieciona pościel leżąca na drugim łóżku wskazywała na to, że Zane w końcu ułożył chłopca do snu.

- Gdzie Bestia? - Usiadła z westchnieniem, odgarniając włosy z oczu.

- Tatuś mówi, że teraz jesteśmy rodziną. Bestia jest w moim pokoju.

Teraz będę musiał co rano go wyprowadzać.

Tatuś...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Z jaką łatwością przyszło Kipowi wymówić to słowo. Wspaniale, że obudził się w domu swojego ojca ze świadomością, że jest u siebie. I że już tu pozostanie.

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że kiedy była dzieckiem, stała obecność jej wspaniałego ojca wydawała jej się zupełnie naturalna. A Kip? Kip dopiero miał się uczyć kontaktów z tatą. Do tej pory nie znał bliżej żadnego dorosłego mężczyzny. Dla chłopca musiało być to szczególnie bolesne.

Na razie był zachwycony, choć zapewne nie miał jeszcze pojęcia o tym, jak bardzo zmieni się odtąd jego życie. Pewnego dnia, kiedy będzie trochę starszy, zrozumie, jak niezwykłym człowiekiem jest jego ojciec i jak wielkie spotkało go szczęście, że los pozwolił im się odnaleźć.

- Przygotujesz śniadanie, Jilly? Tatuś powiedział, że też lubi naleśniki.

Podniosła się, przeciągnęła, a pięć minut później, odświeżona i przebrana w dzinsy oraz ciemnozielony sweter, weszła do kuchni.

- Śniadanie na stole - zakomunikowała po kolejnych pięciu minutach swojemu pomocnikowi, który właśnie rozlewał sok pomarańczowy do szklanek.

- Zawołam tatę! - krzyknął z zapałem i wybiegł z kuchni.

Zane zjawił się natychmiast, trzymając Kipa na rękach. Był już ubrany i świeżo ogolony. Jill nie

mogła oprzeć się pokusie, aby na niego nie spojrzeć. Na tle kremowego swetra jego oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne.

Uderzyło ją, że on także uważnie jej się przygląda. Zatrzymał dłużej wzrok na jej złotych włosach, zawijających się lekko przy policzkach, a wówczas Jill zaczerwieniła się i poprawiła je z zakłopotaniem.

- Jestem głodny jak wilk. Mógłbym zjeść cały półmisek naleśników, a ty, kolego? - zwrócił się do Kipa.

Nawet nie zwróciła uwagi na to, co odpowiedział chłopiec. Choć Zane mówił do niego, ani na chwilę nie spuszczał oka z Jill.

Uciekła szybko wzrokiem i zajęła się nakładaniem naleśników na talerze.

- To co? Powiesz jej? - spytał Zane, kiedy siedzieli już razem przy stole.

- Zaraz, tato, niech przełknę... - Pokiwał głową malec.

- Co tam znowu wymyśliłeś? - Jill potargała go po czuprynie.

- Tatus i ja chcemy, żebyś z nami została - powiedział bez namysłu Kip.

- Jestem przecież.

- Ale my chcemy, żebyś z nami zamieszkała. Mogła się spodziewać, że prędzej czy później Kip

wpadnie na taki pomysł, nie sądziła jednak, że wyjawi go w obecności Zane'a, który z całą pewnością

GWIAZDKA MIŁOŚCI

byłby temu przeciwny. Spojrzała na niego przelotnie

- jego twarz przybrała nagle zagadkowy wyraz.

- Bardzo bym chciała, Kip, ale to chyba niemożliwe - powiedziała powoli, odkładając widelec.

- Nieprawda! Tatuś się z tobą ożeni! Powiedz jej, tatusiu...

Jill poczuła, że robi jej się słabo.

Tymczasem Zane poprawił się na krześle, po czym położył dłoń na ramieniu syna i powiedział spokojnym, pewnym głosem:

- W nocy wszystko ustaliliśmy. Potrzebujemy kobiety, która zaopiekowałaby się nami. Wiem, że nie jestem ideałem, ale wciąż pracuję nad sobą, no a Kip...

- Tatuś zamieszka z nami w Ketchikan, dopóki nie skończę przedszkola - dokończył szybko chłopiec, nie chcąc zwlekać dłużej z przedstawieniem sedna sprawy.

- PoteiÅ kiedy nie będziesz musiała już tam pracować, przeprowadzimy się wszyscy tutaj.

- Chyba że nadal będzie pani chciała pracować jako nauczycielka - przerwał mu ojciec. - Wtedy spróbuję znaleźć pani posadę w Thorne.

- Tatuś powiedział też, że będę mógł pojechać z wami w podróż poślubną. Będziemy oglądać lodowce... I morsy, i foki, i niedźwiedzie polarne...

- Sama więc pani widzi. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. W tej sytuacji musi pani tylko powiedzieć „tak”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Serce Jill biło jak oszalałe.

Żaden zdrowo myślący mężczyzna nie oświadcza się kobiecie po dwudziestu czterech godzinach znajomości, myślała. Zane Doyle był jedną z najrozsądniejszych osób, jakie poznała, więc jego decyzja została z całą pewnością przemyślana.

I podyktowana szczerą troską o szczęście syna. Niczym więcej.

Tak, zaznał miłości ze swoją pierwszą żoną i na pewno nie oczekiwał nowego uczucia. Związek z Jill byłby najzwyczajszym małżeństwem z rozsądku, idealnym rozwiązaniem w tej akurat sytuacji. Zane zyskałby gospodynię domową, dając jej obrączkę i nazwisko. Jako żonaty mężczyzna miałby także większe szanse na otrzymanie zgody na opiekę nad dzieckiem.

Cóż, doskonale wiedział, jak bardzo Jill kocha jego syna i zamierzał skrzętnie to wykorzystać. W jego oczach powoli wkraczała w okres staropanieństwa, więc swoją propozycję traktował zapewne jako propozycję nie do odrzucenia. Uznał, że ów misternie

obmyślony plan będzie korzystny dla całej trójki, i śmiało dążył do jego realizacji. Był przekonany' że Jill podskoczy ze szczęścia, słysząc te niespodziewane oświadczenia.

I nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się mylił. Jill była dotknięta do żywego. Nikt jeszcze tak jej nie zranił. Pomimo uczucia, jakim darzyła chłopca, postanowiła odmówić. Wiedziała, że musi zrobić to natychmiast, zanim pokusa pozostania z Zane'em Doyle'em pod jednym dachem, nawet za cenę upokorzenia, okaże się silniejsza.

- Wiem, kochanie, że tego pragniesz - zwróciła się do Kipa. - Ale ja nie mogę wyjść za twojego tatę. Widzisz... Kocham innego mężczyznę.

- Mówisz o tym dentyście?

Uśmiechnęła się. Chłopiec był całkiem nieźle zorientowany, w jej sprawach sercowych.

- Tak, czeka na mnie w Salem

- Mówiłaś, że jest tylko przyjacielem.

- To prawda, tak mówiłam. Ale Harris jest mi bardzo bliski i...

I mimo wszystko Kocham go na swój sposób, dokończyła w myślach.

Może nie tak, jak powinnam, ale to moja sprawa. Nie muszę przecież od razu za niego wychodzić. Po tym, jak poznała Zane'a Doyle'a, wiedziała, że poślubi tylko kogoś, kto robi na niej równie mocne wrażenie. Tylko czy są poza nim tacy mężczyźni?

- Posłuchaj... - Spojrzała na chłopca, który wciąż patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. - Ty i ja zawsze będziemy przyjaciółmi. Do czerwca zostanę w Ketchikan, więc będziesz mógł mnie odwiedzać.

- Ale my chcemy, żebyś była z nami przez cały czas, prawda, tatusiu?

- Tak - poparł go ojciec. - Kiedy twoja pani spędzi z nami trochę więcej czasu, to może pokocha nas bardziej niż tamtego dentystę. Zresztą, dentyści zazwyczaj są nudni.

- Dlaczego? - zainteresował się Kip.

- Przez cały dzień zaglądamy ludziom w zęby, słuchając przy tym maszyny do borowania. Wciąż te same bodźce.

Chłopiec pokiwał głową, nie do końca zadowolony z wyjaśnienia, a Jill uśmiechnęła się nieznacznie. Była dokładnie tego samego zdania, lecz w tej chwili nie przyznałaby się do tego za nic w świecie.

- Ale wszyscy się ich boją - podjął temat Kip.

- A co mają robić?

- Dajcie spokój - przerwała poważnie Jill. - To tak samo ważny zawód, jak każdy inny.

- Oczywiście - mruknął Zane. - Nikt tego nie neguje. Chciałem tylko powiedzieć, że osobiście wolę obcować z przyrodą, obserwować topniejące lody na wiosnę i kolorowe liście na drzewach jesienią. A latem podziwiać soczyste zielone lasy i wdychać cudowny zapach wiatru i deszczu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Kusił ją, kusił podstępnie i z wyrachowaniem. Zacisnęła mocno powieki, lecz i tak stanął jej przed oczami wspaniały krajobraz Alaski - taki, jaki zobaczyła, kiedy przyjechała tu po raz pierwszy.

- Nie martw się, synu, kobiety zmieniają zdanie częściej niż mężczyźni - usłyszała głośny szept Zane'a.

- Więc przekonaj ją, tato - odparł Kip, pełen wiary w ojca.

- Właśnie to zamierzam zrobić.

- Może na razie pójdziecie po choinkę? - zaproponowała Jill, by wybrnąć jakoś z tej niezręcznej sytuacji. Była coraz mniej pewna, że jest w stanie oprzeć się urokowi Alaski, a przede wszystkim urokowi Zane'a Doyle'a.

- A ty? - spytał Kip.

- Ja w tym czasie posprzątam.

- Nie ruszymy się bez pani - zaprotestował z uśmiechem Zane. - A porządek zrobimy razem.

- Gdzie jedziemy? - spytał Kip po dziesięciu minutach drogi.

- Jesteśmy prawie na miejscu - odparł Zane, skręcając w ukrytą między drzewami dróżkę. - Nasze drzewko gdzieś tutaj się schowało.

- Naprawdę?

- Tak. Każde drzewo ma jakieś zadanie. To, o którym myślę, ma zostać naszą choinką. Rośnie tutaj od wielu, wielu lat. Najpierw było małe i cie-

niutkie. Wyglądało pewnie tak samo jak ty, kiedy się urodziłeś. Czeka na ciebie i nie może się doczekać, kiedy je odnajdziesz.

Chłopiec roześmiał się, a Jill poczuła gwałtowne ukłucie w sercu.

- Obserwowałem je, jak rośnie, staje się coraz bardziej potężne, coraz bardziej srebrzyste...

- Srebrzyste? - Kip nie posiadał się ze zdumienia. - Przecież choinki są zielone.

Zane i Jill jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

- Ale nie wszystkie - zapewnił chłopca ojciec.

- Jilly? - szepnęło dziecko. - Czy widziałaś kiedyś srebrną choinkę?

Podniosła głowę, patrząc na Zane'a. Zelektryzowało ją ciepłe spojrzenie błękitnych oczu. Zakochałam się, pomyślała. Jestem tego pewna. Jak to możliwe, że stało się to tak szybko?

- Chyba widziałam - odparła z wahaniem. - Twój tata mówi o pewnej odmianie zwykłego świerku. Srebrny świerk to najbardziej eleganckie drzewko na święta. Pamiętam, jak moja rodzina marzyła co roku, żeby takie mieć, lecz za każdym razem musiała zadowolić się zwykłym.

- Mama i ja nigdy nie mieliśmy choinki. Są strasznie drogie. Ale Jilly dała nam kiedyś taką malutką, sztuczną, pamiętasz, Jilly?

Tym razem Zane poszukał jej wzroku. W jego oczach pojawił się ból.

- Pomyśl więc, jakie masz szczęście, że twój tato wie, gdzie ich szukać - powiedziała Jill z udawaną wesołością. - Zobaczysz, jak dzięki niej będzie w domu pięknie pachniało!

Twarz Zane'a rozjaśniła się po tych słowach.

- Poczekajcie, wyjmę tylko piłę z samochodu - powiedział. - Zresztą, jak chcecie, to wysiadajcie już i idźcie szukać naszego drzewka.

Zostawiając ślady stóp na świeżym śniegu, Jill poczuła się tak, jakby wkraczała do magicznego świata. Ogromne sosny stojące ciasno jedna obok drugiej broniły ów świat przed wiatrem, panowała więc w nim niezwykła, błoga cisza. Kroczyli ostrożnie, miękko zapadając się w śnieg. Nawet Bestia poruszał się bezszelestnie.

Nagle ich oczom ukazał się skarb, którego szukali. Pomiedzy drzewami cedrowymi stał wspaniały trzymetrowy świerk. Wyglądał dokładnie tak, jakby wyjęto go z filmu Disneya. Jill wydawało się nawet, że za chwilę wynurzy się zza niego Jelonek Bambi.

Nastrojową ciszę przerwał okrzyk Kipa:

- Ale on wcale nie jest srebrny!

- Ależ jest, w porównaniu z innymi drzewami -przekonywał go Zane. - Przyjrzyj się pozostałym świerkom. Widzisz różnicę?

Chłopiec w skupieniu przypatrywał się gałęziom gęsto pokrytym igłami.

- Tak! - wykrzyknął po chwili. - Nasz naprawdę jest najpiękniejszy!

- Zobacz, jakie ma równe gałązki.

- A czy on umrze, jeśli go zetniemy?

- Niestety tak.

Kip spojrział z wahaniem na Jill.

- Myślisz, że powinniśmy zabić to drzewko?

- To zależy od ciebie.

- Jeżeli je zetniemy, to nie będzie go z nami w następne Boże Narodzenie, prawda?

Zane skinął głową.

- A za rok urosłoby jeszcze większe?

- Tak.

- To w takim razie może nie musimy go ścinać? Jill dojrzała, jak Zane odwrócił wzruszoną twarz.

- Nie - szepnął.

- Uff, to dobrze. Chciałbym, żeby tu rosło do czasu, aż będę taki duży, jak ty!

- Świetny pomysł - rozpogodził się Zane. - Pewnego dnia pokażesz je swoim dzieciom.

- Wtedy będzie ogrrrromne!

- Wiesz co, Kip? Kilka kilometrów stąd widziałem powalone drzewo.

Odrąbiemy górną część i zabierzemy ją do domu, co ty na to?

Dziwnym trafem Jill w drodze do lasu pomyślała o tym samym. Już wcześniej przeczuwała, że pozornie twardy i stanowczy Zane jest w istocie człowiekiem wrażliwym i czułym, podobnie jak jego

syn. Teraz była tego całkowicie pewna. Czy rozumiałaby się z nim tak dobrze, jak rozumiała się z jego synem? Czy kochałaby go równie mocno, choć rzecz jasna inną miłością?

Och, na pewno! Całe życie szukała kogoś takiego jak on. Gdyby tylko spotkała go w innych okolicznościach.

Wbrew wcześniejszym postanowieniom i wbrew zdrowemu rozsądkowi, zaczęła się nagle zastanawiać, czy propozycja małżeństwa, jaką złożył jej ten mężczyzna, wynika z czegoś więcej niż z wyrachowania. Być może Zane także jest nią zafascynowany? Czy gdyby pięć lat temu to ona była na miejscu Marianne, również próbowałby ją odnaleźć? Czy chciałby z nią zostać?

Postanowiła nie myśleć o tym dłużej, a już pewnością nie poruszać w rozmowie tego tematu. Teraz najważniejsze było to, aby nic nie zamięliło radości Kipa.

Jeszcze przed obiadem Zane zdążył zrobić drewniany stojak. Ponieważ jednak święta miał spędzić w Bellingham, w domu nie było żadnych ozdób ani światełek. Jill zaproponowała, żeby po południu zrobili wycieczkę do sklepu, na co Zane przystał chętnie, uznawszy, że w czasie kiedy Jill i Kip będą robić świąteczne zakupy, on dokończy malowanie ścian w sypialni na piętrze.

Trzymając w dłoni kilka dwudziestodolarowych banknotów, Jill zamknęła drzwi ciężarówki. Schowała pieniądze do kieszeni, przekręciła klucz w stacyjce i już miała ruszać, kiedy Zane lekko zapukał w szybę.

- A pieniądze? - spytał, gdy ją odsunęła.

- Mam. - Poklepała się po kieszeni kurtki.

- Weź więcej. - Wsunął głowę do kabiny i położył przy kierownicy niewielką portmonetkę. - Na wszelki wypadek.

Jill zeszywniała. Usta Zane'a znalazły się niebezpiecznie blisko jej twarzy. Nie mogła teraz myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, aby go pocałować.

- Wiesz, co masz kupić? - zapytał, nie cofając głowy, a ona dopiero teraz zauważyła, że on także nie może oderwać wzroku od jej warg.

Wreszcie Kip stracił cierpliwość i wcisnął się między Jill i kierownicę.

- No dobra, jedziemy! Będziesz tu, tatusiu, kiedy wrócimy?

Spojrzeli po sobie, rozumiejąc się bez słów. Oboje wiedzieli, że to lęk przed porzuceniem każe dziecku zadać to pytanie.

Zane obszedł samochód i otworzył drzwiczki z drugiej strony.

- Wiesz, kolego, pomyślałem, że ściany mogą przecież poczekać - powiedział, zajmując miejsce obok syna.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jak to?

- Tak to. Strasznie pusto byłoby w domu bez was. Jedziemy razem!

Jill spojrzała na niego mimowolnie. Zane patrzył na nią w taki sposób, że przez jej ciało przeszedł niepokojący dreszcz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kip czym prędzej pobiegł na górę.

- Dobrze, tatusiu! Już idę!

Gdy tylko zniknął, Jill ułożyła pod choinką swoje prezenty. Domyślała się, że Zane dołoży przynajmniej drugie tyle, kiedy Kip pójdzie spać.

Widziała, jak korzystając z nieuwagi chłopca, wychodzi ze sklepu obładowany kolorowymi pakunkami.

Usiadła w fotelu i z bijącym sercem czekała na pojawienie się Zane'a.

Choinka była już gotowa. Rozwieszenie bombek i lampek zajęło im całe popołudnie i wieczór. Kip sam zrobił łańcuchy z papieru od pani Ross i ani na chwilę nie oderwał się od pracy. Zaopatrzenie sklepu w ozdoby choinkowe było dosyć skromne, więc musieli wykorzystać tylko to, co mieli pod ręką. Puszka metalicznej farby używanej do malowania łodzi nadała srebrnego połysku szyszkom wychylającym się spomiędzy gałęzi, zaś z błyszczącego papieru znalezionej na strychu Kip wyciął gwiazdę, którą Jill umieściła na czubku drzewka.

Teraz siedziała z podkulonymi nogami i z rozma-

rzeniem przyglądała się wspólnemu dziełu. Kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Zane, niosąc na ręku Kipa, spuściła nogi na podłogę i wyprostowała się odruchowo. Obiecała sobie, że nawet nie spojrzy w jego stronę. Nie pozwoli, aby zapanował nad jej myślami i pragnieniami. Jednak kiedy przeszył ją elektryzujący błękit jego oczu, jej mocne postanowienia rozplynęły się jak we mgle.

- Piękna choinka, prawda, tatusiu?

- Cudowna!

- Jill namalowała wszystkie wzorki!

- Coś ci powiem, kolego - westchnął Zane, uważnie przyglądając się dekoracjom. - Wcale się nie dziwię, że twoją panią kochają wszystkie dzieci.

- Ale ja kocham najbardziej!

- A powiedziała ci już, że z nami zostaje?

To było ostatnie pytanie, jakiego się spodziewała. Kip pokręcił głową i natychmiast popatrzył z nadzieją na Jill. Kolejny cios poniżej pasa.

Zacisnęła wargi i ruszyła ku drzwiom. Wiedziała, że musi wyjść stąd jak najszybciej.

- Gdzie idziesz, Jilly? - zapytał chłopiec.

- Wyprowadzę psa - rzuciła, szybkim krokiem wychodząc z pokoju.

Wiatr był tak gwałtowny, że musiała niemal uwiesić się na klamce, aby otworzyć główne drzwi. Bestia prześliznął się przez wąską szparę i wybiegł z radością na śnieg.

Szła przed siebie, czując, że nie potrafi uporządkować myśli. Ku swojemu przerażeniu odkryła, że tak naprawdę cieszy ją propozycja Zane'a. Było oczywiste, że go pragnie. Nigdy wcześniej nie podejrzewała, iż jest zdolna do tak gwałtownych uczuć.

Przyspieszyła kroku, starając się zagłuszyć natrętne myśli, lecz nagle czyjeś silne ręce chwyciły ją za ramiona.

- Dlaczego nie odpowiadasz, kiedy cię wołam? - Zane mocno przyciągnął ją do siebie.

- Nie słyszałam... - odparła zaskoczona, z trudem łapiąc oddech.

- To dlaczego biegłaś? - Przycisnął ją jeszcze mocniej, tak że przez gruby materiał kurtki poczuła ciepło jego ciała.

- Chciałam coś przemyśleć.

- Przecież mogłaś iść na górę, zamiast szukać przygód na dworze! - Pod maską złości krył się niepokój. - Tu naprawdę jest niebezpiecznie!

- Bestia jest ze mną...

- Gdyby zaatakowało cię stado wilków, pomoc Bestii na nic by się nie zdała. Wiesz, co zrobiłby Kip, gdyby coś ci się stało?

- Zane, przepraszam. Nie chciałam...

Nie pozwolił jej skończyć. Przygarnął ją do siebie i zamknął usta gorącym pocałunkiem. W zupełnym oszołomieniu Jill rozchyliła wargi, westchnęła, zarzuciła mu ramiona na szyję. Czuła, że powinna go

powstrzymać, ale nie była w stanie tego zrobić. Dopiero kiedy usłyszała cichy jęk rozkoszy, który dobył się z jego ust, odzyskała panowanie nad sobą.

Zażenowana swoim zachowaniem, oderwała usta od jego warg.

Zaprotestował, zupełnie nie przygotowany na taką reakcję. Czerwona ze wstydu i wściekła na samą siebie, ruszyła z powrotem w stronę domu, modląc się w duchu, aby zdołała tam dotrzeć przed Zane'em.

Jak burza wpadła do środka i czym prędzej pobiegła do łazienki, zamykając drzwi od środka.

- Jill, wszystko w porządku? - zatroszczył się Kip.

- Tak, kochanie, nie martw się - odparła. - Zaraz wychodzę.

- Tatusiu, czy Jill źle się czuje? - zapytał chłopiec, kiedy w przedpokoju rozległ się odgłos otwieranych drzwi.

- Nie. Trochę zmarzła i musi się ogrzać. Pozwólmy jej wziąć gorącą kąpiel, a ja w tym czasie opowiem ci bajkę.

Jill stała oparta plecami o drzwi. Przydałby jej się raczej lodowaty prysznic, a nie gorąca kąpiel. Zane'owi także. Czy tak właśnie zabierał się do Marianne?

Po czterdziestu minutach, w ciągu których zdążyła wykąpać się i przebrać w koszulę nocną oraz szlafrok, postanowiła wreszcie wyjść z ukrycia.

Zabarykadowanie się za drzwiami i tak nic nie da. Zane jest tu wszak gospodarzem, a ona tylko gościem. Nie może chować się w jego łazience bez końca.

W salonie panowała błoga cisza. Kip spał z Bestią na piersi, Zane'a na szczęście nie było. Prawdopodobnie zabrał się do malowania ścian na piętrze.

Zgasiła światło i wśliznęła się po cichu pod kołdrę.

- Jill? - usłyszała po chwili i zamarła. - Nie bój się, nie zamierzam cię napastować - Zane zniżył głos w ciemności, aby nie obudzić Kipa. - Chcę tylko położyć pod choinką kilka prezentów.

- Wcale się nie boję.

- Akurat.

- Posłuchaj, Zane. Wydaje mi się...

- Nie zamierzam cię przeproszać za to, co się stało - przerwał jej szybko. - Oboje tego chcieliśmy i dobrze o tym wiesz. Prawda jest taka, że gdybyś naprawdę kochała tego Harrisa, byłabyś teraz w Salem, a nie tutaj. Sądząc zaś po tym, jak zareagowałaś na nasz pocałunek, jestem pewien, że nigdy z nim nie będziesz. Tak więc nie tłumacz mi, że nie możesz wyjść za mnie ze względu na niego.

Zane był z nią szczery, szczery aż do bólu, uznała więc, że najlepiej zrobi, jeśli odpłaci mu tym samym.

- Masz rację - odparła z rozmysłem. - Nie kocham Harrisa, co wcale nie znaczy, że wyjdę za męż-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

czynę, którego znam zaledwie dwa dni. I nieważne jest ani to, jak bardzo mnie ten mężczyzna pociąga, ani to, jak bardzo Kip potrzebuje matki.

- Mam nadzieję, że jednak weźmiesz to pod uwagę - odparł. - Zwłaszcza to pierwsze. Możesz robić, co chcesz, ale pamiętaj, że kości zostały rzucone.

Jego ostrzeżenie przeraziło ją. Długo po tym, jak odszedł, nie mogła zmrużyć oka. Noc zdawała się nie mieć końca, a wiatr przez cały czas natrętnie dobijał się do okna.

Z oczu Jill popłynęły łzy. To mogłoby być jej życie. Jej chłopiec...

I jej mężczyzna.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Wesołych Świąt, tatusiu!

Kip podbiegł radośnie do ojca z prezentem, który zrobił dla taty jeszcze w przedszkolu. Sam ubrany był w strój, który dostał od Jill, a także w kapelusz i buty od Zane'a. Na jego wąskim nadgarstku błyszczał dumnie dziecinny zegarek - kolejny upominek, który chłopiec znalazł pod choinką.

Zane odpakował ostrożnie gipsową tabliczkę przedstawiającą odcisk prawej rączki chłopca, a wtedy Jill dostrzegła kątem oka łzę, która ukradkiem spłynęła spod powieki obdarowanego.

- Zrobiłem jedno dla ciebie, a drugie dla Jill! -pochwalił się malec.

- To najpiękniejszy prezent, jaki mogłeś mi dać - wyszeptał Zane drżącym głosem i przytulił serdecznie synka do siebie.

Jill uśmiechnęła się, wstając z miejsca, po czym założyła piękny niebiesko-biały sweter ze skandynawskim wzorem - prezent od Zane'a.

- Jest śliczny. - Przejechała dłonią po mięciutkiej

GWIAZDKA MIŁOŚCI

węlnie. - A to... - schyliła się i wyjęła spod choinki kolejną paczkę - ode mnie.

Zane popatrzył na nią zaskoczony.

- Ja otworzę! - zaofiarował się Kip i nie czekając na zgodę, rozerwał papier. Ostrożnie zdjął wieczko z pudełka i aż westchnął ze zdumienia. - O! To mój portret! Mama ma drugą część...

Rzeczywiście, był to naturalnej wielkości profil Kipa w srebrnej oprawie. Pod nim leżały oprawione w folię przedszkolne prace chłopca.

Zane spojrzał na Jill z wdzięcznością.

- Kiedy byłam małą, moja mama zbierała wszystkie moje rysunki i wyklejanki - powiedziała. -Pomyślałam, że ty też się ucieszysz, jeśli zobaczysz, jak zdolny jest twój syn.

W odpowiedzi ścisnął tylko jej ramiona, jakby bał się ujawniać przed dzieckiem pełnię swoich uczuć. Jill wiedziała jednak, że Zane jest bardzo poruszony.

- Tatusiu... - Kip pociągnął go za rękaw - Popatrz na te!

Jill z trudem powstrzymała łzy, patrząc na całą serię rysunków przedstawiających Paula Bunyana. Niektóre wykonał kredkami, inne kredą, a jeszcze inne farbami.

- Widzisz te psy? To Księżę i Król... Teraz muszę jeszcze dorysować Bestię. Jill, masz kredki?

- Niestety, kochanie - odparła łamiącym się ze wzruszenia głosem - nie mam.

- Mam żółty flamaster w biurku - odezwał się Zane. - Może być?

- Pewnie!

- To pójde go poszukać.

- Nie, ja to zrobię. - Jill postanowiła skorzystać z pretekstu i wyjść z pokoju. Nie czekając na odpowiedź Zane'a, pobiegła do jego gabinetu i zaczęła po omacku przeszukiwać szuflady.

- Jill?

Odwróciła się i w tej samej chwili Zane chwycił ją w ramiona. -

- Boże, nie wiem, jak ci dziękować. - Nieświadomy swojej ogromnej siły, wzmocnił uścisk. - To było...

- Już mi podziękowałeś, przyjmując Kipa w taki sposób - szepnęła. - To dziecko zasługuje na wspianego ojca. Ty nim jesteś.

Objął dłońmi jej twarz, patrząc jej prosto w oczy.

- Jill... - zaczął, ale w tej właśnie chwili rozległ się dzwonek telefonu.

Na twarzy Zane'a pojawił się grymas niezadowolenia. Liczył się z tym, że w każdej chwili może odezwać się Mariannę. Jill także miała to na uwadze, dlatego najchętniej wyszłaby z pokoju, nie chcąc być świadkiem ich rozmowy.

Cóż, spełniła już swoje zadanie. Kip odzyskał ojca, ten zaś przyjął go z otwartymi ramionami. Teraz trzeba czym prędzej wyjechać z Kaslit Bay i zacząć układać swoje życie od nowa. Niestety.

Zane podniósł słuchawkę, jednak wciąż nie wypuszczał Jill z objęć.

- Wesołych Świąt, Marianne! Dziękuję za prezent. ..

Jill nie chciała słuchać tego dłużej, więc wyszarpnęła się gwałtownie i unikając wzroku Zane'a, wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Czy to mama? - spytał Kip, podnosząc głowę znad rysunków.

- Tak. - Usiadła obok niego i podała mu flamaster. - Zaraz tata poprosi cię pewnie do telefonu. Złożysz mamie piękne życzenia, dobrze? A teraz pokaż, gdzie chcesz dorysować Bestię.

Po piętnastu minutach w salonie pojawił się Zane. Kip pobiegł do telefonu, a Jill wyszła do kuchni i zabrała się do pieczenia

cynamonowych ciasteczek. Zostali zaproszeni do Rossów na świąteczny obiad, więc nie wypadało jej zjawić się tam z pustymi rękami. Rossowie spędzali tegoroczne święta samotnie, dlatego kiedy dowiedzieli się, że Zane odnalazł syna, a właściwie syn odnalazł Zane'a, nalegali, aby to uczcić.

Zane z zadowoleniem przyjął ich zaproszenie, co bardzo ucieszyło Jill.

Zamierzała na osobności poprosić Rossa, aby nazajutrz odwiózł ją do Thorne. Nie chciała uprzedzać Zane'a o wyjeździe. Wolą po prostu zniknąć. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, po południu będzie już w Salem. Im więcej

bowiem czasu spędzi w towarzystwie tego mężczyzny, tym trudniej będzie jej myśleć o rozstaniu.

Kiedy wkładała do piekarnika ostatnią porcję ciasteczek, za plecami poczuła jego obecność. Odwróciła się, spojrzała mu w oczy i od razu się domyśliła, że stało się coś ważnego.

- Mariannę zrzeka się opieki nad Kipem - zaczął, wzdychając ciężko.

- Co na to Kip? Rozmawiałeś już z nim?

- Tak. Nadzwyczaj spokojnie przyjął wiadomość o jej małżeństwie.

Powiedział nawet, że fajnie będzie odwiedzić ją czasem na ranczo. Nie wygląda na to, żeby za nią tęsknił.

- Myślałam, że ucieszy cię taki obrót sprawy.

- Cieszę się, pewnie.

- Więc o co chodzi?

- Widzisz, zastanawiam się właśnie, jak to możliwe, aby dwie kobiety tak bardzo różniły się od siebie. Mariannę urodziła dziecko, ale nie rozwinął się u niej instynkt macierzyński... W przeciwieństwie do ciebie.

- Och - Jill machnęła z lekceważeniem ręką -przesadzasz, Zane. Wiele kobiet doskonale sprawdza się w roli matek. Te, którym się to nie udaje, prawdopodobnie we własnych domach nie miały właściwych wzorców.

Powinieneś być wdzięczny Mariannie, że przysłała Kipa do ciebie. W głębi duszy na pewno wiedziała, że można powierzyć ci dziecko.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Tym razem wykazała się rozsądkiem, niezależnie od tego, ile błędów popełniła w przeszłości.

A największym z nich było to, że odrzuciła uczucie najwspanialszego człowieka pod słońcem, dodała w myślach.

- Czy twoi rodzice żyją? - spytała, by zmienić temat. - Czy Kip ma dziadków?

Skinął głową.

- Wiadomość, że mam syna, odmłodzi ich o kilkanaście lat.

- Chciałabym to widzieć - wyrwało się jej, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Nic nie stoi na przeszkodzie. - Zane uśmiechnął się tryumfująco. -

Miałem to nawet w planach.

Nie odpowiedziała, więc postął jeszcze obok niej w milczeniu, a potem rzucił:

- 'Dobrze, nie przeszkadzam. Kończ szybko i wracaj do salonu.

Ledwo zniknął, Jill sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej notes i pióro.

Nadarzyła się idealna sposobność, aby napisać list, który mieli znaleźć następnego dnia rano.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co się stało, Jill? Zmieniłaś się od naszego ostatniego spotkania.

- Przepraszam, Harris. Wiem, popsułam ci święta... Ale przecież ostrzegałam, że nie jestenx.w najlepszym nastroju.

- Kto to jest?

- Wolałabym nie rozmawiać na ten temat. Harris uderzył pięścią w kierownicę.

- Zamierzasz za niego wyjść?

Gdyby zadał jej to pytanie dzień po świętach, odpowiedziałaby „nie”.

Tymczasem od wyjazdu z Kaslit Bay minął tydzień - najbardziej pusty i męczący tydzień w jej życiu - i teraz Jill już wiedziała, że gdyby tylko pojawił się Zane, zrobiłaby dla niego wszystko, o cokolwiek by poprosił. Niestety, na razie nie miała żadnej wiadomości ani od niego, ani od Kipa. Przeczowała jednak, że chłopiec nie wróci więcej do Ketchikan. Och, jak bardzo teraz żałowała, że udało jej się namówić Rossa na odwiezienie ją do Thorne.

Próbowała do nich zadzwonić. Wiele razy pod-

chodziła do telefonu i podnosiła słuchawkę, lecz zawsze brakowało jej odwagi, aby wykręcić numer. Poza tym Zane miał teraz na głowie wiele spraw, a jego życie zmieniło się całkowicie. Uznała, że nie ma prawa zakłócać spokoju jemu i jego synkowi. Sam fakt, że Kip nie dzwoni, świadczył o tym, że jest mu z ojcem bardzo dobrze.

- Do licha, Jill, zadałem ci pytanie! Zaciśnęła powieki. Nie знаła Harrisa od tej strony.

Jego złość potęgowała w niej poczucie przegranej.

- Wybacz, Harris, ale nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Wiem tylko jedno: musimy się rozstać. Przepraszam... - rzuciła jeszcze, po czym otworzyła drzwi samochodu i wysiadła.

- Jill !

- Przykro mi - wzruszyła ramionami - ale tak naprawdę będzie lepiej. Harris cierpiał, lecz przecież nie mogła mu pomóc. Ona sama cierpiała o wiele bardziej.

Ruszyła wolno w stronę domu. A więc przegrałam wszystko, myślała. Wszystkie mosty zostały spalone. Co gorsza, praca w przedszkolu nie cieszyła już jej tak jak wcześniej i coraz częściej myślała o tym, żeby zrezygnować z posady.

- Nareszcie...

Znieruchomiała, usłyszawszy ten głos. Odwróciła się szybko i ujrzała mężczyznę, który co noc nawiedzał ją w snach. Teraz stał przed nią we własnej

osobie, realny i żywy. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę, krawat...

- Zane! - wykrztusiła zdumiona.

- Widzę, że nie zapomniałaś jeszcze, jak mam na imię. Nieźle jak na początek.

W jego głosie wyczuła złość pomieszana z radością. Oparła się o mur, czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

- Co ty tu robisz? Gdzie Kip?

- U moich rodziców w Bellingham. Rzecz jasna, wolałby być tu z nami, ale powiedziałem mu, że tym razem to służbowy wyjazd.

Serce Jill zabiło mocniej, poruszone przebłyskiem nadziei.

- W każdym razie przesyła ci pozdrowienia.

- Dziękuję.

- I cały czas o tobie mówi. Jilly to, Jilly tamto... Nie przestaje o tobie myśleć. Ja zresztą też - dodał po chwili. - Proszę cię, Jill, wróć ze mną, a wybaczę ci to, że opuściłaś mnie wtedy, kiedy najbardziej cię potrzebowałem.

Spuściła wzrok.

- Kip wydawał się z tobą taki szczęśliwy - powiedziała. - Wiedziałam, że zostawiam go pod dobrą opieką. Pomyślałam, że wkrótce znajdziesz mu dobrą opiekunkę...

- Nie mówię o Kipie. Mówię o sobie, o swoich pragnieniach.

Zbliżył się do niej i położył dłonie na jej ramionach. Nie protestowała, kiedy ją pocałował. Pożądliwie objęła wargami jego usta, zarzucając mu ręce na szyję.

- Kocham cię, Zane - szepnęła. - Wiem, że za wcześnie, żeby o tym mówić, ale to prawda.

- Czasami miłość pojawia się niespodziewanie. Powinniśmy się z tego cieszyć. Ja też cię kocham, Jill. Nie traćmy więcej czasu.

- Tak... - Kiwnęła głową, a po jej policzku popłynęły łzy. - Tak, zgadzam się... Chcę zostać twoją żoną. Bez was moje życie jest puste. Czy chcesz jeszcze...?

- Niczego bardziej nie pragnę! Pobierzmy się, jeszcze w tym roku!

- Tak, zgoda - powtórzyła czym prędzej - powiadomię tylko rodziców.

- Jife wiedzą. I bardzo się cieszą, że zostaną dziadkami Kipa. W najbliższym czasie przyjadą do Bellingham.

- Jak to? Widziałeś się z moimi rodzicami? - Odsunęła się od niego zdumiona.

- Oczywiście. Przedstawiłem się, opowiedziałem o wszystkim, a oni uznali, że jestem odpowiednim kandydatem.

- Bo jesteś!

- W takim razie pobierzmy się. Kip zaproponował, że niejaka pani Taft mogłaby cię zastąpić, kiedy wyjedziemy w podróż poślubną.

- Tak, dzieci ją uwielbiają.
- A ja uwielbiam ciebie, kochana. - Delikatnie uniósł jej podbródek i zajrzał prosto w oczy. - Wiedziałem o tym, odkąd zjawiałaś się w moim domu. Nie wiem, czy zasługuję na kogoś takiego, ale pragnę być z tobą i pragnę, żebyś nas kochała, mnie i Kipa.
- Kocham. I będę kochać. Kip jest najmilszym dzieciakiem pod słońcem, a ty nie możesz być inny, skoro jesteś jego ojcem.
- Jestem miłym dzieciakiem? - Uniósł do góry brwi.
- Jesteś wspaniałym mężczyzną, szlachetnym i uczciwym. Nawet nie wiesz, jak bardzo zazdrościłabym kobiecie, którą byś pokochał. Boże, ciągle nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.
- A jednak to prawda - przytulił ją z łagodnym uśmiechem - choć czasem zdaje mi się, że w Kaslit Bay na Alasce zdarzył się cud. Zresztą - westchnął i popatrzył przed siebie z zamyśleniem - w końcu mamy Boże Narodzenie, prawda? Czas cudów.